



Harlequin® *na życzenie*

**Mężczyzna idealny**

MARIE FERRARELLA LIZ FIELDING

# Mężczyzna idealny

MARIE FERRARELLA  
LIZ FIELDING

Dwie bestsellerowe powieści  
najlepszych autorek romansów!



**MARIE FERRARELLA**

**MEŹCZYŻNA  
PRAWIE IDEALNY**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rick Masters nie miał zwyczaju rozbijać się samochodem dla zabawy. A już z pewnością nie późnym wieczorem.

Nie mógł narzekać na nadmiar wolnego czasu. Na biurku w gabinecie czekały stosy sprawozdań do przeczytania i dokumentów do podpisania. Ponadto w tej chwili przyszyły los setek pracowników Masters Enterprises zależał od jego decyzji, gdyż postanowiono przenieść główną siedzibę firmy do Kalifornii.

Nie był to odpowiedni czas, żeby włączyć się bez celu opustoszałymi ulicami.

No, może niezupełnie bez celu.

Już godzinę temu Rick przestał się oszukiwać i sprawdził w książce telefonicznej jej adres. Świetnie wiedział, dokąd jedzie.

Więc ona wciąż tu mieszka. W tym starym domu. Tym, o którym nadal śnił, kiedy nocą nie mógł zasnąć spokoju.

Może to błąd, może nie powinien tu wracać. Ale od dziecka nie lubił się poddawać i zawsze szukał odpowiedzi na pytania, które mu się nasuwały.

Spostrzegł, że za szybko wjechał na skrzyżowanie. Powinien być ostrożniejszy i nie dać się ponieść emocjom. Już raz mu się to zdarzyło. Chyba milion lat temu. A może to było wczoraj?

Jadąc, przyglądał się cichym, uspionym ulicom miasta, w którym dorastał. Dziwnie się czuł, kiedy znalazł się tu po latach. I dziwne mu się zdawało, że ona nadal mieszka w Bedford. Po wyjeździe stąd nigdy o nią nie pytał, chociaż był ciekaw, jak ułożyło się jej życie. Życie bez niego.

Jak to mówią, co z oczu, to z serca.

Gdy skręcił na następnym skrzyżowaniu, zobaczył centrum handlowe. Wyrosło w miejscu, gdzie kiedyś był gaj pomarańczowy. Bedford bardzo się zmieniło w ciągu tych ostatnich ośmiu lat. Nic dziwnego. On sam także dorósł.

Czy rzeczywiście? Chociaż osiągnął sukces i był wiceprezesem Masters Enterprises, czasami trudno było mu w to uwierzyć. Często nadal czuł się jak młody chłopak, zakochany po uszy w nieodpowiedniej dziewczynie. Tylko że wtedy nie uważał jej za nieodpowiednią.

Ale od tego czasu wiele się nauczył. Przede wszystkim, jak kierować firmą ojca. Doszedł do tego stanowiska nie dlatego, że był synem szefa, ale dlatego, że na nie zasłużył. Gdyby było inaczej, w żadnym wypadku nie mógłby przejąć tych obowiązków po zawale, jaki przeżył jesienią jego ojciec. To przejście od zarządzania przedsiębiorstwem z ojca na syna, które

dokonało się w ciągu sześciu ubiegłych miesięcy, odbyło się wyjątkowo gładko. I nikt się temu nie dziwił. Rick dosłownie żył swoją pracą. Nic innego dla niego nie istniało od czasu, kiedy zawiodła go ostatnia osoba na świecie, po której mógłby się tego spodziewać.

W pełni zasłużył na to, co się stało, gdyż powodował się sercem, a nie rozumem. Uczynił tak po raz pierwszy i ostami. Nie zważał na ostrzeżenia rodziców, którzy uprzedzali go, że ktoś, kto zajmuje taką pozycję jak on, powinien wyjątkowo ostrożnie dobierać sobie przyjaciół i kobiety, z którymi pragnąłby się związać.

Cóż, dostał dobrą naukę od życia. Takie bolesne nauki zostają na zawsze w pamięci.

Więc po co tutaj przyjechał, do jej dzielnicy, po co zapuszcza się w krętę uliczki i nieuchronnie zmierza w stronę jej domu?

Doprawdy, sam nie wiedział.

Mimo to nie zawrócił.

Nigdy nie miał skłonności do samobiczowania. Podchodził do życia filozoficznie. Różne rzeczy się zdarzają. Trzeba je przeżyć i ruszać dalej. I tak Rick postępował. Przejechał przez cały kraj, aż do Atlanty w Georgii, gdzie jeszcze miesiąc temu mieściła się główna siedziba firmy jego ojca. Z Georgii pochodził dziadek Ricka. Jednak w ubiegłym roku zaistniały pewne okoliczności, za których sprawą ta sytuacja wymagała zmiany. Howard Masters, który po zawale wrócił już prawie zupełnie do zdrowia, wyraził życzenie, aby zarząd firmy przenieść do południowej Kalifornii, gdzie dotychczas mieszkał i skąd, po powrocie do domu, miałby bliżej do biura.

Nadal bowiem chciał zarządzać firmą, którą niegdyś założył jego pradziadek. Rick nie miał mu tego za złe. Ojciec pragnął jak najdłużej dzierżyć ster firmy i mieć poczucie, że jest jeszcze w pełni sił. Trudno mu się dziwić.

Mimo to początkowo Rick był temu projektowi przeciwny. Dopiero po jakimś czasie zdecydował się podjąć wyzwanie. Ostatecznie tyle lat upłynęło od czasu, kiedy kochał się w Joannie. Tymczasem zmądrzał i wiedział, że na miłości nie można budować życia.

Wystarczy przywołać przykład jego rodziców, osób świetnie znanych w eleganckim towarzystwie, prezentujących się idealnie w gazetach, na fotografiach, wszędzie, tylko nie w prawdziwym życiu.

Miłość, owa nieokiełznana, tajemnicza siła, która niegdyś, jak sądził, zawładnęła jego duszą, to nic więcej jak tylko temat romantycznych piosenek. Nie ma dla niej miejsca w realnym świecie, a on jest częścią tego

realnego świata. To, co robi, a nawet to, czego nie robi, ma wpływ na życie tysięcy ludzi. Nielekkie to brzemię.

A teraz powinien już zawrócić. Zrobiło się późno i najwyższy czas wziąć się do roboty.

Ten kwietniowy późny wieczór był bezchmurny i niezwykle ciepły, nawet jak na południową Kalifornię. Rick otworzył okna swojego mustanga z 1964 roku, samochodu o pięknej, klasycznej sylwetce, i z przyjemnością wdychał wonne, świeże powietrze. Ojciec usilnie go namawiał, żeby kupił sobie wóz bardziej odpowiedni do swego wysokiego stanowiska, więc Rick podróżował do pracy mercedesem, ale nie rozstał się z mustangiem, z którym wiązały się wspomnienia jeszcze z czasów, gdy jeździł nim razem z Joanną.

Domy przy ulicy, na którą teraz wjechał i która pięła się łagodnie na wzgórze, stały po jednej stronie i miały widok na ogródki, przesłaniające domy po drugiej stronie. Jeszcze jedna przecznica, i ukaże się jej dom.

Rick zmarszczył nos, czując jakiś ostry, gryzący zapach. Zapach dymu. Ktoś pewnie rozpałił pod kominkiem, mimo że noc była ciepła. No cóż, niektórzy uważają, że nawet wiosną ogień na kominku wygląda romantycznie.

Zapach dymu z każdą chwilą stawał się ostrzejszy. Rick, jak zahipnotyzowany, zamiast zawrócić, dodał gazu i wjechał na wzgórze, skąd rozchodził się ten niepokojący śwąd.

Gdy znalazł się na szczycie, ujrzał niebo spowite czarnym dymem.

Joannę ogarnął lęk.

Znowu dręczył ją ten sen, w którym wszystko było niewyraźne, zamazane. Biegła boso w nocnej koszuli przez otwarte pole, spowite oparami mgły. Zakryte przed nią. I groźne.

Ale tym razem to nie była mgła. Wokół jej nóg wił się dym i pełzał dalej, wzdłuż ciała.

Nieważne, efekt był taki sam.

Czuła się zagubiona. Zaczęła biec szybciej, rozpaczliwie szukając drogi wyjścia.

Ale jej nie znalazła.

Była zupełnie sama.

Kiedy się jej zdawało, że rozpoznaje jakiś kształt czy osobę, gdy tylko się doń zbliżyła, wszystko się rozplątało i znowu pochłaniała ją pustka.

To sen, to tylko sen, powtarzała sobie, biegnąc w niewiadomym kierunku. Dojmujące poczucie osamotnienia ciążyło jej w sercu jak kamień.

Wszystko będzie dobrze, gdy tylko otworzy oczy i powróci do realnego świata. Obudź się, obudź wreszcie, powtarzała sobie raz po raz.

Nadludzkim wysiłkiem otworzyła oczy.

Poczuła w nich pieczenie.

Zbudziła się, z trudem łapiąc powietrze. Bolały ją płuca. Czy ten koszmar senny przybrał nową postać? Półprzytomna, usiadła na łóżku. W jej stanie, w dziewiątym miesiącu ciąży, niełatwo było zmieniać pozycję.

Sama jesteś sobie winna. Sama tego chciałaś.

Oczy zaczęły jej mocno łzawić. To jednak nie sen. Poczuła zapach dymu i owionęła ją fala ciepła, mimo że przed godziną, kładąc się spać, wyłączyła ogrzewanie.

I nagle zdała sobie sprawę, że to pali się jej dom.

Podniosła się z łóżka i chwyciła przewieszony przez oparcie długi szlafrok. Z niemałym trudem wsunęła w rękawy drżące ręce.

Boso pobiegła do drzwi sypialni. W salonie było gęsto od dymu, a języki ognia lizały framugę, odcinając jej drogę ucieczki. Wszędzie wokół strzelały w górę płomienie.

Jakiś ciężki przedmiot upadł jej u stóp, o mały włos nie uderzając Joanny w głowę. Cofając się, krzyknęła na widok płomieni, od których zajął się dół jej szlafroka. Dusząc się od dymu, z trudem wyszarpnęła z rękawów ręce i rzuciła szlafrok.

Rick wcisnął gaz do końca i takim pędem wjechał w następną przecnicę, że jego mustang przez chwilę balansował na dwóch kołach. Szybko wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i wystukał kciukiem numer 911. Gdy tylko odezwał się głos dyspozytora, Rick podał nazwę ulicy i dodał pośpiesznie:

- Palą się dwa domy, jeden spłonął już prawie całkowicie.

Kiedy dyspozytorka poprosiła, by wszystko jeszcze raz powtórzył, Rick usłyszał krzyk z głębi domu Joanny. Rzucił telefon na siedzenie pasażera, gwałtownie zahamował, w ostatniej chwili przypomniał sobie, że trzeba wyłączyć silnik, i wyskoczył z samochodu.

Ten krzyk wciąż brzmiał mu w uszach.

Jakimś szóstym zmysłem wiedział, że nie był to głos jej matki czy kogokolwiek innego i że nie był on także wytworem jego wyobraźni.

To krzyczała Joanna.

Była tam, w samym środku tego piekła. I on musi ją stamtąd wydostać.

Ostatni dom na rogu ulicy cały już stał w płomieniach. Można się było domyślać, że pożar powstał właśnie tam i potem rozprzestrzenił się na dom Joanny, który jak się wydawało Rickowi, płonął tylko częściowo. Palił się

dokładnie tam, gdzie znajdowały się sypialnie. I w jednej z nich była teraz Joanna.

Gdy dopadł drzwi i nacisnął klamkę, okazało się, że zamek jest zamknięty na klucz i nie da się wyważyć. Rick, utalentowany w wielu dziedzinach, w tej z pewnością nie był asem. Ale pomysłów nigdy mu nie brakowało.

Zrzucił pospiesznie marynarkę, okręcił nią rękę i z całej siły rąbnął we frontowe okno. Gdy posypało się szkło, usunął resztę odłamków i przedostał się do środka, po czym otworzył szeroko drzwi wejściowe. Musiał zorientować się w sytuacji, a w środku było ciemno od dymu.

- Joanno! - zawołał, przykładając dłonie do ust. - Joanno, gdzie jesteś?

Lęk przed płomieniami sparaliżował ją na chwilę, ale Joanna usiłowała rozeznąć się w sytuacji i znaleźć jakąś drogę ucieczki.

Ale co tu się właściwie dzieje?

Czy to sen?

Tak, to musi być sen. Inaczej nie usłyszałyby głosu Ricka. On przecież wyjechał. Już jakieś osiem lat temu.

I od tej pory nie odezwał się do niej ani słowem.

A może ona już nie żyje? Może doświadcza teraz tego, co nazywają „życiem po życiu”?

Strażak. Tak, to pewnie był strażak. Jej się tylko wydawało, że słyszy głos Ricka.

- Tutaj! - wykrzyknęła. - Jestem tutaj! - Dym dławił ją i piekł w gardle, tak że z trudem mogła mówić, nerwowo łapiąc powietrze. - W sypialni od tyłu! - Oczy tak ją piekły, że nie potrafiła dojrzeć drzwi. - Nie mogę się stąd wydostać! Na pomoc!

Ogień niczym jakiś demon warczał, trzeszczał i jęczał. Rick był pewien, że mimo to słyszy głos Joanny, stłumiony, lecz wciąż silny. Z tylnej części domu buchnęły teraz płomienie.

Choć było bardzo gorąco, Rick poczuł, jak ze strachu robi mu się zimno.

Myśl, do diabła, myśl szybko!

I w tym momencie wpadł na pewien pomysł. Przez jadalnię pobiegł do kuchni, ściągnął ze stołu obrus, zmoczył w zlewie i pędem ruszył w głąb domu. Płomienie były teraz już wszędzie, tak że nie widział przed sobą dalej niż na pół metra.

- Joanno? Joanno, gdzie jesteś?

- Tutaj, jestem tutaj! - zawołała.

Gdy nie mogła wydostać się przez drzwi, chciała podbiec do okna, ale i tam droga była odcięta. Stopy parzył jej dywan, po którym zaczął pełzać ogień.

I wtedy nagle coś wielkiego potoczyło się po podłodze wśród jęzorów ognia. Przecierając zażawione od dymu oczy, Joanna spostrzegła ze zdumieniem, że ta postać wyprostowała się i przybrała kształt wysokiego mężczyzny.

Pokój wokół niej zawirował. Przez chwilę zdawało się jej, że widzi Ricka Mastersa, który z głową i ramionami otulonymi jej śniadaniowym obrusem, usiłuje do niej dotrzeć.

Zaraz potem poczuła, jak on narzuca na nią ten obrus, na jej twarz i usta. Tkanina była kompletnie mokra, kapała z niej woda. Joanna usiłowała złapać powietrze, ale płuca zatykał jej dym.

- Uciekajmy! - usłyszała.

Głos tego człowieka tak bardzo przypominał głos Ricka. To przedziwne, że przyszło jej umrzeć w ramionach jakiegoś obcego mężczyzny, i w ostatnich chwilach wspominać Ricka...

Mężczyzna otoczył ją ramionami, prowadząc po omacku przez coś, co sprawiało wrażenie ściany ognia. Próbowala protestować, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Mężczyzna podobny do Ricka mocno popychał ją do przodu...

Po chwili potknęła się i upadła.

Natychmiast znów otoczyły ją te ręce i uniosły wysoko. Mężczyzna ruszył ze swoim ciężarem przez piekło ognia.

Żar był wszędzie, dał się czuć, nieledwie słyszeć. Wszędzie też Joanna czuła ból. Nie tylko na zewnątrz, ale także wewnątrz swego ciała.

Coś rozdzierało ją na pół.

Przygryzła dolną wargę, lecz nie zdołała stłumić krzyku. Wstrząsał nią całą i pobiegł do samego środka, do źródła bólu, który nie chciał ustać.

Nagle poczuła, że upał już jej nie doskwiera.

Silne ręce ułożyły ją gdzieś, chyba na trawie. Tak, to była trawa.

Joanna zaczęła niecierpliwie ściągać z siebie nadpaloną tkaninę, która wciąż zakrywała jej głowę i twarz.

Uwolniona od niej, zaczęła zachłannie wdychać czyste, chłodne powietrze i rozglądać się wokół siebie, aby wreszcie stwierdzić, gdzie się znajduje, i pozbyć halucynacji, które wciąż ją męczyły.

Kilka razy zamrugała, ale mężczyzna, który siedział przy niej na trawniku przed domem, wciąż wyglądał tak samo.



Czyżbym umarła? - pomyślała. - Czy dlatego wciąż gapię się na Ricka Mastersa?

Chyba nie było innego wytłumaczenia.

Rick wciągnął głęboko powietrze. Dom sąsiadujący z domem Joanny stał cały w płomieniach. Nic nie wskazywało, że ktokolwiek się stąd wydostał. Kiedy wstał, zadrżały pod nim nogi. Poczul, jak Joanna ciągnie go za ramię. Spojrzał na nią i rzucił:

- Puść mnie, muszę zobaczyć, czy ci ludzie nie potrzebują pomocy.
- Nikogo tam nie ma - wykrztusiła. - Wszyscy wyjechali na wakacje.
- A w twoim domu?
- Też nie ma nikogo.

Rick ciężko usiadł na ziemi. Serce wciąż tłukło mu się w piersi.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Miała wrażenie, że jest na nią zły. Nie widzieli się osiem lat, a on jest zagniewany. Dlaczego? To raczej ona miała prawo być zła. O to, że pozwolił jej odejść. A przecież miała nadzieję, że spróbuje ją zatrzymać.

Ale to przecież niemożliwe, żeby on tu siedział, obok niej. Czyżby postradała zmysły?

- Rick? - zagadnęła, wpatrując się w niego, wciąż niepewna, czy to on, czy jakaś zjawa ze snu. - Co ty tu robisz?

Rick pod wpływem impulsu zapragnął wziąć ją w ramiona, pocałować, sprawić, by odpląnął od nich cały świat. Jednocześnie z nową siłą przeszył go dawny ból. Zawód, który mu przed laty sprawiła. Zabolalo go również to, że Joanna najwyraźniej z powodzeniem ułożyła sobie życie bez niego, wyszła za mąż i nosi teraz dziecko innego mężczyzny.

Ból był wyjątkowo ostry. Chociaż nigdy jej o tym nie wspomniał, Rick marzył kiedyś, żeby mieć z Joanną dzieci. Dużo dzieci. Podobnych do niej.

- Zadałem ci przedtem pytanie - powiedział ostrym głosem. - Czy dobrze się czujesz?

Joanna, zdumiona, szeroko otworzyła usta. A więc nie umarła. Wciąż żyje. I on tu jest. Po tych wszystkich latach. I patrzy na nią tak, jak kiedyś. Odeszła z jego życia po to, żeby nie widzieć tego spojrzenia, tego wyrazu w jego oczach. I teraz on tu jest znowu i patrzy na nią tak, jakby jej nienawidził.

Zaczęła coś mówić, ale głos uwiązł jej w gardle, zdołała tylko wydać z siebie zduszony okrzyk.

Oczy jej rozwarły się szeroko, a ręka opadła na brzuch. Ból, który czuła w całym ciele, nagle się nasilił i skoncentrował w jednym miejscu.

- Co? Co się dzieje? - zapytał niespokojnie Rick, który zatroskany opadł przy niej na kolana.

Wyteżył uszy, nasłuchując odgłosu syren straży pożarnej, ale nic nie zakłócało nocnej ciszy. W sąsiednich domach też panował spokój, w żadnym oknie nie pojawiło się światło.

Joanna, pobladła na twarzy, zamiast odpowiedzi mocno chwyciła go za ramię.

To niemożliwe, pomyślała, drżąc z przerażenia. Nie teraz. Ma jeszcze dwa tygodnie. Obiecał jej to lekarz.

Obietnice są po to, żeby je łamać.

Tak jak obietnica, która miała związać ją i Ricka.

- Dziecko... - wykrztusiła z najwyższym trudem. - Dziecko chce przyjść na świat.

RS

## ROZDZIAŁ DRUGI

Oślupiały, Rick wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Chcesz powiedzieć, że będzie chciało. Z pewnością Joanna panikuje, pomyślał.

- Nie, ono chce teraz - jęknęła, z trudem pokonując paroksyzm bólu i z całej siły ściskając Ricka za przegub ręki, tak że poczuł, jak krew przestaje w niej krążyć.

Kucnął przy niej i delikatnie rozwarł jej palce.

- Trzymaj się - powiedział - zaraz będą tu sanitariusze.

Ale Joanna instynktownie wiedziała, że nie przyjadą na czas. Jakie to dziwne, że właśnie w takiej chwili Rick znalazł się przy niej...

- Nie zdążą... - Pokręciła głową. - Ty będziesz musiał mi pomóc.

Rick nauczył się w życiu robić różne rzeczy, ale przyjmowanie porodu do nich nie należało.

- Ja? - wyrwało mu się ze zdumieniem. Zdesperowany, jeszcze raz rozejrzał się po sąsiednich domach, ale wszędzie było cicho i ciemno. Czyżby wszyscy gdzie wyjechali? Nieważne, dość, że znikąd nie mógł oczekiwać pomocy.

Po raz drugi w życiu nie miał zielonego pojęcia, co robić. I oba te przypadki dotyczyły Joanny. Tym razem jednak nie miał wyboru.

- Dobrze, spróbuję - powiedział.

Joanna przygryzła do krwi wargę, aby powstrzymać okrzyk bólu.

- Muszę przeć... muszę przeć... muszę przeć - wyjąkała, z trudem łapiąc oddech.

- Jesteś pewna, że to już czas? - zapytał Rick, który wciąż miał nadzieję, że wyręczą go medycy. Przecież nigdy nie asystował przy porodzie...

- Jestem pewna... o mój Boże... jestem pewna. Jak to możliwe, że człowiek jeszcze żyje, mimo bólu, który rozdziera go na strzępy? Joannę ogarnęło przerażenie. I nagle przypomniała sobie, co Lori opowiadała im na kursie dla przyszłych matek. Ze nie można jednocześnie oddychać i przeć. Więc zaczęła oddychać, modląc się, by ta czynność choć na chwilę przytłumiła jej przemożną chęć parcia.

Chodziła wprawdzie na kurs i sporo czytała, ale gdy nadszedł czas, była zupełnie nieprzygotowana na to, co się miało naprawdę wydarzyć. Zanim weszła do banku spermy, wydawało się jej, że zna już wszystkie możliwe scenariusze. Teraz przypomniała sobie wszystkie najgorsze i straciła odwagę.

Była taka pewna, że pragnie tego dziecka. Absolutnie pewna. Nie żałowała swej decyzji nawet wtedy, kiedy zarząd szkoły taktownie „zasugerował”, aby wzięła bezpłatny urlop do czasu rozwiązania. Joanna była nauczycielką języka angielskiego w liceum w mieście, uważanym za dość konserwatywne. Podobno fakt, że jako samotna kobieta spodziewa się dziecka, stanowił dla wielu rodziców źródło zmartwienia. Mimo to Joanna cały czas była pewna, że podjęła właściwą decyzję i że sama da sobie radę.

W tej chwili niczego już nie była pewna, prócz panicznego lęku, który stalowymi szponami szarpał jej serce.

Leżała tu, przed domem trawionym przez płomień, miała urodzić dziecko, które nie będzie miało ojca, i oczekiwała pomocy od jedynej mężczyzny, jakiego w życiu kochała i który w niewytłumaczalny sposób znalazł się u jej boku.

Zdawało się jej, że straciła panowanie nad rzeczywistością.

- Ricky... okropnie się boję.

- Rozumiem, ja też - przyznał.

Joanna była jedyną osobą, przed którą otworzył kiedyś serce, jedyną, jaka ujrzała jego prawdziwie ludzką, wrażliwą stronę. Reszcie świata, nawet jako młody chłopak, ukazywał jedynie niewzruszoną fasadę. Tego od niego oczekiwano. Był przecież Mastersem. Tylko Joannie dał się poznać jako Ricky, chłopak, którym naprawdę był.

Ale to wszystko było już poza nim. Całe lata poza nim.

W tej chwili potrzebował koca i prześcieradła.

A miał pod ręką tylko ten mokry obrus, którym osłonił głowę Joanny. Teraz podłożył go pod nią najlepiej, jak umiał.

- Może nie jest całkiem jałowy, ale chyba lepszy od tej trawy - mruknął, spoglądając w jej ogromne, zalęknione oczy.

Przyszła następna skurcz, od którego zapało jej dech. Nie było od niego ucieczki, bez względu na przybraną pozycję. Joanna usiłowała znów sobie przypomnieć to, czego uczyła się na kursie oddychania, ale wyleciało jej z głowy wszystko prócz tego, że cała czwórka samotnych przyszłych matek, czyli ona, Chris Jones, Sherry Campbell i ich instruktorka, Lori O'Neill, nazwała swoją grupkę „drużyną młodych mam”.

Aha, Lori wspominała chyba na ostatnich zajęciach, że trzeba się wyluzować. Łatwo powiedzieć, zdążyła pomyśleć Joanna, zanim znów przeszył ją jeszcze silniejszy i ostrzejszy ból. Skurczom nie było końca, pewnie będzie je miała do samej śmierci. Tym razem wydała z siebie głośny krzyk, którego nie mogła już powstrzymać.

Rick na moment bezwiednie przysłonił sobie uszy. To nie on powinien tu być, pomyślał, nie on powinien jej pomagać urodzić dziecko innego mężczyzny. To dziecko, które tak bardzo chciało właśnie przyjść na świat, powinno być ich dzieckiem. Nagle zrobiło mu się ciężko na sercu. Spojrzał na Joannę i powiedział:

- To wszystko nie tak.

Joanna z wysiłkiem uniosła się na łokciach.

- Co...? Co... jest nie tak? Coś nie tak... z moim dzieckiem?

- Nie, nie - uspokoił ją, delikatnie popychając, żeby znów się położyła. - Po prostu nie ja powinienem tu być, ale twój mąż.

- Nie... mam męża... - wykrztusiła. Zakreśliło się jej w głowie, z trudem starała się zachować przytomność. Znowu dopadł ją skurcz, jeszcze silniejszy niż poprzednie.

- Teraz, Rick, teraz!

Wszystko to dzieje się za szybko, pomyślał Rick, patrząc z niepokojem na jej poczerwieniałą z wysiłku twarz.

Nie musiał jej przypominać, żeby pała. W ogóle nie musiał niczego jej podpowiadać. Dziecko było tuż-tuż, choć on sam nie był jeszcze gotów.

Ledwie zdążył wyciągnąć ręce, a już pokazała się główka. Poczul pod palcami krew, dotyk ciała.

- Wyciągnij je! - krzyknęła Joanna. Mniej niż połowa maleńkiego ciała była już na zewnątrz, ale wszelki ruch ustał.

Joanna opadła znowu na plecy, tak wyczerpana, że nie była w stanie zaczerpnąć tchu. Pod powiekami ujrzała jakieś błyski, które ją pociągały. W nicosć.

Rick z przerażeniem spostrzegł, że ona lada chwila straci przytomność. Podtrzymując jedną ręką główkę dziecka, drugą potrząsnął ją za ramię.

- Nie mogę go wyciągnąć! - krzyknął. - Nie mogę ciągnąć dziecka za główkę. Musisz je wypchnąć aż do końca!

I wtedy znowu to poczuła. Okropny ból, od którego nie było ucieczki. Powinna znowu przeć, ale zupełnie opadła z sił, nie mogła nawet normalnie odetchnąć. Dysząc ciężko, spojrzała na Ricka. Tak, miał rację. To wszystko nie tak. Nie powinna była decydować się na to dziecko, a przedtem nie powinna była opuścić Ricka, bez słowa wyjaśnienia.

Daremne żale, próżny trud, pomyślała. Już za późno.

Ten refren powracał w jej myślach, gdy znowu, przed następnym atakiem bólu, zalała ją fala gorąca. Obrus pod nią był cały we krwi.

- Przyj! - nakazał jej szorstko Rick, nie dając znać po sobie, że się boi. A jeśli dzieje się coś niedobrego? Czy powinno być aż tyle krwi? Przecież ona nie może tak umrzeć, na jego rękach.

- No, dalej, Joanno. Jeszcze trochę. Możesz, musisz! Nie, nie mogę, pomyślała.

Ale jednak musi jakoś spróbować. Nie może umrzeć. To maleństwo jej potrzebuje.

Nadludzkim wysiłkiem zmobilizowała się, wiedząc, że to już ostatni wysiłek. Nie była pewna, czy naprawdę słyszy wycie syren, a może to jakieś okrzyki, niczego już nie była pewna, na niczym jej nie zależało. Marzyła tylko, żeby to się wreszcie skończyło - w taki czy inny sposób.

Czuła, że zapada jej się klatka piersiowa, a całe ciało pęka z wysiłku.

I wtedy posłyszała cichutki krzyk, delikatniejszy od wszystkich innych hałasów. I słodszy.

Z braku tlenu kręciło jej się w głowie, padła więc na mokry obrus i na trawę. Ze zmęczenia nie mogła nawet oddychać.

Rick oniemiały wpatrywał się w cud, który trzymał w rękach. Cud zaś wpatrywał się w niego szeroko rozwartymi oczami, ogromnymi jak u matki. Rick poczuł, jak coś w nim drgnęło, ale był zbyt odrętwiały, żeby rozpoznać to uczucie.

- Masz córkę - szepnął, z trudem dobywając głos przez ściśnięte gardło.

Był cały spocony, ale wiedział, że na dworze zrobiło się chłodno.

Nie miał w co zawiąć dziecka. Szybko zdjął więc koszulę i opatulił nią maleństwo, które wciąż wpatrywało się w niego największymi oczami, jakie kiedykolwiek widział.

Parę metrów od niego z piskiem opon zatrzymał się wóz strażacki. Rick nie zwrócił nań większej uwagi, wciąż przyglądając się z nabożnym zdumieniem dziecku, któremu pomógł przyjść na świat.

Dziecku Joanny.

Otoczająca ich sceneria wydawała się surrealistyczna. Jacyś ludzie krzyczeli, strażacy skakali z wozu i biegli w ich stronę. W stronę ognia.

Oczy Ricka spoczęły na strażaku trochę starszym od innych, który szybko podbiegł do nich i z niepokojem zapytał:

- Czy oboje dobrze się czujecie?

- Troje - poprawił go Rick, zerkając na kruszynkę, którą tulił do piersi. - Tak, zupełnie dobrze... - powiedział, ale gdy spojrział na Joannę, zawahał się.

- No, ja tak, ale ona chyba nie. Jest wyczerpana. Trzeba ją będzie zawieźć do szpitala.

Strażak w mgnieniu oka pojął sytuację.

- Oczywiście - potwierdził i skinął na sanitariuszy, którzy właśnie wysiadali z ambulansu, wyciągając nosze. - Czy tam ktoś jest? - zapytał, wskazując płonące domy.

- Nie wiem - odparł Rick i spojrzał pytająco na Joannę, która potrząsnęła przecząco głową. - Chyba nie.

Nie miał czasu powiedzieć nic więcej, bo w tym momencie sanitariusz odebrał od niego dziecko. Rick poczuł z żalem, że opuściło go miłe ciepło maleńkiego ciała.

- Teraz już my zajmujemy się tym maleństwem - uśmiechnął się do niego sanitariusz. - Dziękuję panu.

Chwilę przedtem strażak z pomocą sanitariusza przenieśli Joannę na nosze.

- Pan jest ojcem? - zapytał pierwszy z sanitariuszy. Rick w odpowiedzi cofnął się o krok i pokręcił głową.

- Nie, jestem tylko dobrym samarytaninem, który znalazł się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu.

Rick obserwował, jak Joannę i jej córeczkę umieszczano w ambulansie. Przez moment koczyło go, by wsiąść razem z nimi i pojechać do szpitala, ale się opanował. Ambulans odjechał.

Tymczasem odsunął się na bok, aby nie przeszkadzać strażakom w ich niebezpiecznej pracy.

- Ta pani miała szczęście, że pan tu mieszka i mógł jej pomóc - odezwał się do niego starszy strażak.

- Tak, rzeczywiście - mruknął niezobowiązująco Rick, po czym skinął mu ręką, odwrócił się i pomaszerował do samochodu.

Tak, nie ma wątpliwości, pomyślał Rick późnym rankiem następnego dnia. Z jego głową jest coś nie w porządku.

Z samego rana pojechał obejrzyć proponowane miejsce budowy nowej siedziby firmy, ale potem, zamiast wrócić do biura, w którym tymczasem pracował, zboczył z trasy. Właściwie zboczył z niej dwukrotnie.

Pojechał przekonać się, jak bardzo ucierpiał dom Joanny. Miał nadzieję, że za dnia sytuacja będzie przedstawiała się nieco lepiej niż zeszłej nocy.

W świetle dziennym zwęglone resztki narożnego domu - Rick ustalił przez telefon, że ogień powstał właśnie tam, z winy niesprawnego wyłącznika ogrzewania - sprawiały wrażenie wypalonej, zdeformowanej skorupy. Strażacy przybyli jednak w porę, żeby uratować przynajmniej częściowo dom Joanny. Spalił się tylko jego tył, front zaś niewiele ucierpiał.

Mimo to, pomyślał Rick, obchodząc go wkoło, upłynie sporo czasu, zanim znowu będzie tu można zamieszkać.

Cóż, to nie jego problem, skonstatował, wsiadając do samochodu. Niech ona sama się tym zajmie, no i ten mężczyzna ważny w jej życiu, jakkolwiek by go chciała nazwać, który jest ojcem jej dziecka.

Rick zrobił tyle, ile zamierzał, i na tym koniec.

Nie wiedzieć czemu, po obejrzeniu domu Joanny, znalazł się na ulicy prowadzącej do szpitala, do którego zabrano ją wczoraj.

Nie wyglądała wcale na zdziwioną, kiedy wszedł do jej pokoju.

Rozmowa z początku niezbyt się kleiła, ale mimo to Rick ociągał się z wyjściem.

Musiał wiedzieć. Mimo że obiecał sobie milczeć na ten temat.

- Powiedziałaś wczoraj, że nie jesteś mężatką.

- Bo nie jestem.

- Rozwiedziona?

- Nie.

- Owdowiała?

Joanna westchnęła, skubiąc róg kołdry. Czy on pojawił się znów w jej życiu po to, żeby grać rolę porucznika Columbo?

- Nie, i nie jestem zaręczona.

Postanowiła widocznie bawić się z nim w kotka i myszkę. Po tylu latach nie powinien się tym w ogóle przejmować, ale jednak się przejmował. I to bardzo.

- Czyżby to było niepokalane poczęcie? - zapytał z sarkazmem w głosie.

- Jak się nazywa ojciec dziecka?

Joanna wzięła głęboki oddech i odpowiedziała:

- 11375.

- Co takiego? - Rick pokręcił z niedowierzaniem głową. Może źle usłyszał?

- Numer 11375. - Wybrała ojca dziecka z katalogu udostępnionego przez bank spermy. Kandydatów było bardzo wielu, a tożsamość każdego starannie ukryta. Można było poznać tylko ich konkretne cechy i numer. - Nic więcej o nim nie wiem.

Joanna podniosła oczy na Ricka. Jego wizyta zupełnie ją zaskoczyła, ale już nie tak, jak jego nagłe pojawienie się w jej sypialni ubiegłej nocy. Można by powiedzieć, że coś podobnego mogłoby się wydarzyć w jakimś filmie. Oto kochanek sprzed lat wpada do jej płonącej sypialni, aby ją uratować. Po tym chyba już nic nie zdoła jej zadziwić.

- Nie rozumiem. To jakiś szpieg?



- Nie. Numer próbówki. Odwiedziłam bank spermy.

Chociaż czuła się skrepowana, musiała mu to wyznać, przecież wczorajszej nocy Rick uratował jej życie, zasługiwał na to, żeby odpowiedziała mu na pytanie.,

Rick przez chwilę czuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę, i nie bardzo wierzył własnym uszom.

- Ale dlaczego to zrobiłaś?

Joanna zwilżyła usta koniuszkiem języka i odpowiedziała:

- Chciałam mieć dziecko.

Rick, który wciąż czuł zamęt w głowie, przysunął krzesło bliżej łóżka, opadł na nie ciężko i powiedział:

- Są przecież inne sposoby, Joanno.

W tym momencie zapragnęła, żeby sobie poszedł. Rozmowa o tych sprawach była dla niej zbyt bolesna.

- Wszystkie wymagają zbliżenia z drugim człowiekiem.

Rick pogrążył się na chwilę w fali wspomnień. Stały mu przed oczyma księżycowe noce, poczuł na sobie łagodny, letni wietrzyk, a w ramionach ciepło kobiety, której poprzysiągł dożgonną miłość. I która przysięgała, że zawsze będzie go kochać.

Słowo „zawsze” miało krótki żywot.

Rick podniósł się z krzesła, wsadził ręce do kieszeni i podszedł do okna wychodzącego na przystań.

- Więc w twoim życiu nie ma nikogo?

- Jest moje dziecko - odparła. Sądziła, że dzięki dziecku poczuje się spełniona. Ze nikt inny nie będzie jej potrzebny.

- Miałem na myśli kogoś nieco starszego, wyższego i innej płci - zażartował.

Joannie przemknęło przez myśl, że powinna stworzyć na poczekaniu listę kochanków, aby mu pokazać, że potrafiła ułożyć sobie życie, że się ono nie skończyło w dniu ich rozstania, ale nagle poczuła się zanadto zmęczona, żeby podjąć ten wysiłek.

- Nie - odparła po prostu.

To zabawne, ale gdy tylko myślał o niej w ciągu tych ostatnich ośmiu lat, zawsze wyobrażał ją sobie wspartą na którymś ramieniu, radosną i roześmianą. Najpierw nieomal wariował z zazdrości, ale potem nauczył się nad tym panować. W każdym razie do chwili, kiedy ją ujrzał wczorajszej nocy.

Odrzucił się i znowu spojrzął przez okno. Niebo pociemniało, chociaż była dopiero druga po południu. Zbliżała się burza. Rzadkość w kwietniu.

- Wiesz, dziś rano pojechałem do twojego domu.

- Ico?

Rick nie mógł jej przecież okłamywać, ale starał się też zanadto nie zmartwić.

- Spłonęła tylko połowa - powiedział, patrząc jej w oczy. - Ale na razie nie da się w nim mieszkać.

Zobaczył, jak w jej oczach zgasło światełko nadziei.

- O rety, co ja teraz pocznę?

Rick podszedł do sprawy bardziej praktycznie.

- Cóż, nie wszystko przepadło. Odbudowa trochę potrwa. Oczywiście, jesteś ubezpieczona?

Tak, dom był ubezpieczony, ale mimo to Joannie zakręciły się łzy w oczach.

- Oczywiście, ale zamierzałam zaciągnąć kredyt hipoteczny - wyznała z żalem. Umówione spotkanie przełożyła na następny tydzień. Teraz już było za późno. - Nikt mi nie udzielił kredytu pod zgliszcza domu.

Tak bardzo Uczyla na te pieniądze, potrzebowała ich, aby przez kilka miesięcy, do czasu powrotu do pracy, mieć na życie dla dziecka i siebie samej.

- Teraz nici z pożyczki, a na dodatek nie mam gdzie mieszkać.

Rick przez dłuższą chwilę wpatrywał się w jej twarz. I wreszcie powiedział coś, czego z pewnością się po nim nie spodziewała. Czego on sam też się po sobie nie spodziewał.

- Więc zamieszkaj ze mną.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Joannie na moment odebrało mowę. Wreszcie otworzyła szeroko oczy i wybąkała:

- Co powiedziałeś?

Oczy miała jeszcze bardziej niebieskie niż zawsze i jeszcze bardziej zniewalające. Rick walczył z sobą, by się w nich nie zagubić, jak mu się to dawniej zdarzało.

- Zaproponowałem, żebyś zamieszkała ze mną... dopóki nie stanesz na własnych nogach. - Musiał dodać te ostatnie słowa po krótkiej chwili wahania. W żadnym wypadku nie mógł to być trwały układ. Po prostu chciał jej być przez jakiś czas pomocny. Z uwagi na to, co ich dawniej łączyło.

Gdyby tylko mogła, Joanna wstałaby i wyszła z pokoju, ale na razie potrafiła tylko unieść zadziornie głowę i powiedzieć:

- Wybacz, ale nie zwykłam korzystać z dobroczynności.

Rick poczuł się urażony, pomyślał też, że obraziła jednocześnie pamięć tego, co kiedyś było między nimi. A może istniało to tylko w jego wyobraźni? W tej chwili miał wrażenie, że dzieli ich przepaść szeroka na sto metrów.

- Byłaby to dobroczynność, gdybym włożył ci do ręki plik banknotów i powiedział, żebyś mi ich nie zwracała - Wzruszył ramionami, z trudem opanowując gniew, który w nim wzbierał. - Proponuję ci tylko zamieszkanie w paru i tak nieużywanych pokojach.

Joanna domyśliła się, że ma na myśli swoją rodzinną rezydencję. Ostatnie miejsce, w którym chciałyby przebywać. Przeszłość zbyt wyraźnie stała jej przed oczami.

- Doprawdy nie sądzę, żeby twój ojciec powitał taki najazd z otwartymi ramionami.

- Kobiętę z małym dzieckiem trudno uznać za najeźdźców - zauważył Rick.

Domyślił się powodu jej zastrzeżeń. Jego rodzice nie traktowali jej w swoim czasie z szacunkiem, na jaki jego zdaniem zasługiwała. Matka tymczasem zmarła, ale ojciec żył.

- Ojciec jest teraz na wakacjach na Florydzie. - Na długich wakacjach, pomyślał. W ciągu ostatnich kilku miesięcy nie pokazał się ani razu w Kalifornii.

- Wakacje zawsze kiedyś się kończą. Pewnie wróci za tydzień, może za dwa.

- Raczej za trzy miesiące, a może nawet jeszcze później. - Jak to dobrze, że istnieją telekonferencje i inne nowoczesne środki łączności! Rickowi w pełni odpowiadał obecny układ. Im rzadziej widywał ojca, tym lepiej.

Na ustach Joanny pojawił się cyniczny grymas, którego Rick nigdy u niej nie widział.

- No tak, zupełnie zapomniałam, że ludzie bogaci mają inne obyczaje - zauważyła z goryczą w głosie.

Rick pominął tę uwagę milczeniem. Może ktoś inny na jego miejscu wrzuciłby ramionami i poddał się, ale miał wrażenie, że Joanna, mimo całej swojej brawury, potrzebuje go. W każdym razie kogoś potrzebuje.

- Wiesz, nadal jest z nami pani Rutledge.

Wyraz twarzy Joanny złagodniał, gdy to usłyszała. Gospodyni jego rodziców była dla niej zawsze bardzo miła, kiedy Rick zapraszał ją do domu.

- Jak ona się miewa?

- Wciąż nie chce przejść na emeryturę. I wciąż uważa, że wie, co jest dla wszystkich najlepsze.

- Pani Rutledge zawsze przypominała mi moją mamę - uśmiechnęła się Joanna.

W swoim czasie Rick marzył potajemnie, by jego matka była taką kobietą, jak Rachel Prescott. W ciągu trzech lat ich bliskiej znajomości spędzał wiele czasu w domu Joanny. Kiedy jechał się z nią zobaczyć poprzedniego wieczoru, spodziewał się zastać też jej matkę.

- A jak się miewa twoja mama?

- Zmarła w zeszłym roku - odrzekła Joanna, spuszczać wzrok. Od śmierci matki upłynęło zaledwie trzynaście miesięcy i wciąż ją opłakiwała.

Rick poczuł się tak, jakby ugodził go pocisk. Strata Joanny zabolęła także i jego. Położył dłoń na jej ręce i powiedział z żalem:

- Joanno, tak mi przykro... Bardzo ją lubiłem, wyobrażam sobie, jak ci jej brak. Była bardzo miłą, dobrą kobietą.

- To prawda - westchnęła Joanna, która nagle zapragnęła rzucić mu się w ramiona i wyznać, jak bardzo go potrzebowała w ostatnich miesiącach choroby matki.

Zwalczyła jednak tę pokusę i powiedziała: - Czytałam w gazecie o śmierci twojej matki. Przykro mi.

Rick wrzucił ramionami. Tak, odejście jego matki było smutnym faktem, ale w gruncie rzeczy nie potrzebował wyrazów współczucia. Nigdy nie był blisko z nią związany, nawet w dzieciństwie, więc kiedy umarła, nie czuł bólu z powodu tej straty. Jak przystało na dobrego syna, przyjechał na

pogrzeb, i zaraz potem wyjechał. Obawiał się, że gdyby został dłużej, zrobiłby to, co wczorajszego wieczoru. Próbowaliby odszukać Joannę.

Ona zaś zastanawiała się, czy pójść do kościoła na mszę pogrzebową w nadziei, że mogłaby go tam ujrzeć chociaż przez chwilę. Uznała jednak, że musi być silna i trzymać się na uboczu.

Prócz tego, uczestnicząc w tej uroczystości, okazałaby zmarłej szacunek, a nie darzyła nim ani jej, ani jej męża. Oboje utracili szacunek Joanny tego sierpniowego dnia, kiedy zjawili się u niej z czekiem na pokaźną sumę, wystawionym na jej nazwisko.

Powiedzieli, że go dostanie, jeśli tylko usunie się z życia ich syna. Aby osłodzić tę gorzką pigułkę, odwołali się do jej uczciwości i miłości do Ricka. Usiłowali odmalować, życie, jakie by go czekało, gdyby ją poślubił. Kategorycznie twierdzili, że z czasem Rick zacząłby nią gardzić. Mówili, że ich syn należy do określonej warstwy społecznej, z której powinna też się wywodzić jego żona, mająca podobne do niego wychowanie i gust. Żona, która byłaby dla niego atutem, a nie ciężarem. Nawet mu już taką wybrali. Kobieta, którą Joanna знаła z widzenia.

Wysuwali tyle argumentów, że w końcu dała się przekonać. Miała do nich ogromny żal, że jej uświadomili, o ile Rickowi będzie lepiej bez niej.

- W gruncie rzeczy - odezwał się Rick, odnosząc się do jej protestu - jeśli już ktoś miałby uprawiać dobroczynność, to raczej ty, a nie ja.

Zawsze wyrażał się bardzo jasno, ale tym razem Joanna go nie zrozumiała.

- Powtórz to jeszcze raz, dobrze? Chyba się przesłyszałam.

- Gdyby pani Rutledge dowiedziała się, że nie masz gdzie mieszkać i że ja o tym wiedziałem... obdarłaby mnie żywcem ze skóry.

Szczerze mówiąc, Joanna nie mogła sobie pozwolić na odrzucenie tej oferty. Pewnie na jakiś czas ją samą przygarnęliby przyjaciele, ale przecież było też jej małenstwo. A dzieci hałasują, nie każdy może się do tego przyzwyczaić. Nie mogła narażać przyjaciół na taką niewygodę. Natomiast dom Ricka był dostatecznie duży, by płacz dziecka nie przeszkadzał innym. I Joanna nie przeszkadzałaby tam nikomu, łatwiej by jej było się odnaleźć w nowym dla niej świecie macierzyństwa.

- Jesteś pewien, że twój ojciec wciąż przebywa na wakacjach?

- Rozmawiałem z nim dziś rano. Powiedział, że świetnie się bawi, łowiąc marliny u wybrzeży Florydy.

Joanna próbowała wyobrazić sobie tego wyniosłego mężczyznę u steru łodzi, z wędką w ręku. Bez powodzenia.

- Łowi marliny? Twój ojciec?

Rick wiedział, że trudno było w to uwierzyć. Howard Masters zupełnie się zmienił.

- Po zawale ojciec stał się teraz zupełnie innym człowiekiem. Może jeszcze nie pielęgnuje róż w ogrodzie, ale naprawdę robi wiele rzeczy, których nigdy dotąd nie robił.

Howard Masters zawsze miał obsesję na punkcie robienia pieniędzy. Joanna słyszała, że kiedy zmarła jego żona, wziął sobie tylko jeden wolny dzień.

- A co z waszą firmą?

- Firma jest właściwie w moich rękach - odparł Rick. - Ojciec czasami spogląda mi przez ramię i wysuwa swoje „sugestie”, ale w gruncie rzeczy zdaje się na mnie.

Czyżby Rick miał z czasem upodobnić się do swego ojca?

- Czy dlatego tu przyjechałeś? - zapytała głośno.

- Do szpitala?

- Nie, do Bedford. Czy przywiodły cię tu rodzinne interesy?

Rick skinął głową.

Joanna wiedziała, że nie powinna drażnić tego tematu, ale nie mogła się powstrzymać i nie zadać tego pytania:

- A dlaczego wczoraj w nocy przyjechałeś pod mój dom?

Rick odpowiedział jej tak szczerze, jak tylko potrafił:

- Nie jestem do końca pewien.

- No cóż, muszę przyznać, że się z tego cieszę - powiedziała, spoglądając mu w oczy. - Inaczej... - ze wzruszenia głos zamarł jej w gardle.

W tym momencie otworzyły się drzwi, w których pojawiła się pielęgniarka z łóżeczkiem na kółkach. W środku, otulone w różowy kocyk, spało słodko najśliczniejsze niemowlę, jakie Rick kiedykolwiek widział.

- Ta mała osóbką zaraz się zbudzi i będzie prosiła, żeby ją nakarmić - oznajmiła pielęgniarka z uśmiechem skierowanym do nich obojga.

Joanna poczuła, jak przepelnia ją duma.

Kiedy pielęgniarka wyjęła dziecko z łóżeczka i podała je Joannie, Rick pomyślał ze wzruszeniem, że przed jego oczami dzieje się jakiś cud. Ale nie chciał przeszkadzać.

- Lepiej już pójdę - powiedział i ruszył w stronę drzwi.

Joanna jednak zapragnęła, aby jeszcze został.

- Może chciałbyś ją potrzymać? - zapytała.

W tej chwili wydało mu się, że dziecko jest jeszcze mniejsze i bardziej kruche niż wczorajszej nocy, a jego ręce za duże i niezręczne.

- Już raz ją trzymałem - powiedział.

- Nie bój się, nie zrobisz jej krzywdy, jeśli będziesz delikatny.

Bardzo ostrożnie, podtrzymując główkę małej, Rick wziął ją na ręce. W tym momencie niechący musnął palcami piersi Joanny. Ich oczy spotkały się, ale zaraz Rick cofnął się, przytulając do siebie maleństwo.

- Jest pan urodzonym ojcem - powiedziała z aprobatą pielęgniarka.

- Nic dziwnego - wyjaśniła jej Joanna. - To on jako pierwszy trzymał ją na rękach.

- Więc jest pan ojcem? - uśmiechnęła się pielęgniarka.

- Nie. - Mówiąc to, uświadomił sobie, że z krainy fantazji, w której się znalazł, musi powrócić do realnego świata. - Nie jestem - powiedział. I w tym cały problem...

Podał dziecko Joannie, mówiąc:

- Jeszcze tu wpadnę, zanim cię wypiszą.

Joannę niemile zaskoczył oficjalny ton jego głosu. Najwyraźniej zniknął gdzieś most, który na jakiś czas połączył ich światy, i powrócili znów do roli obcych sobie ludzi, którzy kiedyś zadali sobie ból.

Nieco później tego samego popołudnia Joannę odwiedziły trzy pozostałe członkinie drużyny młodych mam, przynosząc jej moc prezentów, i co najważniejsze, wprawiając ją w radosny nastrój. A tego właśnie ostatnio bardzo potrzebowała.

Mała akurat nie spała i wydawało się, że chętnie pozwala się przenosić z rąk do rąk, niczym cenna lalka.

Jako pierwsza wzięła ją na ręce Sherry Campbell, świeżo upieczona mama, która właśnie wróciła do pracy jako reporterka miejscowej gazety „Bedford News”. Córeczka Joanny była prawie taka duża jak trzymiesięczny synek Sherry, który urodził się jako wcześniak.

- Jest naprawdę prześliczna - powiedziała Sherry, obdarzając Joannę promiennym uśmiechem. - Zresztą nic dziwnego. Wystarczy popatrzeć na jej mamę.

Z kolei Chris Jones, agentka FBI, wzięła małą z rąk przyjaciółki i mocno przytuliła do piersi, opierając niemowlę o swój zaokrąglony brzuch.

- Szkoda, że nie wiemy, jak wygląda jej ojciec - zauważyła.

- No, na pewno nie był podobny do ropuchy - zaśmiała się Lori O'Neill.

- Czy banki spermy pozwalają, by szpetni mężczyźni zostawiali tam swoje... hm... geny?

- Mamy tu najlepszy przykład, że nie - zażartowała Chris, która oddała dziecko w ręce Lori, podeszła do łóżka Joanny i przysiadła na rogu, choć nie przyszło jej to łatwo.

- Powiedz, bardzo było okropnie?

- Co?

- Poród, oczywiście - westchnęła Chris. - Mam cykora.

- No, przyznam, że bolało jak diabli. Ale dało się wytrzymać - uśmiechnęła się Joanna. - Trochę mnie dziwi, że agentka FBI, która bywała w różnych opałach i zawsze wychodziła cało z opresji, tak się boi porodu.

Chris odrzuciła długie, jasne włosy na ramiona i powiedziała:

- Nie boję się porodu, chcę tylko być przygotowana, i tyle. Pierwszą rzeczą, jakiej uczą agentów FBI, jest to, żeby nigdy nie wchodzili do żadnego pomieszczenia, nie upewniwszy się najpierw, jak się z niego wydostać.

- Z tego konkretnego „pomieszczenia” jest tylko jedno wyjście: musisz urodzić - przypomniała jej Lori - więc lepiej pogódź się z tym już teraz. Wyluzuj się - poklepała Chris po rękę - nie będzie tak źle, jak myślisz.

- Czemu nie zapytasz Sherry? - zaproponowała Joanna.

W końcu to właśnie ta pełna życia reporterka była pierwszą z ich grupki, która urodziła dziecko, i jeśli już ktoś miał odsłonić przed Chris tę ciemniejszą stronę porodu, to tą osobą była Sherry. To ona urodziła swojego synka w samotnej chatce w górach, mając za asystentów tylko swego ukochanego oraz poczciwego psa. Szczęśliwie dla niej, jej ukochany potrafił właściwie wszystko, w swoim czasie nawet studiował medycynę.

Chris westchnęła i zaczęła wodzić palcem po wzorku na kocu.

- Dlatego, że Sherry cały czas wciska mi kit, wiesz, ten stary tekst: „Zapominasz o bólu, kiedy tylko weźmiesz na ręce swoje dziecko”.

- Ale to prawda - powiedziała Joanna. - No, może niezupełnie - poprawiła się, spoglądając na swoją córeczkę, którą znów trzymała Sherry. - Znam większe przyjemności, ale na pewno warto trochę pocierpieć. Uwierz mi.

Mała zaczęła popłakiwać, ale szybko przestała, kiedy Sherry poklepała ją delikatnie po małym tyłeczku.

- Słyszałam, że i ty nie dojechałaś na czas do szpitala - powiedziała.

- To prawda - zaśmiała się krótko Joanna. - O mały włos, a w ogóle nigdzie bym nie dojechała. Kiedy zaczęłam rodzić, mój dom się palił.

Oczy Lori zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- O rany, nie miałyśmy o tym pojęcia. I co z twoim domem?

Joanna pamiętała, jak bardzo była przerażona, kiedy sanitariusze pakowali ją do ambulansu. Zanim zamknęli drzwi, zdążyła spojrzeć na dom, który, jak się zdawało, był cały w płomieniach.



- Słyszałam, że jeszcze stoi. Szef brygady strażaków wpadł tu do mnie z rana i powiedział, że udało im się uratować część domu, ale na razie nie da się w nim zamieszkać.

A to dopiero historia, pomyślała Sherry, która знаła trudności finansowe Joanny. Ona także z powodu ciąży straciła pracę jako główna prezenterka wiadomości w lokalnej stacji telewizyjnej. Dzięki znajomościom udało się jej dostać zajęcie w gazecie, ale gdyby nie to, znalazłaby się w takiej samej sytuacji jak Joanna. Bezrobotna. Z tym że Sherry, w odróżnieniu od Joanny, miała oparcie w rodzinie.

Sherry pochyliła się nad Joanną i uściśniła jej rękę.

- Możesz zamieszkać u mnie - uśmiechnęła się do niej. - Mogłybyśmy założyć coś w rodzaju spółdzielni.

- Dzięki - odparła Joanna - ale ty sama masz małe dziecko i pojawił się w twoim życiu nowy mężczyzna. To nie jest dobry moment, by udzielać gościny jeszcze jednej kobiecie z noworodkiem.

- Na razie możesz wprowadzić się do mnie - wtrąciła szybko Lori.

Joanna roześmiała się. Była pewna, że propozycja Lori płynęła z dobrego serca, ale nie mogła jej przyjąć.

- Przecież u ciebie byłam. Twoje mieszkanko to najmniejsza kawalerka, jaką widziałam. Ty sama ledwie się w niej mieścisz.

Lori wiedziała, że Joanna ma rację. Od czasu kiedy zaszła w ciążę, szukała mieszkania do wynajęcia.

- Rozglądałam się za czymś większym - powiedziała.

- Jeszcze ja zostałam - powiedziała Chris. - Jak wiesz, moje mieszkanie jest znacznie większe.

Joanna jednak już podjęła decyzję.

- Dziękuję wam wszystkim, jesteście kochane, ale mam gdzie się podziąć.

- Przecież nie zamieszkaż w hotelu - zaprotestowała Sherry. - Ceny są niesamowite, no i...

- To nie hotel - weszła jej w słowo Joanna. - Mam na myśli posiadłość Mastersów.

Pozostałe trzy młode kobiety wymieniły spojrzenia. Pierwsza pozbierała się Chris.

- Co takiego? Jak do tego doszło?

Joanna postanowiła ograniczyć się do skróconej wersji wydarzeń. Nikt nie wiedział o niej i o Ricku i chciała, aby na razie tak pozostało. Może nawet na zawsze.

- Wszystko dlatego, że to Rick Masters wyprowadził mnie z mojej płonącej sypialni.

Lori przypomniała sobie, że w gazecie widziała wzmiankę o Mastersie.

- Chyba czytałam, że przebywa teraz na Florydzie?

- To jego ojciec, Howard Masters.

- Ach, więc chodzi o syna... Chris wiedziała o nim trochę więcej.

- Patrzcie tylko, spotkanie jak z bajki...

- To nie było nasze pierwsze spotkanie - przyznała się Joanna, chociaż obiecała sobie nie wtajemniczać przyjaciółek w swoje przeżycia sprzed lat.

Lori usiadła wygodnie na łóżku i zapytała:

- A więc coś przed nami ukrywałaś?

- To dawne dzieje...

- Fakty, dawaj fakty - odezwała się błagalnie Chris. - Sama wiesz, że ciężarne kobiety uwielbiają romantyczne historie.

- To naprawdę bardzo stare dzieje - odparła Joanna, pragnąc się taktownie wycofać.

- Nieważne - zachęcała ją Sherri. - Opowiadaj.

Może rzeczywiście im się zwierzyć? Przecież te młode kobiety okazywały przyjaźń i zainteresowanie jej losem.

- Mieliśmy się pobrać.

- I co? - odezwały się wszystkie trzy chórem. Joanna westchnęła, te wspomnienia były dla niej wciąż bolesne, nawet po tylu latach.

- Jego rodzice przekonali mnie, że nie nadaję się na żonę dla niego. Że powinien poślubić Loretę Langley.

- Już w tej chwili nienawidzę tej wstrętnej baby - oznajmiła Lori. - Ale kto to taki?

- Ktoś z jego klasy społecznej.

- Kto by się tym dziś przejmował - oburzyła się Chris. - Mam nadzieję, że im powiedziałaś kilka słów do słuchu.

Może powinna była, ale nie tak wychowała ją matka. Poza tym rodzice Ricka wytoczyli wiele argumentów.

- Nie, oni mnie przekonali.

- Ale chyba nie jego - oświadczyła Chris.

- Co masz na myśli? - zdziwiła się Joanna.

- Dodałam dwa do dwóch, to wszystko. Przecież to on cię wczoraj uratował, prawda? Jeśli ten facet nie jest szalonym piromanem, który wymyśla jakies własne, heroiczne scenariusze, to powiedziałabym, że mu na tobie zależy.

Joanna pokręciła jednak przecząco głową, odrzucając tę hipotezę. Nie zamierzała drugi raz narazić się na tak bolesny upadek.

- Wątpię - powiedziała cicho. Ale Sherry poparła Chris.

- Przecież zaofiarował ci gościnę, prawda?

- To o niczym nie świadczy. Mógłby bez trudu sprosić wszystkich mieszkańców naszego miasta. Ich dom jest naprawdę ogromny.

To nieważne, czy dom jest duży, czy mały, pomyślała Sherry. Ważne, kto w nim mieszka.

- Nasza przyjaciółka jest jakoś podejrzanie uparta - powiedziała głośno, spoglądając porozumiewawczo na pozostałe kobiety.

Joanna nie zważała jednak na ich słowa. Mogą sobie mówić, co im się żywnie podoba. Trudno powiedzieć, dlaczego Rick pojawił się znowu w jej życiu, ale z pewnością już dawno temu przestał się nią interesować. Nie ma sensu robić sobie złudzeń. Teraz, pomyślała, spoglądając na swoją córeczkę, mam ważniejsze sprawy na głowie.

RS

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Za każdym razem, kiedy przed nią stawał, Joanna z trudem ukrywała zdziwienie. Tym razem przyniósł niespodziankę. Gdy tylko wszedł do pokoju, położył jej w nogach duże, prostokątne pudełko, nie zawinięte w ozdobny papier, nawet bez kawałka wstążki, ale z wydrukowanym logo sklepu dla najzamożniejszej klienteli.

- Co to takiego? - zapytała, nie dotykając pudełka. Rick nie mógł się doczekać chwili, aż ona je otworzy, chciał widzieć wyraz jej twarzy, gdy zobaczy zawartość. Joanna zastanawiała się, co oznacza ten prezent. Czy Rick chce w ten sposób dać jej do poznania, że żałuje, iż osiem lat temu nie próbował jej zatrzymać? Nie, to zupełnie bez sensu, on z pewnością w ogóle się nad tym nie zastanawiał. W przeciwieństwie do niej.

- Jest tylko jeden sposób, żebyś się dowiedziała. Otwórz pudełko!

Jednak ciągle się wahała, więc Rick sam uniósł wieczko. W tym momencie pudełko się przekrzywiło i jego zawartość wysunęła się na łóżko. Był to dwuczęściowy czerwony kostium.

Więc nie zapomniał, pomyślała Joanna, nie wierząc własnym oczom. Kiedyś pokazała mu podobny kostium na wystawie i powiedziała, że się jej bardzo podoba. Ten, który dostała teraz od Ricka, był prawie identyczny. Ale to wszystko działo się osiem lat temu. To musi być zwykły zbieg okoliczności. A jednak...

- Przyniosłeś mi coś do ubrania? - zagadnęła, próbując odczytać z jego twarzy, czy ten kostium także dla mego ma szczególne znaczenie. Niczego takiego jednak nie spostrzegła. - Kupiłeś mi kostium?

Rick wyjął spod kostiumu jasnokremową bluzkę i położył ją obok.

- Wkrótce stąd wyjdiesz, a nie sądzę, żeby szpital pozwolił ci zatrzymać tę uroczą nocną koszulkę, którą ci tu wydano. A wiem z całą pewnością, że prawo zabrania paradowania nago w miejscach publicznych - nawet jeśli ktoś ma takie ciało jak ty.

Joanna pogładziła palcami materiał. W żaden sposób nie mogłaby sobie pozwolić na kupno czegoś takiego.

Jakoś jednak zdobędzie pieniądze, żeby mu zwrócić za ten kostium. Ma swoją dumę i nie pozwoli nikomu się kupić, nawet jeśli ten ktoś kieruje się uprzejmością.

- Dziękuję za komplement - roześmiała się - ale ośmielę się zauważyć, że już dawno tego ciała nie widziałeś.

Jak dawno, wiedziała dokładnie, co do dnia. Ile lat, miesięcy, dni. Bez względu na to, co zaprzętało jej myśli w danej chwili, te informacje zawsze tam tkwiły.

Rick zastanawiał się, czy Joanna w ogóle pamięta ten czerwony kostium, który pokazała mu kiedyś na wystawie. Pewnie nie. Zganił siebie za zbyt ni sentymentalizm. Zabawne, przecież uważał, że sentymenty dawno go opuściły. Okazało się, że czekały tylko na moment, kiedy ujrzał znowu Joannę.

- Pozwolę sobie przypomnieć ci, że jednak się widzieliśmy, parę dni temu - zażartował, wzruszając ramionami.

Joanna oblał się rumieńcem i powiedziała:

- Wiesz, co mam na myśli.

- Tak, pamiętam, i rzeczywiście bardzo dawno temu nie widziałem twego ciała w pełnej krasie - przyznał, ale obrzuciwszy ją wzrokiem, dodał: - Mimo to założyłbym się, że wyglądasz lepiej niż dziewięćdziesiąt osiem procent damskiej populacji.

Joannie zabłyśły z rozbawienia oczy.

- Dziewięćdziesiąt osiem procent? - zdumiała się, kręcąc z niedowierzaniem głową. - No, to musiałeś być bardzo zajęty. Skąd brałeś czas, żeby pilnować interesów?

- No, może trochę przesadziłem - przyznał, siadając na krześle przy łóżku.

Pamiętał wszystko, co jej dotyczyło. I to było jego przekleństwem, przyczyną, dla której nie potrafił się ustatkować i założyć rodziny, tak jak wszyscy jego przyjaciele.

- Powinien na ciebie pasować - rzekł, wskazując zawartość pudełka.

Joanna spojrzała na żakiet. Tak, to był jej numer.

- Masz dobre oko.

- Może raczej dobrą pamięć. Pamiętasz, kupiłem ci kiedyś sweter na Boże Narodzenie.

Joannę ogarnęła fala smutku. Sweter powędrował do pudełka z pamiątkami, razem ze wszystkimi kartkami i listami, jakie Rick do niej napisał, i ze wszystkimi fotografiami, na których widnieli oboje. Pudełko stało na półce w szafie. Na pewno spłonęło.

Próbowała powstrzymać łzy.

- Co ci jest?

- Nic. - Pociągnęła nosem. - To tylko alergia. Rick przyjrzał się jej badawczo. Kłamała.

- Nie pamiętam, żebyś cierpiała na alergię.

- Nieważne, raz przychodzi, raz odchodzi.

Bardzo starannie włożyła spódniczkę do pudełka, potem żakiet, a na wierzch złożoną bluzkę i przykryła wszystko wieczkiem.

- Dziękuję ci - powiedziała.

Rick odstawił pudełko na półkę przy ścianie i uśmiechnął się tylko w odpowiedzi.

Wciąż jest troskliwy. Miło wiedzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniły.

- W ogóle się nie zastanawiałam, co na siebie włożę - wyznała.

Ojej córeczkę już zadbano, mogła wybierać spośród prezentów, jakie przyniosły jej Lori, Sherry i Chris.

Rick słusznie przypuszczał, że nie będzie pamiętała o ubraniu dla siebie. Kiedy jeszcze raz pojechał do jej domu, żeby ocenić, jakie poniosła straty, przekonał się, że z jej garderoby nie zostało dosłownie nic. Na stoliku w salonie znalazł tylko torebkę, która cudem się uratowała.

- Nigdy nie zwracałaś uwagi na drobiazgi.

- To prawda - przyznała. - To była twoja dziedzina.

Właśnie dlatego tak wspaniale do siebie pasowali, idealnie się uzupełniali. Tak jakby rzeczywiście byli dwiema połówkami tego, co miało stanowić jedną osobę. Dwiema połowami tego samego jabłka, które się odnalazły. Tak w każdym razie Joanna wtedy uważała.

Czy rzeczywiście była taka naiwna? Naprawdę wierzyła w istnienie bratnich dusz?

Przez chwilę Rick siedział w milczeniu, patrząc na nią i zastanawiając się, co się z nimi stało. Dlaczego wszystko tak źle się ułożyło? Przecież tak wiele ich łączyło, tak bardzo do siebie pasowali.

A potem roześmiał się w duchu. Znał odpowiedź na to pytanie. Naturalnie, po części zawinili jego rodzice, ale ona też była winna. Powinna była go kochać, wierzyć w niego i wiedzieć, że on wszystko wyprostuje.

Ale pozwoliła, by ją okłamano. By ją przekupiono. To był prawdziwy koniec wszelkich marzeń o ich przyszłości. Pozwoliła, by stanęły między nimi pieniądze. Tak jak przepowiedzieli jego rodzice.

Z zamyślenia wyrwał go dotyk jej ręki. Joanna wpatrywała się w niego, nie wiedząc, czemu zamilkł.

- Co takiego? - ocknął się.

- Gdzie jesteś?

- Tutaj, jestem tutaj - rzucił krótko. - Po prostu myślałem. ..

Joannie zdawało się, że wie, o czym.

- Może masz wątpliwości w sprawie udzielenia mi gościny?

- Ależ nie - zaprzeczył i zmusił się do uśmiechu. - Po prostu tak sobie rozmyślałem - powtórzył.

Zamykał się przed nią. Czego innego mogła oczekiwać? Że zaczną wszystko od nowa, od punktu, w którym się rozstali osiem lat temu? Że porwie ją w ramiona i powie: „liczy się tylko to, że cię Kocham i zawsze będę kochał”?

Nie miała już dwudziestu lat i nie była naiwną pensjonarką. Nie istnieje coś takiego jak: „4 żyli długo i szczęśliwie”, w każdym razie ich nie może to dotyczyć.

Mimo to chciała, żeby jej szczerze powiedział, o co chodzi.

- O czym? - zapytała.

O tym, jak to możliwe, że coś tak cudownego tak źle się skończyło.

Zamiast odpowiedzieć, Rick wstał, odsunął krzesło i zapytał:

- O której cię jutro wypisują?

- Przed południem. Moje ubezpieczenie nie pokrywa następnego dnia.

- Sądziłem, że związek nauczycieli ma przyzwoite ubezpieczenie zdrowotne - zdziwił się Rick, marszcząc brwi.

- To prawda - odparła. Jednak ona sama, z uwagi na swoją obecną sytuację, nie mogła sobie pozwolić na tak kosztowne ubezpieczenie.

- Mam indywidualną polisę - wyjaśniła mu, westchnąwszy głęboko. - Nie jestem teraz nauczycielką.

Rick zdawał się zupełnie zaskoczony. Joanna od dziecka chciała być nauczycielką.

- Przecież uwielbiałaś uczyć w szkole.

- I nadal tak jest - potwierdziła. - Kiedy zdecydowałam się zostać samotną matką, nie przyszło mi do głowy, że miejscowa rada oświatowa wysunie obiekcje. Mówiąc wprost, uznali, że ciężarna samotna nauczycielka nie będzie dobrym wzorem dla dzieci. Więc poprosili mnie, żebym wzięła „długi urlop”.

- Bezpłatny - domyślił się Rick.

- Oczywiście.

Podziwiał Joannę za to, że ma tyle charakteru. Inna kobieta na jej miejscu już dawno by się załamała.

- Więc jesteś bezrobotna.

- Powiedzmy, że jestem chwilowo niezatrudniona, dopóki nie znajdę następnej pracy - odpowiedziała, unosząc dumnie podbródek.

Rick roześmiał się, potrząsając głową.

- Ciebie nic nie złamie!

- Staram się nie dawać. Poza tym wiem, że różne sprawy z czasem się układają. Chociażby ta noc, kiedy wybuchł pożar. - Spojrzała na niego znacząco. - Kto by pomyślał, że właśnie ty uratujesz mnie z płomieni?

- Kto by pomyślał? - powtórzył za nią Rick. - Będę tu przed jedenastą - oznajmił. Gdy na nią spojrział, zobaczył, że z uśmiechem potrząsa głową. - O co chodzi?

- Coś mi się przypomniało - Joanna uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Pamiętasz, jak kiedyś mówiłeś, że nigdy nie staniesz się podobny do swego ojca?

Tak, mówił jej różne rzeczy. Na przykład przysięgał dozągoną miłość. Dzisiaj brzmiało to melodramatycznie, ale wówczas wierzył w to tak niezbycie, że aż sam się sobie dziwił.

Zycie potrafi zniweczyć wiele nadziei.

Rick pochylił się i powiódł palcem po jej policzku.

- Mówiłem mnóstwo różnych rzeczy - powiedział. Ona też. Nie było sensu do tego wracać.

- Czas płynie i wszystko się zmienia. Joanna wzniosła ku niemu oczy.

Może nie powinnam była uwierzyć twoim rodzicom, pomyślała. Może nie powinnam była od ciebie odejść, ale ty też popełniłeś błędy. Pozwoliłeś mi odejść, nie próbowałeś mnie zatrzymać.

- Tak, to prawda, ale ludzie nie muszą się zmieniać.

- Muszą, jeśli chcą się rozwijać. Jeśli nie idziesz naprzód, cofasz się.

Można by pomyśleć, że to mówi jego ojciec...

- Do zobaczenia jutro - rzucił Rick, który wolał nie kontynuować tego tematu, i ruszył w stronę drzwi.

- Rick...

Z ręką na klamce odwrócił się i spojrział przez ramię.

- Co takiego?

- Przecież Rachel i ja możemy zamieszkać w hotelu.

- Pani Rutledge czeka na ciebie. Zobaczymy się jutro - powtórzył i wyszedł z pokoju.

Nazajutrz wydawało się, że wszystkie chmury z południowej Kalifornii ściągnęły nad Bedford. O szóstej rano zagrzmiało, po czym rozszalała się burza, której końca nie było widać.

- Gdyby tak łało trzy dni temu, mój dom by ocalał - zauważyła Joanna, wsiadając do mercedesa.

Za nią, na tylnym siedzeniu, leżała Rachel w specjalnym łóżeczku. Joanna była zaskoczona, że Rick pomyślał o kupnie tego łóżeczka. Jej dług wobec niego rósł w oczach.



Gdyby trzy dni temu tak padało, pomyślał Rick, po prostu pojechałby dalej, nie zatrzymałby się przy jej domu. Nie musiałby ratować jej z pożaru ani odbierać porodu. Ani znów robić dla niej miejsca w swoim życiu, chociażby na jakiś czas.

Dziwne są zrządzania losu, który jednocześnie potrafi dawać i odbierać.

Zerknął na Joannę, siedziała koło niego w milczeniu.

- Zmęczona?

- Trochę. - I trochę zaniepokojona, że może podjęła niewłaściwą decyzję.

- Niedługo będziemy na miejscu.

- Tak, pamiętam drogę.

Mimo szalejącej za oknem burzy i wycieraczek, które raz po raz zbierały z szyb wodę, Joanna bez trudu spostrzegła wysoką, szczupłą postać kobiety, z olbrzymim parasolem w ręku. Czekala u wejścia, gotowa w każdej chwili ruszyć z pomocą. Więc jednak nie wszystko się zmienia, pomyślała Joanna, która na widok gospodyni poczuła ciepło w sercu.

Ani zdążyła się obejrzeć, jak otworzyły się drzwi samochodu i owionęła ją woń wanilii, zmieszana z zapachem deszczu.

- Moja droga, taka jest pani bledziutka. - Jasnozielone oczy pani Rutledge spojrzały z wyrzutem na Ricka, a zaraz potem, ze współczuciem, na twarz Joanny.

- Dzień dobry, pani Rutledge - uśmiechnęła się do niej ciepło Joanna.

Gospodyni nic a nic się nie zmieniła, wciąż miała te same, krótko ostrzyżone szpakowate włosy, i taką samą jasnoszarą szmizjerkę do pół łydki.

- Jak się pani miewa?

- Jestem gotowa zrobić wszystko, żeby pani policzki nabrały szybko rumieńca, tego może pani być pewna.

Po pięćdziesięciu latach w jej głosie nadal pobrzmiwał cień akcentu z Karoliny Południowej. Nadine Rutledge była siódmym spośród piętnastorga dzieci pewnego górnika i jego żony. Wszyscy wyruszyli z domu w świat, kiedy tylko byli już na tyle dorośli, aby móc pracować. Tylko Nadine wyjechała na zachód. Dostała pracę u dziadka Ricka i dla paru pokoleń tej rodziny stała się wprost niezastąpiona.

Gospodyni zerknęła na tylne siedzenie samochodu i jej twarz natychmiast się rozpromieniła.

- Więc to jest ten pani skarb. Już zdążyłam zapomnieć, jak maleńkie są noworodki... A teraz poproszę - zwróciła się do Ricka - żeby pan przeszedł na moje miejsce i potrzymał parasol, a ja pomogę wysiąść pannie Joannie.

Rick posłusznie wykonał polecenie.

- Widzę, że ta kruszynka ma niebieskie oczy i jasną cerę - ucieszyła się pani Rutledge, wyjmując dziecko z łóżeczka. - Będzie z niej kiedyś prawdziwa piękność, wspomni pani moje słowa. O mój Boże, nie trzymałam niemowlęcia na rękach od czasu, kiedy opiekowałam się panem Rickiem - westchnęła, przytulając dziecko do piersi. - Aż trudno uwierzyć, że kiedyś był taki malutki.

Pod osłoną parasola gospodyni ruszyła do frontowych drzwi. Idąc za nią, Joanna uśmiechnęła się do siebie. Pani Rutledge przypominała jej królową Wiktorię przechadzającą się po komnatach zamku w Windsorze.

Właśnie, „zamek” był tu stosownym słowem.

A może raczej - „mauzoleum”. Zawsze miała wrażenie, że dom, w którym dorastał Rick, jest zimny jak gład. I nic się tu tymczasem nie zmieniło. Może zrobiło się nawet jeszcze chłodniej.

- Tak, tak, wiem - odezwała się pani Rutledge, czytając z twarzy Joanny. - Jest tu równie przytulnie, jak w jaskini, ale teraz, kiedy mieszka tu pan Rick, mam nadzieję, że będzie chciał coś zmienić, prawda?

- Przyjechałem tu po to, żeby utworzyć nową siedzibę zarządu naszej firmy, pani Rutledge - wyjaśnił sucho - a nie, żeby zmienić urządzenie domu.

- Mimo to - nie dawała za wygraną gospodyni - będzie pan musiał wprowadzić trochę zmian. Od kilku lat uzupełniam listę koniecznych napraw.

Joanna spojrzała pytająco na Ricka. Powiedział jej, że ojciec przebywa chwilowo na wakacjach.

- Czy pan Masters tu nie mieszka? - zdziwiła się.

- W ciągu ostatnich sześciu miesięcy prawie nie zaglądał do domu. Bardzo się zmienił po tym zawale. Ale dość już gadania, pani i mała muszą odpocząć. Zaprowadzę was teraz do waszego pokoju - oznajmiła gospodyni i ruszyła do pokoju na parterze, we wschodnim skrzydle domu.

Rick wiedział, że skoro pani Rutledge przejęła opiekę nad Joanną, mógłby się już wycofać i zająć swoimi sprawami, ale miał jeszcze chwilę czasu, a poza tym chciał zobaczyć minę Joanny na widok pokoju dziecinnego.

Otworzył drzwi do pierwszego pokoju i przepuścił ją przed sobą.

- Możesz tu zostać, jak długo zechcesz.

Sypialnia, utrzymana w tonacji błękitno-białej, wyglądała jak pokój z najpiękniejszych marzeń. Czyżby Rick pamiętał, że niebieski jest jej ulubionym kolorem, czy może ten pokój wyglądał tak przedtem, a ona wyciąga zbyt daleko idące wnioski?

- A tu jest pokój dziecienny - pani Rutledge otworzyła drzwi do przylegającego do sypialni, niewielkiego pomieszczenia. - Rano jest tu słońce. To znaczy, zwykle bywa, kiedy akurat nie leje, tak jak dziś.

Joanna podeszła do łóżeczka, spoglądając na nie z podziwem. Autentyczny antyk, pomyślała. Pani Rutledge ostrożnie położyła dziecko i nakryła mięciutkim, różowym kocykiem.

- Gdzie pani je znalazła... ?

- To było łóżeczko pana Ricka. Kiedy się dowiedziałam, że pani z nami zamieszka, odszukałam je pod pokrowcem na strychu.

- Tylko na jakiś czas - wtrąciła Joanna.

- Wszyscy jesteśmy tu na jakiś czas - powiedziała pani Rutledge. - W drodze do innych miejsc - dodała, uśmiechając się ciepło. - A skoro już tu jesteśmy, to powinno nam być wygodnie, prawda?

Joanna zerknęła ukradkiem na Ricka.

- To zależy, ile te wygody kosztują - odezwała się niepewnie.

- Niewiele.

- Wiesz, że nie mogę tego wszystkiego przyjąć - zwróciła się do niego.

- Porozmawiamy o tym potem - powiedział Rick.

- Teraz muszę już iść.

- Doprawdy, nie musiałeś robić sobie tyle kłopotu. Może i nie, ale chciał zrobić dla niej to wszystko.

Może nadał mu na niej zależało, mimo tego, co się wydarzyło?

- To żaden kłopot - skłamał. - Dałem tylko parę wskazówek pani Rutledge, i ona się wszystkim zajęła.

- Kątem oka zauważył, jak gospodyni spogląda na niego z lekką dezaprobatą. Ta kobieta nie znosiła kłamstw.

Rick kłamie, pomyślała Joanna. Po tonie jego głosu zawsze wiedziała, kiedy kłamał. Wzruszona, musnęła ustami jego policzek. Rick odskoczył jak oparzony.

Joanna cofnęła się o krok.

- Przepraszam - szepnęła.

- Nie przepraszaj - powiedział. Głupio się zachował, i tyle. Ale przecież nie chciał zaczynać tej historii od nowa.

Więc po co ją tu sprowadziłeś?

- Po prostu - to takie dawne czasy...

Rick poczuł, że wbrew jego postanowieniom, ogarnia go fala ciepła. Od czasu rozstania z Joanną w jego życiu były kobiety. Wiele kobiet. Na początku starał się w nich zagubić, angażował się w pozbawiony uczuć

seks, pragnąc w nim znaleźć zapomnienie. Nie znalazł i dość szybko się przekonał, jak próżne to były wysiłki.

Z nikim nie czuł się tak, jak z Joanną.

Pierwszej miłości nigdy się nie zapomina. Tak mówiła pani Rutledge, która, co bywało irytujące, zawsze miała rację.

- Zostawiam Joannę w pani nieocenionych rękach - zwrócił się Rick do gospodyni i wyszedł z pokoju.

- On też nie jest już taki sam, jak kiedyś - powiedziała pani Rutledge, gdy drzwi za Rickiem bezpiecznie się zamknęły. - Zmienił się od czasu, kiedy go pani opuściła - dodała, wprowadziwszy Joannę do sypialni i pomagając jej się położyć. - Pomyślałam, że może zechce pani to wiedzieć.

Joanna nie chciała na ten temat rozmawiać, nie miała ochoty czuć się winna z powodu wydarzeń, które kosztowały ją więcej, niż ktokolwiek się domyślał.

- Pani Rutledge...

Gospodyni uniosła ręce gestem protestu.

- Nie pytam, dlaczego pani z nim zerwała. Jestem pewna, że miała pani swoje racje; Nie moja sprawa, co się między wami wydarzyło. - Odsunęła kołdrę i czekała, aż Joanna usiądzie na łóżku. - Myślę po prostu, że powinna pani wiedzieć, że była pani jedynym promieniem słońca, jaki ten dom widział od wielu, wielu lat, i kiedy przestała pani tu bywać, to światelko zgasło. W domu i w jego oczach.

Przykryła Joannę kołdrą tak, jak tuliła do snu jej maleńką córeczkę, po czym ruszyła w stronę drzwi.

- Jestem na dole w holu. Proszę zawołać, jeśli będzie pani czegoś potrzebowała.

Joannie, która nagle poczuła się ogromnie zmęczona, zaczęły się zamykać oczy.

- Chciałabym się chwilę przespać - mruknęła sennym głosem.

Gospodyni cichutko zamknęła za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Do jej świadomości zaczął przenikać odgłos uporczywego, delikatnego stukotu, który powoli przebudził ją z głębokiego snu. To krople deszczu dzwoniły o szyby.

Joanna otworzyła oczy. W pokoju panował mrok.

Ale nie była w nim sama.

Usiadła gwałtownie na łóżku. Po chwili niewyraźny kształt, jaki spostrzegła, nabrał konturów. Przy jej łóżku stał Rick i patrzył na nią.

- Co ty tu robisz?

Rick uśmiechnął się szeroko, unosząc lewy kącik ust nieco wyżej niż prawy, jak to miał w zwyczaju. Joanna nie raz przekomarzała się z nim na ten temat.

- Może zapomniałaś, ale ja tu mieszkam. To jest mój dom - odparł, nie przestając się uśmiechać.

Joanna, jeszcze rozespana, z trudem pozbierała myśli. Przypomniała sobie wszystko. Pożar, narodziny Rachel, panią Rutledge.

- Och, tak - westchnęła głęboko. - Pamiętam.

- Czy czujesz się na tyle dobrze, żeby przyjść na kolację? A może wolałabyś, żeby pani Rutledge przysłała ci tacę do pokoju?

Joanna nie zamierzała dać się obsługiwać, chociaż ta propozycja była bardzo kusząca.

- Nie jestem inwalidką.

- A więc czekam na ciebie w jadalni. Tymczasem pani Rutledge jest obok, przysłała się dowiedzieć, czy wszystko w porządku.

Joannie zrobiło się głupio. Zamierzała zdrzemnąć się tylko na kilka minut. Jak długo spała? Kiedy zerknęła na budzik na nocnym stoliku, wykrzyknęła z przerażeniem:

- O rety, już prawie szósta. Spałam przeszło pięć godzin.

Słyszając jej głos, pani Rutledge uchyliła drzwi od pokoju dzieciennego, zajrzała do sypialni i stwierdziła:

- Na to wygląda.

Kiedy Rick powiedział, że obok czeka pani Rutledge, Joanna sądziła, że mówi o holu, a nie o pokoju dzieciennym. Szybko spuściła nogi na podłogę i powiedziała z niepokojem:

- Przecież dziecko...

Jak na starszą już kobietę, pani Rutledge umiała poruszać się bardzo szybko, nie sprawiając przy tym wrażenia, że się spieszy. Była przy Joannie,

zanim ta zdołała skończyć zdanie, i uspokajającym gestem położyła jej rękę na ramieniu, powstrzymując przed nagłym zerwaniem się z łóżka.

- Czuje się świetnie - powiedziała z ciepłym uśmiechem. - Zaglądałam do niej kilka razy. Do pani także. Z panią miałam łatwiejsze zadanie. Nie musiałam zajmować się karmieniem ani zmieniać pieluszek.

Ładna ze mnie matka, pomyślała ze wstydem Joanna. Przecież to ja powinnam się zajmować moim dzieckiem, a nie gospodyni.

- Zmieniała jej pani pieluszki? - zapytała, spoglądając na panią Rutledge z poczuciem winy.

- Moja droga, ja pochodzę z licznej rodziny. Nie raz to robiłam. A tymczasem niewiele się zmieniło. Niemowlak wchłania pokarm z jednej strony, a z drugiej wydalą resztki. Nic nowego pod słońcem. Ale ma pani jeszcze chwilę czasu, żeby zajrzeć do Rachel, a nawet odświeżyć się przed kolacją.

- Tak, Rick coś wspominał o kolacji - mruknęła Joanna, jeszcze nie w pełni przytomna.

W skrytości ducha obawiała się tej kolacji sam na sam. Czy uda się jej zachować odpowiedni dystans teraz, kiedy przed chwilą Rick się jej przyśnił i był to sen bez wątplenia erotyczny?

- Wrócił do domu pół godziny temu - oznajmiła z uśmiechem gospodyni. - Sam zajrzał do pani, nie mógł uwierzyć, że jeszcze pani śpi. I nakarmił małą.

Joanna zamrugała. Równie dobrze mogła była usłyszeć, że Rickowi wyrosły skrzydła i lata teraz nad domem.

- Nakarmił Rachel? - zapytała, wlepiając wzrok w gospodynię.

- I całkiem dobrze sobie poradził - kiwnęła głową pani Rutledge. - Ma naturalny talent. Niektórzy mężczyźni po prostu powinni być ojcami - zauważyła gospodyni, patrząc Joannie wymownie w oczy.

- Pani Rutledge... - bąknęła Joanna, zmieniając temat.

- Wiem, domyślam się, o co chodzi. W szafie znajdzie pani nową sukienkę. Pan Rick kupił ją w drodze do domu. Muszę przyznać, że i z zakupami dobrze sobie radzi. Sama pani zobaczy. A teraz już panią zostawię - powiedziała i skierowała się do drzwi. - Kolacja będzie podana w jadalni, o wpół do siódmej.

Joanna podkuliła pod siebie nogi i przez chwilę siedziała nieruchomo na łóżku, rozmyślając o tym, co się jej przytrafiło. To chyba musi być sen, pomyślała. Gospodyni, która jest jednocześnie nianią, nowe stroje, które zjawiają się w magiczny sposób, kiedy ona ich potrzebuje. A do tego wszystkiego książę z bajki, który karmi niemowlęta. Tak, to musi być sen.

I pora się z niego przebudzić, nawiązać kontakt z rzeczywistością.

Sukienka leżała jak ulał. I było jej w niej ładnie.

Nic dziwnego, Rick miał świetny gust. W ogóle miał bardzo wiele zalet. Można powiedzieć, że był bliski ideału.

Kiedy włożyła białoniebieską sukienkę, poczuła na sobie miękką, ładnie się układający materiał. Tak, w tym stroju wyglądała korzystnie i kobieco. Uśmiechnęła się do swego odbicia w lustrze, szczotkując włosy. Blond fale opadły, okalając jej twarz. Jak to możliwe, że Rick zawsze wiedział, jak należy postąpić? No, może z jednym wyjątkiem.

Ale wszystko to jest pieśnią przeszłości i niech tak pozostanie. Dla dobra ich obojga.

Kiedy podreptała do pokoju dziecinnego, Rachel wciąż smacznie spała. Joanna poczuła ukłucie w sercu, widząc swoją córeczkę w starym dziecinnym łóżeczku Ricka. To powinno być jego dziecko - pomyślała z żalem.

Ale nie jest i nie ma co żałować tego, co być nie mogło, za to należy się cieszyć tym, co jest.

Joanna jeszcze przez chwilę zatrzymała się przy łóżeczku Rachel. Najcudniejsze dziecko na świecie, pomyślała. Oczywiście, czeka ją jeszcze pierwsza noc z małą, kiedy musi sobie poradzić sama. To będzie dopiero prawdziwa próba ogniowa.

A teraz pora przejść do jadalni i zasiąść przy stole z Rickiem.

Uderzyła ją ironiczna strona tej sytuacji. Był czas, wspominała, kiedy nie stresowała jej myśl, że zaraz się z nim spotka. Kiedy popędziłaby do jadalni na skrzydłach, a nie na ołowianych nogach.

Gdy weszła do sali jadalnej, Rick siedział już przy stole, popijając wino. Na jej widok podniósł się z krzesła.

- Zawsze miałaś nienaganne maniery - uśmiechnęła się Joanna.

Jadalnia, podobnie jak wszystkie inne pomieszczenia w rezydencji, była urządzona w stylu bardzo formalnym. Pośrodku stał długi stół, przy którym można było przyjmować wielu gości. Stały na nim cztery srebrne świeczniki z białymi, długimi świecami, których płomienie łagodnie zmiękczały światło kandelabrow. Joanna zauważyła, że jej nakrycie leżało naprzeciwko jego, u przeciwległego końca stołu.

- Tak mnie wytresowano - mruknął Rick, lustrując wzrokiem jej sylwetkę. Jeśli nosiła jeszcze jakieś ślady ciąży, to on ich nie widział. Joanna była tak szczupła, jak ją zawsze pamiętał. Jak ją widział w snach.

- Ładnie ci w tej sukience - powiedział.

- Dziękuję ci jeszcze raz - odezwała się Joanna. - Za wszystko.

- Wina? - zapytał, podnosząc do góry kieliszek. - Czy może...

- Nie - potrzęsła głową. - Okazało się, że nie mogę jej sama karmić. Rachel jest absolutnie zdrowa pod każdym względem, ale niestety jest uczulona - przyznała, rozkładając ręce. - Na mnie, to znaczy na moje mleko. Lekarz powiedział, że lepiej ją karmić butelką. Ale za wino i tak dziękuję. Czuję, że zaraz by mnie uśpiło.

Wprawdzie siedząc tu, naprzeciwko niego, z pewnością nie czuła się senna. Była pełna radosnego oczekiwania, choć wiedziała, że nie ma czego oczekiwać.

- Co do twoich wydatków na mnie, to zwrócę ci je gotówką, jeśli nie masz nic przeciwko temu. - Czy jej się zdawało, czy Rick zmarszczył brwi? W przyćmionym świetle żyrandola i nikłym blasku świec nie była tego pewna. - Prawdę mówiąc, wystarczyłby mi na razie ten kostium, który przyniosłeś do szpitala.

- Położyłaś się w nim do łóżka, kiedy cię tu przywiozłem - przypomniał jej Rick. - Pomyślałem, że będziesz chciała włożyć na siebie coś świeżego.

- Tak, oczywiście, masz rację - przyznała. - Dziękuję ci. Ale wiesz, kiedy tak tu siedzę, chyba zaczynam rozumieć, dlaczego twoi rodzice tak bardzo się od siebie oddalili. Ten stół ma chyba długość basenu olimpijskiego.

Mówiąc to, Joanna zerwała się z krzesła, uniosła lekko swoje nakrycie spoczywające na haftowanej macie i przesunęła je wzdłuż wypolerowanego, orzechowego stołu, aż znalazło się przed krzesłem tuż po prawej stronie Ricka. Następnie wróciła po szklankę i kieliszek, postawiła je na miejscu i usiadła z triumfalnym uśmiechem.

- No, nareszcie.

Rick przyglądał się jej z rozbawieniem, myśląc, ile jej obecność wnosi w jego życie świeżości, której tak mu brakowało.

- Sądziłem, że tam ci będzie wygodniej - usprawiedliwił się.

- Stamtąd nie widziałam wyrazu twoich oczu.

- Czy to takie ważne?

- Nie słyszałeś? Oczy to okna duszy - powiedziała Joanna, zdając sobie jednocześnie sprawę, że jej oczy właśnie uśmiechają się do niego. Mój Boże, jak bardzo za nim tęskniła.

- Czy twoi rodzice zawsze tak jadałi?

- Tak, kiedy zdarzało im się jadać razem, co nie było często. Ojciec pracował do późna i bardzo często wyjeżdżał w interesach. Mama działała w swoich klubach i zajmowała się pracą charytatywną, więc i jej często nie było w domu. Spotykali się tutaj głównie wtedy, kiedy przyjmowali goście -



powiedział Rick, rozglądając się po sali. Zawsze było mu tu zimno, nawet w środku lata.

- Bardzo często jadalem tutaj sam.

Joanna próbowała go sobie wyobrazić, zagubionego chłopca, który łaknął nie tylko jedzenia. I znów ta sytuacja nie świadczyła na korzyść jego matki. Po co kobiety rodzą dzieci, skoro nie chcą z nimi przebywać?

- Dobroczynność zaczyna się w rodzinnym domu - oznajmiła Joanna tonem tak ostrym, że Rick z trudem powstrzymał uśmiech. Zauważył, że nie straciła nic z dawnej zadziorności. I cieszyło go, że się nie zmieniła.

- Moja mama zawsze twierdziła, że to bardzo banalne stwierdzenie.

Joanna pociągnęła duży łyk wody, nie chcąc zbyt obcesowo zareagować. Może to prawda, że o zmarłych trzeba zawsze mówić z szacunkiem, ale prawdą też było, że nie lubiła matki Ricka.

- Wybacz, że to mówię, ale twoja mama zawsze lekceważąco mówiła o innych, lubiła się wywyższać.

Tym razem Rick się nie uśmiechnął.

- Chętnie ci wybaczam. To prawda, że moja mama niewiele przypominała Matkę Teresę. - Rick zdążył się z tym pogodzić jeszcze jako mały chłopak. Długo mu się zdawało, że wszystkie matki są takie. Do czasu kiedy poznał matkę Joanny.

- Zawsze zazdrościłem ci więzi, jaka łączyła cię z twoją mamą.

- Miałam szczęście - uśmiechnęła się. Uwielbiała swoją matkę.

- Nie każdy by to powiedział na twoim miejscu - zaczął Rick, ale urwał, gdy zdał sobie sprawę, że o mało nie wymknęło mu się coś niestosownego.

Miał oczywiście na myśli sytuację jej matki. Między innymi dlatego jego rodzice odwiedzili ją w swoim czasie i powiedzieli to, co powiedzieli. Joanna hardo uniosła podbródek. Nie wstydziła się tego, kim jest.

- Na moim miejscu...? - próbowała dokończyć jego myśl. - Czy dlatego, że mój ojciec pomaszerował w siną dal, kiedy tylko mama mu powiedziała, że jest w ciąży? Dlatego, że musiała sama mnie wychowywać?

Mimo że był to przecież klasyczny scenariusz, Joannie zawsze serce się krajało, gdy tylko pomyślała, przez co musiała przejść jej matka. Miała wtedy siedemnaście lat i była bardzo wystraszona, ale jak nieraz zapewniała Joannę, pokochała ją od pierwszej chwili, kiedy się dowiedziała, że ją nosi pod sercem.

Kiedy Joanna była o wiele młodsza, często lubiła sobie wyobrażać, jak to pewnego dnia zjawia się nagle jej ojciec i błaga o przebaczenie. I prosi, by zechciała być dziewczynką sypiącą kwiatki na ich ślubie. Ale gdy miała dziewięć lat, jej mama usłyszała od dalszych przyjaciół, że ojciec Joanny

zginął w wypadku samochodowym. Taki był koniec marzeń o jego powrocie.

Jednak, mimo braku ojca, uważała się za bardzo szczęśliwą, mając taką kochaną matkę. Poza tym, co by było, gdyby jej ojciec był podobny do ojca Ricka?

Rick w żadnym wypadku nie chciał, żeby Joanna sobie pomyślała, że się nad nią lituje.

- Nie, po prostu miałem na myśli to, że ty zawsze widzisz szklanę pełną do połowy, taką, która niebawem zostanie napełniona do końca, cokolwiek by się działo. Zawsze uważałem, że to jeden z twoich największych plusów.

- Ach, dostałam to w darze od mamy. - Matka Joanny była wyjątkową optymistką. I zawsze lubiła Ricka. - Z pozytywnym nastawieniem łatwiej iść przez życie.

Rick przytaknął. Pamiętał, jak przed laty matka Joanny wspomniała o tym, gdy siedzieli w kuchni przy kawie. Spojrzał na Joannę i zapytał:

- Kiedy to było?

- Kiedy odeszła? - domyśliła się, słysząc wahanie w jego głosie. - Trzyście miesięcy temu.

Śmierć matki Joanny zasmuciła Ricka bardziej, niż strata jego własnej matki.

- Tak mi przykro, że nie dożyła narodzin swojej wnuczki, a zarazem imienniczki.

Tego właśnie Joanna żałowała najbardziej. Że nie może teraz dzielić tego wszystkiego z matką. Teraz, gdy sama miała dziecko, postrzegала macierzyństwo z nowej perspektywy. O tylu rzeczach pragnęła porozmawiać ze swoją matką.

- Ja też bardzo tego żałuję.

- Powiedz mi, Joanno, dlaczego akurat teraz zdecydowałaś się na dziecko?

Ta myśl przyszła jej do głowy pewnego wieczoru, kiedy siedziała sama w pustym domu.

- Cóż, po śmierci mamy poczułam, że potrzebuję kogoś, kogo mogłabym kochać. Miałam w sobie dużo tej miłości, ale nikt jej nie potrzebował. Więc postanowiłam urodzić dziecko.

Rickowi nietrudno było zrozumieć powody tej decyzji, natomiast dziwił go sposób realizacji. Joanna miała dopiero dwadzieścia osiem lat.

- Ale dlaczego w ten sposób? Większość kobiet postarałaby się najpierw znaleźć odpowiedniego mężczyznę.

Trudno było się z tym nie zgodzić. Joanna spojrzała mu w oczy i powiedziała:

- Ja go już znalazłam.

Czy ona chce przez to powiedzieć, że był w jej życiu jeszcze ktoś inny? I że z tym kimś też zerwała?

- Kto to taki?

Mężczyźni, pomyślała Joanna, potrafią być czasami bardzo nierozgarnięci. Nawet ci inteligentni.

- Domagasz się komplementu? Przecież to ty, idioto.

- Jeśli to prawda, to dlaczego ze mną zerwałaś? Joanna spuściła wzrok. To była bolesna sprawa, nawet po tylu latach. Podejrzewała, że tak już pozostanie.

- Zrobiłam to dla ciebie.

- Dla mnie? - powtórzył za nią. Cyniczny ton jego głosu zranił ją do żywego.

- Z pewnością nie zrobiłam tego z myślą o sobie. To była najtrudniejsza chwila w moim życiu.

- Czyżby? Czy tak trudno było złamać mi serce? A może łapówka, którą przyjąłeś, pomogła ci o tym zapomnieć?

- Łapówka? - Joanna zupełnie straciła apetyt. Odsunęła talerz i zapytała z oburzeniem w głosie: - Jaka łapówka? O czym ty, u licha, mówisz?

Rick poczuł, jak gniew dławi go w gardle. Jak to możliwe, że ona mu nie ufała, nie wierzyła, że on potrafi przeciwstawić się ojcu i zadbać o nich oboje?

- Nie udawaj idiotki, to ci nie przystoi.

Joanna wstała z płonącymi oczami. Wszystkie emocje, które dusiła w sobie tak długo, czekały tylko, by wybuchnąć.

- Nie waż się mi mówić, jak się mam zachowywać. Mogę się zachowywać jak idiotka, jeśli zechcę, zwłaszcza że nie mam pojęcia, o co chodzi.

Kłamała. Po tylu latach wciąż jeszcze kłamała. Jak mogła? Czyżby myślała, że on nie wie, co się wtedy stało?

- Ojciec mi wszystko opowiedział.

- Więc mnie oświeć - rzuciła, krzyżując ręce na piersi. - Co on ci takiego powiedział?

Rick miał ochotę wstać i wyjść. Odejść jak najdalej. Ale przecież już raz tak zrobił, i jednak teraz wrócił. Tym razem zamierzał stawić jej czoło. I posłuchać, co Joanna ma na swoje usprawiedliwienie.

- Powiedział ci, że jeśli za mnie wyjdiesz, wydziedziczy mnie i zostawi bez grosza, ale jeśli ze mną zerwiesz, da ci czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. I ty wzięłaś te pieniądze.

Joanna otworzyła usta ze zdumienia. Rick naprawdę w to uwierzył?

- Co takiego?

- Wzięłaś te pieniądze - powtórzył. Z trudem powstrzymał się, żeby na nią nie krzyknąć, nie zapytać, dlaczego wszystko w ten sposób zaprzepaściła.

- Widziałem twój podpis na odwrocie tego czeku. Nie chciałem uwierzyć, ale ojciec pokazał mi dowód.

Przez chwilę Joanna była zanedo zaskoczona, żeby się odezwać. Nie przyszło jej do głowy, że ludzie mogą posunąć się tak daleko w oszustwie. Sama zawsze brzydowała się kłamstwem.

Kiedy odzyskała wreszcie oddech, powiedziała, potrząsając głową:

- Więc do długiej listy swoich talentów twój ojciec może dodać nie tylko kłamstwo, ale i fałszerstwo.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że to wszystko się nie wydarzyło!

- Chcę ci powiedzieć, że to tylko część prawdy. Tak, twoi rodzice mnie odwiedzili i rzeczywiście uprzedzili, że cię wydziedziczą, jeśli cię poślubię. I rzeczywiście wręczyli mi czek. I od tego momentu historia wygląda inaczej. Na ich oczach podarłam ten czek. I wtedy twoja matka wzięła mnie na stronę i odmalowała w żywych barwach scenariusz, według którego z czasem byś mnie znieawidził, bo byłbyś skazany na egzystencję pozbawioną tego wszystkiego, do czego przywykłeś. I to by była moja wina.

Tym razem to Rick wpatrywał się w nią osłupiały, nie wiedząc, czy ma wierzyć jej słowom.

- I ty jej uwierzyłaś?

- Nie chciałam... - westchnęła i na wspomnienie tego spotkania zakreśliła się jej w oczach łzy. - Ale to wszystko brzmiało bardzo przekonująco i w pewnym momencie przestraszyłam się, że w tym, co powiedziała, może być więcej niż ziarno prawdy. Ja zawsze musiałam walczyć o przetrwanie i nie byłoby to dla mnie niczym strasznym. Ale nie wiedziałam, czy ty byś potrafił, i uznałam, że nie powinnam pozbawiać cię wszelkich wygod, jak to nazwała twoja matka. Wolałabym umrzeć, niż dożyć chwili, kiedy byś mnie znieawidził. I, w pewnym sensie, coś we mnie wtedy umarło.

- Więc ty nigdy nie przyjęłaś tych pieniędzy - powtórzył Rick, starając się przyswoić sobie tę prawdę.

- Nigdy. - Dlaczego musiała go o tym przekonywać? Przecież kiedyś ją kochał, jak to możliwe, że w nią nie wierzył? - Może chcesz mnie podłączyć do wykrywacza kłamstw? - zapytała cynicznie.

- Czemu do mnie nie przyszedł i nie powiedziałeś tego wszystkiego?

- Bo gdybym to zrobiła, nie pozwoliłbyś mi odejść.

- Oczywiście, że nie!

- A ja każdego dnia żyłabym w strachu, że zaczniesz czuć do mnie niechęć, a może w końcu mnie znienawidzisz.

Rick nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Powinnaś mnie lepiej znać. Bardziej mi ufać...

- Pewnie tak. Ale nie chciałam ryzykować. Miałam dwadzieścia lat i byłam jeszcze bardzo naiwna. A ty byłeś dla mnie wszystkim i pragnęłam, żebyś był szczęśliwy.

- I dlatego mnie porzuciłaś.

- Dlatego cię porzuciłam - powtórzyła za nim. Poświęciła dla niego to, co najcenniejsze, i omal jej to nie zabiło. - Twój rodzic powiedział, że Loretta Langley byłaby dla ciebie odpowiedniejszą żoną.

Rick świetnie pamiętał, jak rodzice stawali na głowie, żeby ich ze sobą skojarzyć, kiedy tylko ojciec wystąpił z sensacyjną opowieścią, jak to Joanna przyjęła łąpówkę.

- Loretta Langley jest płytka, próżna, pozbawiona charakteru lalunią, która łatwo dałaby się wodzić mojej matce za nos. Nie chciałem marionetki, chciałem ciebie.

Joanna przełknęła łzy i zamrugła.

- Więc dlaczego nie próbowałaś mnie powstrzymać? Dlaczego po prostu spakowałaś manatki i wyjechałaś?

- Bo czułem się zraniony.

Jego rodzicom udało się dokonać podłego czynu: zranili dwie osoby jednocześnie.

- Bo uwierzyłeś, że mnie można kupić. Jak mogłeś? Rick odpowiedział jej na to pytaniem:

- A jak ty mogłaś uwierzyć, że mógłbym wybrać nie ciebie, a moje puste, luksusowe życie?

Nie mieściło mu się to w głowie. Tyle lat zmarnowanych przez kłamstwa...

- No i co teraz?

Joanna pomyślała, że za wiele upłynęło czasu, by mogli zacząć od nowa, od punktu, w którym się rozstali, mimo że bardzo tego pragnęła. Trzeba było rozwikłać różne wątki, odbudować zaufanie. Trochę tak, jakby się

uczyło na nowo chodzić po poważnym wypadku, gdy straciło się władzę w nogach.

Może kiedyś...

- Teraz dokończymy kolację - powiedziała i z powrotem przysunęła do siebie talerz. - I będziemy się posuwać krok po kroku.

Kiedy Rick gwałtownie wstał z miejsca i odsunął krzesło, którego nogi głośno zaszurały po marmurowej podłodze, spojrzała na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

- Co robisz?

Rick wziął ją za rękę, pomógł wstać i przyciągnął do siebie.

- Właśnie się zdecydowałem, jaki będzie mój następny krok.

RS

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jedno spojrzenie w jego oczy przekonało Joannę, że on pragnie dokładnie tego, czego ona, tego, o czym myślała i marzyła przez długie lata, kiedy jego zabrakło.

Rick zanurzył palce w jej włosy. Ich usta spotkały się. Oboje zalała gorąca fala uczucia, uwolniona po długich latach, kiedy postawiono jej wysoką, nieprzebytą tamę.

Jakże Joanna za nim tęskniła! Zarzuciwszy mu ramiona na szyję, przyłgnęła do niego całym ciałem, rozkoszując się jego ciepłem, tak dobrze znanym, i jego zapachem.

Kto powiedział, że przeszłości nie da się pochwycić, chociażby na jeden moment? Gdy całowała Ricka, odpłynęły wszystkie te lata, które ich dzieliły, odpłynęły smutek i cierpienie. Joanna znów miała dwadzieścia lat i była zakochana.

Rick poczuł, jak uginają się pod nim kolana. Żadna kobieta nie miała nad nim takiej władzy jak ona, żadna nie potrafiła tego dokonać.

No tak, ale on kochał przecież tylko ją. Inne kobiety naprawdę się nie liczyły, zbliżał się do nich na chwilę, po czym znów ogarniała go pustka. Kiedy już spędził noc z jakąś kobietą, natychmiast przestawała go pociągać. Podświadomie szukał tej, która mogłaby zająć miejsce Joanny.

Z nią jednak było inaczej. Im dłużej ją całował, tym bardziej jej pragnął. Jeśli w ogóle istnieje coś takiego, jak bratnia dusza, to Joanna z pewnością była nią dla niego.

Rickowi przemknęło jednak nagle przez myśl, że to wszystko nie może się dziać za szybko, nie tylko ze względu na stan Joanny. Czuł to pod skórą. Nie można pochwycić przeszłości i uczynić z niej teraźniejszości tylko dlatego, że bardzo by się chciało. A może jednak można?

Rick pragnął Joanny, jeszcze chwila i nie będzie w stanie się opanować.

Odchylił do tyłu głowę, ujął w dłonie jej twarz i popatrzył na nią.

- Nie byliśmy z sobą osiem lat, Joey - odezwał się zduszonym głosem.

Joey. On jeden tak zdrabniał jej imię. Joannę ogarnęła fala wspomnień. Nieomal czuła jeszcze na sobie jego oddech, kiedy szeptał to imię, gdy w ciemności leżeli przytuleni do siebie, szczęśliwi po cudownych chwilach zbliżenia.

Joanna zamknęła oczy i pocałowała go w szyję. Zapragnęła odmienić bieg wydarzeń. Tak bardzo żałowała, że stracili tyle czasu.

- Już niedługo, mam nadzieję - powiedziała, otwierając oczy i wznosząc je ku niemu. - Lekarz powiedział, że szybko dochodzę do zdrowia i że nie

ma żadnych komplikacji. Słyszałam, że niektóre kobiety mogą się kochać już w dwa tygodnie po porodzie. A ja zawsze cieszyłam się znakomitym zdrowiem.

Rick odgarnął jej włosy z czoła, ale nie chciał wypuścić jej z objęć.

- Dwa tygodnie - mruknął.

- Może nawet trochę dłużej - ostrzegła go.

Rick pocałował ją delikatnie w usta, opuścił ręce, cofnął się o krok, i zwrócił w stronę wyjścia. Wiedział, że musi teraz zachować bezpieczny dystans.

Czyżby wychodził? W środku kolacji?

- Dokąd idziesz?

- Wziąć zimny prysznic - uśmiechnął się do niej przez ramię. - Podejrzewam, że będę to musiał często robić przez następne dwa tygodnie. A ty tymczasem skończ swoją kolację, pani Rutledge włożyła w nią cały talent, byłoby jej przykro, gdyby coś zostało. Poza tym powinnaś jeść, żeby nabrać sił.

Rick pod dłuższej chwili wyszedł z kabiny prysznicowej, trochę uspokojony. Ostudził ciało, które tak bardzo pożałowało Joanny, a także starał się złagodzić gniew, który nie dawał mu spokoju. Gniew na rodziców, a zwłaszcza na ojca.

Gdybyż to tylko chodziło o matkę! Rick wiedział, że nie pochwaliała jego wyboru i nie życzyła sobie, by jej syn popełnił „mezalians”.

Ale z ojcem sprawy przedstawiały się inaczej. Zawsze trzymał się z dala od machinacji żony. Zgadzał się na wiele jej posunięć, inne ignorował. Rickowi wydawało się, że ojciec mógłby nawet polubić Joannę. Nigdy nie powtarzał opinii żony na jej temat, nigdy nie spoglądał na nią z góry tylko dlatego, że jej rodzina nie była zamożna. Dlatego gdy ojciec poparł tym razem matkę, a nawet pokazał mu podpisany czek, Rick nie miał wyjścia i musiał uwierzyć, że Joanna dała się przekupić.

Miał wrażenie, że w ciągu ostatnich paru lat zbliżył się do ojca, że udało im się pokonać trochę tę obcość, która ich dzieliła. Rick czuwał u łóżka ojca po jego zawale.

Więc dlaczego ojciec nie powiedział mu o tym oszustwie, którego dopuścił się wraz z matką przed ośmioma laty?

Czyżby jego życie było jednym kłamstwem?

Serce Ricka przepełniła gorycz.

Wyszedł szybko z kabiny, energicznie wytarł ciało i włosy ręcznikiem i podszedł do telefonu, który stał na stoliku przy łóżku. Odrzucił ręcznik i nacisnął przycisk zaprogramowanego numeru komórki ojca.



Telefon dzwonił przynajmniej dwadzieścia razy, zanim nagrany, metaliczny głos poinformował go, że abonent jest chwilowo niedostępny.

Rick ubrał się szybko i szedł do swojego biura. Trzymał tam notes z ważnymi telefonami. Z górnej szuflady biurka wyjął notes i wyszukał numer telefonu stacjonarnego do domu ojca na Florydzie.

Na wschodnim wybrzeżu było już po jedenastej wieczorem, ale ta sprawa nie mogła czekać aż do rana. Czekala już dość długo.

Rick usłyszał, jak włącza się automatyczna sekretarka. Cały spięty, czekał, aż wygada swoje, i po sygnale powiedział:

- Tato, jeśli tam jesteś, proszę cię, przyjmij telefon. Jesteś tam, tato? Przyjmij, to ważna sprawa.

Kiedy przez chwilę nic się nie działo i już miał odłożyć słuchawkę, posłyszał głos:

- Halo, Richard? To ty? Czy coś się stało?

Rick zacisnął palce na słuchawce i, z trudem opanowując gniew, powtórzył za ojcem:

- Czy coś się stało? Powiem ci, co się stało, staruszk. Okłamałeś mnie.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

- Richard? Czy ty piłeś?

- Nie, nie piłem. Tylko spadły mi łuski z oczu - odparł Rick, chodząc po pokoju jak lew w klatce.

- Nie rozumiem.

- Ja też nie rozumiem. Potrafiłem zrozumieć, dlaczego okłamała mnie matka. Zawsze chciała narzucać innym swoją wolę, kontrolować każdy mój ruch, podobnie jak i twój. Ale ty, tato, sfalszowałeś czek i kazałeś mi uwierzyć w coś, co mnie omal nie zabiło. Jak mogłeś mi to zrobić?

Po długiej chwili milczenia ojciec znów się odezwał.

- Jak się o tym dowiedziałeś? - zapytał, kiedy zrozumiał, o co chodzi.

Howard Masters nigdy do końca nie przeszedł do porządku dziennego nad tym, co się wydarzyło, chociaż przez wiele lat usiłował o tym zapomnieć. Teraz miał wrażenie, że spada mu z serca ogromny ciężar.

Rick był zdziwiony, że ojciec w ogóle nie usiłuje zaprzeczyć. I nie wiedział, czy czuje z tego powodu większą złość, czy też ulgę.

- Zrobiłem to, co powinienem był zrobić osiem lat temu. Rozmawiałem z nią.

Howard przygotowywał się na tę chwilę od czasu, kiedy zaproponował synowi przeniesienie głównej kwatery firmy do Georgii. Była to część jego ogólniejszego planu.

- Cieszę się, że sprawa wyszła wreszcie na jaw - rzekł.

- Cieszysz się? - zdumiał się szczerze Rick. - Więc dlaczego sam mi tego nie powiedziałaś? Przecież przez ostatnie dwa lata pracowaliśmy razem.

- Próbowałem. Nawet kilka razy. Ale ciągle coś stawało na przeszkodzie.

- Co takiego?

- Interesy. - Howard zawahał się, ale wreszcie wyduślił z siebie prawdę. - Tchórzostwo. Ostatnio zbliżyliśmy się do siebie i bardzo to sobie ceniłem. Bałem się, że mogę cię stracić. A przedtem musiałem się liczyć z twoją matką. Nie chciałem, by rodzina jeszcze bardziej się poróżniła.

- To kiepskie wytłumaczenie - powiedział Rick. - Mama nie żyje już od trzech lat.

- Wydawało mi się, że jesteś szczęśliwy - bąknął Howard nieprzekonująco.

- Szczęśliwy? - powtórzył za ojcem Rick. - Tato, nie czułem się szczęśliwy ani jednego dnia w życiu, poza chwilami, kiedy byłem z Joanną.

- Nie wiem, czy to cokolwiek znaczy, ale naprawdę mi przykro - westchnął Howard. - Od czasu zawału próbowałem znaleźć sposób, żeby ci wyznać prawdę. Uznałem, że będzie najlepiej, jeśli skłonię cię w jakiś sposób, abyś na kilka miesięcy przyjechał do Bedford. Wiedziałem, że Joanna wciąż tam mieszka. Miałem nadzieję, że okoliczności was zbliżą.

Rick poczuł, jak powoli opuszcza go złość. Teraz dopiero zrozumiał, jaki cel miał ojciec, kiedy upierał się, by przenieść zarząd firmy do Georgii. Wyraźnie na to nalegał, mimo oporu Ricka, który twierdził, że nie jest to dobry pomysł.

- Ale nie myśl sobie, że tak łatwo ci wybaczę.

- Wiem. Na to potrzeba czasu. Mam nadzieję, że mi go wystarczy.

W ciągu ostatniego roku ojciec Ricka stanął w obliczu swojej śmiertelności i nie był pewien, ile życia mu jeszcze zostało. Jakże różnił się od dawnego Howarda, który myślał i zachowywał się tak, jakby miał żyć wiecznie.

Rick postąpił w tej chwili kobiecy głos, który wołał ojca po imieniu.

- Kto to jest, tato?

- Ktoś, kto mi bardzo wyraziście uzmysłowił, że źle zrobiłem, stając na drodze twego szczęścia, bez względu na to, co twoja matka sądziła o tej dziewczynie.

- Ona ma imię, tato. Joanna.

Rick umilkł na chwilę. Był zaskoczony, że jego ojciec kogoś sobie znalazł po tak nieudanym związku z jego matką. Ze był gotów podjąć jeszcze jedną próbę.

- Jak ma na imię ta kobieta?

- Dorothy. - Rick wyczuł, że ojciec się uśmiecha, wymawiając to imię. - Synu, może kiedyś będziesz w stanie mi wybaczyć.

- Tak, być może. Ale jeszcze nie teraz. Porozmawiamy później. - Bał się, że pod wrażeniem chwili może powiedzieć coś, czego by potem żałował.

Odłożył słuchawkę, zagłębił się w fotelu i długo tak trwał, wpatrując się w telefon.

Obudził go głośny płacz. Rick uświadomił sobie, że zapewne się zdrzemnął. Nic dziwnego. Lektura raportów kwartalnych każdego by uśpiła. Dziś znowu, podobnie jak zawsze, kiedy nawiedzały go przykre myśli, szukał ucieczki w pracy.

Przeciągnął się w fotelu, aby rozprostować ręce i nogi, zdrętwiałe w niewygodnej pozycji. Gdy się pochylił, żeby podnieść gruby folder, który zsunął mu się z kolan, znów posłyszał płacz, tym razem głośniejszy.

To płacze dziecko. Dziecko Joanny.

Joanna.

Rick omal się nie przewrócił, zrywając się z fotela. Rzucił folder na biurko, zgasił światło i ruszył szybko korytarzem w głąb domu. Gdy zapukał do pokoju Joanny, nagle uświadomił sobie, jak przedziwne rzeczy ostatnio mu się przydarzyły. Ona jest tutaj, w jego domu, ze swoim dzieckiem, po tylu latach. Czuł, że jest szczęśliwy, ale zarazem niespokojny i tego niepokoju nie potrafił uciszyć.

Wszystko to jest dla niego nowe, próbował przekonać samego siebie. Musi dać sobie więcej czasu.

Kiedy Joanna nie odpowiadała, delikatnie przycisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzył je powoli, nie chcąc zakłócać jej spokoju, ale pragnął być w pobliżu na wypadek, gdyby go potrzebowała. Chciał, by wiedziała, że on tu jest. Kiedyś nawzajem bardzo siebie zranili. Rick pragnął teraz, by Joanna uwierzyła, że tym razem wszystko będzie dobrze. Chciał jej pomóc odnaleźć się w tej nowej dla niej sytuacji.

Ujrzał ją, jak stała przy oknie, w poświacie księżycy i przyćmionego światła małej lampki nocnej, palącej się w drugim pokoju. Miała na sobie koszulę nocną, którą jej podarował. Na jej widok poczuł w sercu mocne drgnienie.

Koszula nie była bynajmniej praktyczna, można powiedzieć, że uszyto ją całą z czarnej koronki i niespełnionych marzeń. Światło księżycy przenikało delikatny materiał, wydobywając niepokojący zarys ciała Joanny. I wspomnienia, ciągle tak żywe.

Włosy miała rozpuszczone i nieco zmierzwiłone, jakby przed chwilą wstała z łóżka. Tulila do siebie swoje maleństwo, próbując je uspokoić.

- Co się stało?

Joanna odwróciła się, zaskoczona. Nie słyszała, kiedy wchodził. Jej uwagę całkowicie pochłaniało dziecko.

- Nie chciałam cię obudzić.

Rick uśmiechnął się, podchodząc do niej.

- I nie obudziłaś. To mała mnie obudziła.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj, nie ma za co. Już długo tak marudzi?

- Przynajmniej kwadrans. - Joanna zrobiła przy malej wszystko, co trzeba, i nie wiedziała, dlaczego Rachel nie może zasnąć. Do tej chwili była taka grzeczna i spokojna.

- Czy chciałabyś, żebyśmy poprosił tu panią Rutledge?

- Nie - odpowiedziała stanowczo. - To ja jestem za nią odpowiedzialna. Cóż by to była ze mnie za matka, gdybym wspierała się nianią za każdym razem, kiedy mała zapłacze albo będzie czegoś potrzebowała?

Tak zrobiłaby jego matka, pomyślał Rick, ale zmilczał. Joanna w niczym nie przypominała jego matki i takie porównanie tylko sprawiłoby jej przykrość. Powiedział więc:

- Każda matka powinna umieć przyjąć czyjąś pomoc.

Joanna czuła się wprawdzie zmęczona i trochę zaniepokojona, ale wiedziała, że musi się nauczyć samodzielności.

- Pani Rutledge pomagała mi od chwili, kiedy wysiadłam z samochodu. Powinna dobrze się wyspać.

- Ty też. Przewinięłaś ją?

- Oczywiście, że tak - parsknęła Joanna, ale zaraz zmieniła ton. - Przepraszam cię. I nakarmiłam ją.

- Więc może ona po prostu chce, żeby ją trochę pokołysać? Pozwól mi - poprosił i wyciągnął rękę.

Joanna zawahała się.

- Już późno, powinieneś być w łóżku.

- Nikt tam na mnie nie czeka - odparł Rick, zerkając na nią z ukosa. - Jestem spragniony towarzystwa. - Mówiąc to, wziął dziecko z jej rąk i zapewnił: - Nie bój się, na pewno jej nie upuszczę. To przecież ja pierwszy ją trzymałem, pamiętasz?

Joanna pozwoliła mu wziąć Rachel. Nigdy nie sądziła, że Rick będzie chciał zajmować się niemowlęciem. Widocznie nie wszystko jednak o nim wiedziała...

On tymczasem usiadł na bujanym fotelu w kącie pokoju i skinął głową w stronę łóżka.

- Może położysz się na chwilę? Teraz ja się nią zajmę.

- Nie musisz tego robić - powiedziała, jednak posłusznie się położyła i nakryła kocem. - Przecież nie jesteś jej ojcem.

- To prawda, ale mógłbym nim być, gdybym złożył kiedyś wizytę w banku spermy. A teraz proszę, nie sprzeczasz się ze mną. Spróbuj się zdrzemnąć.

- Tylko na chwileczkę - mruknęła.

Ledwie zamknęła oczy, natychmiast zmorzył ją sen. Spokojny, bezpieczny.

RS

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy Rick szedł szybkim krokiem do samochodu, zadzwonił jego telefon komórkowy. Tym razem, jako wiceprezes Masters Enterprises, na prośbę ojca wyprowadził z garażu mercedesa, a nie ukochanego mustanga.

To był kompromis. Ojciec życzył sobie, żeby, podobnie jak on sam, jeździł limuzyną z szoferem. Rick wołał jednak sam prowadzić. Lubił zawsze panować nad sytuacją. Prawdopodobnie wziął tę cechę po matce. I to, jak sądził, była jedyna wspólna cecha.

Włożył kluczyk do stacyjki i przed uruchomieniem samochodu nacisnął przycisk komórki.

- Masters - rzucił krótko.

- Panie Ricku, mówi Nadine Rutledge.

Nie musiała mu się przedstawiać, nikt nie zwracał się do niego w ten sposób, nikt też nie miał takiego miękkiego, południowego akcentu, jak ona.

Rick poczuł nerwowy skurcz w żołądku. Ostatni raz pani Rutledge dzwoniła do niego, by go poinformować, że zmarła jego matka. Natychmiast pomyślał o Joannie i dziecku.

- Co się stało?

Jak zawsze, głos pani Rutledge brzmiał łagodnie, kojąco.

- Pewnie nic złego się nie stało, ale panna Joanna wyjechała.

- Wyjechała? - Chyba nie na dobre, pomyślał. - Dokąd?

- Do swojego domu, a raczej do tego, co z niego zostało.

Ulga nie trwała długo. Po co Joanna tam pojechała? Przecież zdał jej sprawę ze stanu, w jakim znajduje się jej dom, przywiózł jej torebkę z portfelem i kartami kredytowymi. Więc skąd ta nagła potrzeba, żeby tam pojechać? A jeśli już chciała zobaczyć wszystko na własne oczy, to dlaczego nie poczekała na jego powrót z pracy?

- Próbowала ją pani powstrzymać?

- Powiedziała jej, że nie powinna tego robić, ale uparła się. Dałam jej swój telefon komórkowy.

Pewnie wzięła mój samochód, pomyślał Rick, którego znów ogarnął lęk.

- Czy jej już wolno prowadzić?

Pamiętał niejasno, jak Joanna mu wspomniała, że lekarz na pewien czas jej to odradzał.

- To zalecenie dotyczy tylko pierwszego tygodnia po porodzie, a minęły już prawie dwa - powiedziała pani Rutledge. - Ale ona nie pojechała samochodem, wzięła taksówkę.

- A niech to - mruknął Rick pod nosem. Zdesperowany, spojrzął na zegarek. Za pół godziny miał spotkanie z architektem, mieli omówić projekt nowej siedziby zarządu firmy. Trudno, spotkanie będzie musiało poczekać. Troska o Joannę była ważniejsza od stalowych dźwigarów i doryckich kolumn.

- Proszę, niech mi pani wyświadczy uprzejmość. Niech pani zadzwoni do mojego biura i poprosi Celię, żeby przesunęła na później spotkanie z firmą Donnelley. Niech im powie, że coś mi nagle wypadło i że przyjadę do ich biura dziś o drugiej.

- Zrobione.

Rick odłożył telefon na siedzenie dla pasażera i ruszył. Wciąż sobie zadawał pytanie, co też Joannie przyszło do głowy. Do diabła, dlaczego ona tak siebie torturuje? Będzie jej ciężko, kiedy zobaczy na własne oczy dom, który kochała, w tak opłakanym stanie.

Przez ostatnie półtora tygodnia robiła wszystko, aby wdrożyć się w nowy etap swojego życia i nauczyć, jak być matką. Rick sądził, że - poza spotkaniem z agentem ubezpieczeniowym, z którym umówiła się pod koniec tygodnia - przestała sobie zaprzętać głowę myślami o pożarze i jego konsekwencjach. Przynajmniej na razie.

Mylił się jednak.

Mimo nawału pracy, jakiej wymagało kierowanie międzynarodowym koncernem, ku własnemu zdumieniu Rick dość wcześnie wracał teraz z biura. Z prawdziwą przyjemnością dyskretnie towarzyszył Joannie w opiece nad małą.

Przed laty, gdy jeszcze byli razem i kiedy myślał poważnie o ich przyszłości, nigdy nie brał pod uwagę dzieci. Wyobrażał sobie raczej, jak we dwoje wybierają się w podróż do różnych egzotycznych miejsc i kochają się w krainach na końcu świata. Chodzą na eleganckie przyjęcia, do których Rick tak przywykł. Cieszą się życiem pełnym fascynujących zdarzeń. O dzieciach prawie w ogóle nie myślał. Dzieci to nudy na pudy, tak w każdym razie sądził, widząc stosunek ojca i matki do rodzicielstwa.

Ale okazało się, że był w błędzie. Dzieci nie są nudne, przeciwnie, stanowią całkiem inne, nowe źródło pozytywnej energii, radosnego podniecenia. I chociaż Rkk starał się zanadto o tym nie rozmyślać, czas spędzany z Joanną i jej dzieckiem dawał mu nieznaną dotąd spokój wewnętrzny.

Nie chciał być jedynie widzem, pragnął być uczestnikiem.

Zdawał sobie sprawę, że dziś jest innym człowiekiem niż osiem lat temu. I on, i Joanna, każde z osobna, dojrzało i rozwinęło się w tym czasie. Czy te obie połówki mogłyby znowu do siebie pasować?

Nacisnął mocniej na gaz, sprawdzając często, czy nie pojawia się za nim wóz patrolowy. Nie przekraczał na ogół dozwolonej prędkości, ale tym razem pędził jak szalony, przeskakując żółte światła, które lada moment miały się zmienić na czerwone. W rekordowym czasie dojechał do osiedla Joanny.

Kiedy zbliżał się do jej ulicy, poczuł delikatny zapach dymu. Czy to możliwe, po tak długim czasie? A może mu się tylko zdawało?

Na ulicy koło domu nie było taksówki.

Może pani Rutledge się myliła. Może Joanna pojechała spotkać się z którąś z przyjaciółek i zjeść z nią lunch, a może chciała kupić sobie coś do ubrania. Absolutnie zabroniła Rickowi dalszych zakupów. Więc może postanowiła teraz sama uzupełnić trochę swoją garderobę.

Gdy tak rozmyślał, nagle ją zobaczył. O mały włos, a byłby ją przegapił, bo klęczała pochylona i przesiewała przez palce popiół. Rick podjechał do krawężnika, zgasił silnik i wyskoczył z samochodu. Joanna nie dawała znaku, że go spostrzegła. Pograżona w myślach, zdawała się zupełnie nieświadoma wszystkiego, co się wokół niej działo.

Przez chwilę sądził, że lepiej będzie jej nie przeszkadzać i poczekać, aż wstanie z klęczek i się odwróci, ale przedstawiała sobą tak smutny widok, że Rickowi łzy zakręciły się w oczach. Jej żal po prostu ścisnął go za gardło.

Ostrożnie podszedł do niej.

- Joanno?

Zaskoczona, odwróciła się i spojrzała na niego przez ramię. Twarz miała mokrą od łez.

Rick przykucnął przy niej, wziął ją za ręce i pomógł wstać.

- Mój Boże, po co tu przyjechałaś?

Joanna mocno sobie postanowiła, że nie będzie więcej płakać.

- Musiałam - odpowiedziała, starając się przybrać nonszalancki ton. - Byłam pewna, że w skrzynce znajdę pełno listów - powiedziała, wskazując na stojącą przy krawężniku kolorową miniaturkę swojego domu, nietkniętą przez pożar.

Rick ujął w ręce jej twarz i lekko ją pocałował. Nie przyszło mu jakoś przedtem do głowy, by tu podjechać i sprawdzić pocztę, ani żeby załatwić przesyłanie korespondencji pod jego adres. Postanowił natychmiast się tym zająć.



- Powiniennem był o tym pomyśleć - powiedział. Joanna potrząsnęła głową i odsunęła się od niego.

Jakaś cząstka w niej buntowała się, oskarżała siebie o słabość, o to, że nie potrafi stać na własnych nogach. Ze na kimś się opiera, nawet jeśli tym kimś jest Rick. Powinna być silniejsza. Bo trzeba być silnym, inaczej życie może człowieka zmiażdżyć.

- Naprawdę pomyślałeś już o wszystkim, co tylko można było zrobić. - Spojrzała na niego wyzywająco. - Nie jesteś za mnie odpowiedzialny.

Wziął ją za rękę.

- Ale ja chcę być odpowiedzialny.

- Nie jestem figurką z porcelany, Rick - powiedziała. Zawsze była dumna, nie chciała zrezygnować ze swojej niezależności. - Sama dam sobie radę.

Muszę być silna, powtarzała sobie w duchu. Ale w ciągu półtora roku w jej życiu tyle się wydarzyło. Najpierw choroba i śmierć matki. Potem zwolnienie z pracy. A teraz straciła nawet swój dom. Miała wrażenie, że los nie pozwala jej niczego zachować.

Czy zawsze tak będzie? W tej chwili Joanna obawiała się na czymkolwiek polegać, a już zwłaszcza - na szczęściu.

- Przepadły wszystkie moje fotografie - bąknęła drżącym głosem. - Albumy mamy trzymałyśmy w saloniku i one się zachowały, właśnie je znalazłam. Ale te z naszymi zdjęciami... Z twoimi... Były w szafie w mojej sypialni.

Joanna spojrzała na poczerniałą, wypaloną część domu. Trudno jej było wskazać dokładnie miejsce, gdzie kiedyś była szafa w ścianie.

Rick nie wiedział, co powiedzieć i jak ją pocieszyć. Domyślał się, co znaczyły dla niej te fotografie. Gdy tylko zaczęli się spotykać, wciąż pstrykała zdjęcia, chcąc utrwalić na zawsze ich szczęśliwe chwile.

- A gdzie są albumy twojej mamy?

Zamiast odpowiedzieć, poprowadziła go do domu, do kredensu z klonowego drewna, który był trochę okopcony, ale nie uszkodzony przez ogień. Otworzyła dolne drzwiczki. Na półce widać było kilkanaście albumów, ustawionych kolejno według lat.

- Twoja mama była doskonale zorganizowaną osobą - uśmiechnął się Rick i zaczął wyciągać po kolei albumy.

- To prawda - przyznała Joanna. - Ale co ty robisz?

- Zabierzemy je do domu. Wprawdzie Bedford nie słynie z szabrowników, ale lepiej nie ryzykować, to są zbyt cenne pamiątki.

Joanna doceniła jego gest, tym bardziej że Rick nie przywiązywał dużej wagi do pamiątkowych fotografii.

- Dziękuję ci - powiedziała i musnęła wargami jego policzek.

- Czy jeszcze chcemy coś stąd zabrać? - zapytał, kiedy wszystkie albumy były bezpiecznie ułożone w bagażniku.

Joanna odwróciła się, aby jeszcze raz spojrzeć na dom, który wyglądał teraz dziwnie, na pół godnie, na pół groteskowo.

- Nie - odparła. - Te fotografie były najważniejsze. No i rachunki.

Podeszła do skrzynki, otworzyła drzwiczki i wydobyła stos kopert różnej wielkości i, nie przeglądając ich, położyła na podłodze za siedzeniem dla pasażera. Postanowiła spokojnie przejść je w domu.

Rick podszedł do niej i zagadnął:

- A propos, gdzie stoi twoja taksówka?

- Odesłałam ją. Nie wiedziałam, jak długo tu zostanę.

- A jak zamierzałaś stąd wrócić?

- Pani Rutledge pożyczyła mi swoją komórkę, żebym mogła wezwać taksówkę, kiedy będę gotowa.

Rick objął ją ramieniem, przyciągając do siebie i tym gestem okazując bez słowa swoje wsparcie. Bardzo wiele to dla niej znaczyło, chociaż powtarzała sobie, żeby za bardzo na tym nie polegać.

- Joanno, nie rób sobie wyrzutów. Ty się nad sobą nie użalasz. Przecież wychowałaś się w tym domu. Masz pełne prawo smucić się, że jego część uległa zniszczeniu. A teraz, czy jesteś gotowa wrócić do domu, czy może potrzebujesz jeszcze trochę czasu? - zapytał, całując ją lekko w czoło.

- Nie - odparła. - Zabrałam stąd już wszystko. A to najważniejsze jest tutaj - powiedziała, dotykając czoła.

I tutaj, dodała w głębi duszy, myśląc o swoim sercu. O sercu pełnym miłości dla malutkiej córeczki. I dla niego.

Ale coś ją powstrzymywało przed ujawnieniem swoich uczuć, jakiś lęk, bliżej niesprecyzowany, że nic już nie będzie tak, jak było kiedyś. Nie może być. Oboje nie są już tymi samymi ludźmi co przed laty, a ona nauczyła się niczego w życiu nie oczekiwać.

Kiedy niczego nie oczekujesz, nie dopada cię rozczarowanie.

Rick pomógł jej wsiąść do samochodu, po czym sam usiadł za kierownicą, zapiął pas i spojrzął na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu przed spotkaniem z architektami, a do biura jakoś go nie ciągnęło. Praca może poczekać.

Gdy ruszał spod domu Joanny, przyszło mu nagle na myśl, by zrobić coś niezaplanowanego.

- Może chciałabyś pojechać na zakupy? - zapytał.

- Co takiego? - zdziwiła się.

- Pomyślałem sobie, że masz raptem tylko kilka rzeczy i że to z pewnością ci nie wystarczy.

Doceniała jego dobre chęci, ale postanowiła już, że więcej nie może już od niego niczego przyjmować. W końcu nie jest jego kochanką, żeby ją obsypywał prezentami. Znalazł w zgłiszczach jej karty kredytowe, ale na razie nie chciała z nich korzystać, musiała je zachować na później, żeby mieć z czego czerpać na życie.

- Pewnie pamiętasz, jak cię prosiłam, żebyś mi niczego już nie kupował.

- Rzeczywiście, mówiłaś coś takiego - przyznał, zerkając na nią z ukosa.

- Chyba szwankuje mi pamięć. Ale tym razem to ty byś wszystko wybierała. Co ty na to? - Kiedy nie odpowiedziała od razu, zapytał: - Zmęczona?

- Nie, wcale nie. - W ostatnich dniach powracała jej energia. Mała wprawdzie nie nauczyła się dłużej spać, ale za to Joanna potrafiła już normalnie funkcjonować, mimo krótszego nocnego wypoczynku. - Ale powinnam wracać do Rachel.

- Nie martw się o to. Pani Rutledge jest zachwycona, kiedy tylko może się nią zająć. Zadzwoń tylko do niej i powiem, że wszystko w porządku i że spóźnimy się parę godzin. Bo widzisz, ona do mnie dzwoniła. Niepokoiliła się o ciebie - wyjaśnił w odpowiedzi na jej pytający wzrok.

- Teraz rozumiem, skąd się tu wzięłaś - westchnęła z ulgą, bo już zaczynała podejrzewać, że Rick w jakiś cudowny sposób się przy niej materializuje zawsze wtedy, kiedy ona go potrzebuje.

Zakupy. A czemu nie? Może to by był dla niej taki miły powrót do normalności. Poza tym, będąc na miejscu, panowałyby nad wydatkami.

- Zgoda - uśmiechnęła się i zagłębiła wygodniej w fotelu. - Jedziemy na zakupy.

Czuła się trochę jak Kopciuszek.

A może jak Julia Roberts w Pretty Woman. Porównanie lepsze lub gorsze, w każdym razie za sprawą Ricka czuła się jak księżniczka.

Ostrzegł, że zostawi ją na środku miejskiego parku, jeśli tylko będzie marudziła na temat cen, i zabrał ją do , kilku ekskluzywnych sklepów w Newport Beach. Miał naprawdę nieomylnie oko, z łatwością wyszukiwał dla niej odpowiednią garderobę, ubrania na co dzień oraz eleganckie stroje wyjściowe, i w ogóle nie chciał słuchać jej protestów, że w tej chwili potrzebuje tylko kilku zwykłych rzeczy.

Rick wydawał pieniądze w sposób zupełnie naturalny, nie przejmując się cenami. Joanna nie mogła się nadziwić jego szczodrości. Każda kobieta uznałaby go za ideał męskości. Nie tylko pod tym względem zresztą.

Ale o tym nie zamierzała w ogóle myśleć. Jeśli nie pozwoli sobie na marzenia, nie będzie się czuła zawiedziona, kiedy się obudzi.

Na tylnym siedzeniu piętrzyły się torby i pudła.

- Uprzedzam, że podliczę, ile ci jestem winna - poinformowała Ricka, zapinając pas. - A wygląda na to, że będę ci musiała oddać wszystkie moje zarobki z następnych trzech lat.

Pod warunkiem, oczywiście, że uda jej się przekonać radę oświatową, by przyjęła ją na powrót do pracy. Rick nie chciał słyszeć o zwrocie pieniędzy.

- Joanno, proszę cię, pozwól, że to będzie mój prezent dla ciebie.

Wiedział, że trochę przesadził.

- Jest różnica między ofiarowaniem komuś prezentu, a kupowaniem tego kogoś - zauważyła sucho.

- Jeśli koniecznie się upierasz, żeby mi zwrócić jakąś kwotę - uśmiechnął się, spoglądając na nią - to może byśmy pomyśleli o handlu wymiennym?

- Jakim handlu wymiennym? - zaciekawiała się. Rick uśmiechnął się jeszcze szerzej, a w jego oczach zamigotały figlarne iskierki.

- Już ja coś wymyślę. Porozmawiamy później.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Z każdym mijającym dniem Joanna czuła się trochę silniejsza, trochę bardziej pewna siebie jako matka i trochę bardziej ufna w to, co przyniesie jej życie.

Przynajmniej w sensie praktycznym.

Ginekolog upewnił ją, że jest absolutnie zdrowa. Otrzymała też spotkanie z agentem, u którego ubezpieczała swój dom - pojechała tam sama, mimo protestów Ricka - i wypełniła wszystkie formularze niezbędne do tego, by można było rozpocząć odbudowę jej domu.

Skontaktowała się nawet z Amandą Raleigh, przewodniczącą lokalnej rady oświatowej.

Tam właśnie pojechała tego popołudnia, żeby się z nią zobaczyć. Niepotrzebnie denerwowała się przed tym spotkaniem, bo rozmowa potoczyła się nad wyraz przyjemnie. O wiele lepiej, niż się spodziewała.

Nie musiała stoczyć walki, aby odzyskać utraconą pracę. Pani Raleigh była bardzo serdeczna, wyjątkowo przychylnie usposobiona. Zupełnie inna niż przed czterema miesiącami, gdy gotowa ją była napiętnować.

Ale to wszystko Joanna miała już za sobą. Już na początku spotkania pani Raleigh poinformowała ją, że od jesieni czeka na nią posada w nowo otwartej szkole. Praktycznie będzie więc tylko musiała przebrnąć jakoś przez wiosnę i lato.

W tym czasie mogłaby spróbować znaleźć sobie tymczasowe zajęcie za pośrednictwem jakiejś agencji.

Gdy wjechała samochodem na teren posiadłości Mastersów i krętą dróżką zbliżała się do garażu, jej samopoczucie było już o wiele lepsze, powrócił dawny optymizm.

Tylko jedna kwestia stała pod znakiem zapytania. I na jej temat ani ona, ani Rick nie chcieli jeszcze rozmawiać.

Co będzie z nimi dalej?

Zanim jego rodzicom udało się ich rozdzielić, Joanna i Rick z wiarą typową dla młodych ludzi myśleli o wspólnej przyszłości. Planowali się pobrać wiosną następnego roku.

Czy coś podobnego może się wydarzyć w przyszłości? Czy wezmą ślub? Czy nadal będzie ich coś łączyć, kiedy Joanna wyprowadzi się z jego domu?

Gdy tylko zaczynała o tym myśleć, ogarniało ją poczucie niepewności, podobnie jak wtedy, kiedy w ciągu ostatnich lat różni przyjaciele chcieli ją zapoznać z jakimiś facetami, rzekomo wymarzonymi dla niej.

Ale nikt odpowiedni nie pojawił się na jej drodze. Zawsze znajdowała w przedstawionym sobie mężczyźnie jakąś wadę na tyle poważną, by nie umówić się z nim na następną randkę. Wiedziała, że nie jest może całkiem sprawiedliwa, ale nic nie mogła na to poradzić.

Joanna była odważną kobietą w bardzo wielu dziedzinach życia, ale sama musiała przyznać, że się boi, by ktoś znowu jej nie skrzywdził. Bała się tak bardzo, że . wolała trzymać się od mężczyzn z daleka.

Tak bardzo, że nawet teraz, kiedy jej „ideał” znów wkroczył w jej życie, nie wiedziała, czy zdobędzie się na odwagę, by wyjść mu naprzeciw, ryzykując katastrofę uczuciową.

Przedtem udało się jej jakoś pozbierać, bo miała oparcie w matce. Rachel Prescott była najsilniejszą, najodważniejszą osobą, jaką знаła. Sama także doznała wielkiego zawodu, ale umiała się z mego podźwignąć. Chociaż matka nigdy nie mówiła źle o jej ojcu, Joanna świetnie wiedziała, że złamał jej serce. Zostawił ją, gdy się tylko dowiedział, że jest w ciąży.

Dziadek Joanny, zwolennik surowych obyczajów, wyrzucił córkę z domu, kiedy nie zgodziła się ani na usunięcie ciąży, ani na oddanie dziecka do adopcji.

Kiedy Joanna zerwała z Rickiem, a on wyjechał z miasta, matka wspierała ją z oddaniem i miłością i pomogła jej dojść do siebie. Ale teraz, gdy już odeszła, Joanna nie była pewna, czyby sobie bez niej poradziła, gdyby znów spotkał ją tak wielki zawód. W obecnej sytuacji najlepiej było nie wystawiać się na próbę. Teraz najbardziej liczyły się potrzeby jej małej córeczki, i to one były priorytetem w jej życiu. Joanna czuła, że nie może sobie pozwolić na marzenia i nadzieje.

Kiedy wysiadła z samochodu, zauważyła, że obok mustanga stoi zaparkowany mercedes. A więc Rick jest już w domu.

Zatrzasnęła drzwi i spojrzała na swój mały samochodzik, który Rick dla niej sprowadził. Przy jego luksusowych samochodach wyglądał trochę jak ubogi krewny. Pewnie właśnie tak ona sama by się czuła, gdyby osiem lat temu poślubiła Ricka.

Pewnie tak też myśleli o niej jego rodzice, kiedy wzdragali się na myśl o synowej, której rodzice nigdy się nie pobrali, a na dodatek żadne z nich nie mogło pochwalić się szlachetnym rodowodem.

Właściwie mieli rację. Ricka czekała świetna przyszłość. Powinien mieć u boku kobietę ze swojej klasy. Mężczyzna powinien być dumny ze swojej żony, a nie wstydzić się jej.

- Czy masz jakiś problem?

Głos Ricka, dochodzący od drzwi do garażu, zaskoczył ją. Obejrzała się i ujrzała go w złotej słonecznej poświacie. Zawsze był bardzo przystojny, ale z biegiem lat jego męska uroda jeszcze okrzepła, tak że trudno było mu się oprzeć. Joanna zachodziła w głowę, dlaczego dotąd się nie ożenił. Co się stało z kobietą, którą wybrała dla niego matka? Ale to już nie była jej sprawa.

- Nie, czemu pytasz?

- Usłyszałem twój samochód - wyjaśnił. - Kiedy przez chwilę nie wychodziłaś z garażu, pomyślałem, że może coś się stało. A teraz widzę, że masz zmarszczone czoło.

- Po prostu o czymś myślałam - powiedziała. - Nic ważnego.

Rick podszedł do niej, ujął ją pod brodę i próbował wyczytać odpowiedź z jej oczu. Kiedyś była bardziej otwarta.

- O czym?

- O niczym specjalnym. Nic złego się nie stało. W radzie oświatowej powiedziano mi, że moja sprawa została pozytywnie rozpatrzona i że przyjmą mnie znów do pracy.

Joanna nie powiedziała mu niczego, o czym by już sam nie wiedział. Położył jej rękę na ramieniu i poprowadził do domu.

- To bardzo uprzejmie z ich strony. Może nie chcieli, żebyś ich pozwała do sądu?

- A dlaczego mieliby się tego obawiać? - zapytała zdumiona.

- Cóż, w dzisiejszych czasach wszyscy wszystkich pozywają - odrzekł wymijająco, nie chcąc jeszcze ujawniać roli, jaką w tej sprawie odegrał.

Joanna przystanęła i oswobodziła ramię.

- Czy ty miałaś z tym coś wspólnego?

- Nie rozmawiałem z nikim z tej rady.

Joanna dobrze go знаła. Jeśli nie rozmawiał o niej z nikim z rady, to znaczy, że rozmawiał z kimś innym. Na myśl o tym ogarnął ją gniew.

- Więc z kim rozmawiałeś?

- Ostatnio rozmawiam z wieloma ludźmi - odparł, wzruszając ramionami.

- Chcę wiedzieć, z kim rozmawiałeś o mnie. Rick nie chciał już dalej się wykręcać, nie widział powodu, aby kłamać. Poza tym nie wstydził się tego, co zrobił. Postąpił uczciwie i rozsądnie. Winne były władze oświatowe, a nie on.

- Rozmawiał z nimi mój adwokat.

- Rick, jak mogłeś?

- Joanno, przecież oni dopuścili się dyskryminacji, chyba powinnaś to wiedzieć. W dzisiejszych czasach niezamężna kobieta w ciąży...

- ...może sama walczyć o swoje prawa - dokończyła za niego. I jej matka, i ona sama były kobietami niezależnymi. - I sama wygrać. A teraz - powiedziała, biorąc głęboki oddech - teraz nie mogę już tam wrócić.

- Dlaczego? - zdumiał się. - Dlatego, że ja zrobiłem to, co mogłaś zrobić sama?

- Rick, zrozum mnie, nie mogę się zgodzić, żeby ktoś walczył w moim imieniu. Nie mogę zacząć polegać na innych.

- Ale dlaczego?

Joanna na moment przymknęła oczy, żeby zebrać siły. On chyba rzeczywiście nie rozumie, więc trzeba mu to wytłumaczyć.

- Nie wiesz, jak to jest, kiedy na czymś się opierasz i to coś nagle się rozpada? Wtedy lecisz prosto na twarz i możesz już więcej się nie podnieść.

- Ale to nie ty, Joanno - uśmiechnął się, zakładając jej czułym gestem kosmyk włosów za ucho. - Ty zawsze się podnosisz. I zawsze to w tobie lubiłem. - Joanna była miękka i kobieca, ale nigdy nie przypominała bluszczu. Przy niej nie musiał zawsze być silny. Ale teraz pragnął, by choć trochę go potrzebowała.

- Lubiałem również to, że od czasu do czasu pozwalałaś, bym ci w czymś pomógł. Ludzie chcą być potrzebni, Joey, tak samo jak pragną być niepokonani.

- Ja nie chcę być niepokonana, Rick, ja tylko chcę stanąć na własnych nogach.

- I stoisz - zapewnił ją. - Ja nie wysuwałem pogroźek wobec rady, żeby ją zmusić do zatrudnienia jakiejś marnej nauczycielki, chciałem tylko, żeby ci ludzie zrozumieli, jaki błąd popełnili, i przyjęli znów do pracy pewną wspaniałą nauczycielkę.

Joanna nie uwierzyła w tę bajeczkę. Jak wiadomo, ludzie bogaci i na wysokich stanowiskach są przyzwyczajeni do tego, że inni bez szemrania spełniają ich życzenia.

- Skąd wiesz, że jestem wspaniałą nauczycielką? Nigdy nie byłeś na moich lekcjach.

- Bo jesteś wspaniała pod wszystkimi innymi względami - powiedział Rick, lustrując ją pełnym podziwu i czułości spojrzeniem.

- Trudno z tobą dyskutować - rozłożyła ręce Joanna, którą gniew zaczął powoli opuszczać.

- O to mi właśnie chodziło - uśmiechnął się Rick, mrużąc oczy. - Ale czy wiesz - dodał, obejmując ją w talii - że pięknie wyglądasz, kiedy się złościś?

- Rick... - próbowała jeszcze protestować.



On potrząsnął jednak głową, pocałował ją w czoło i oznajmił:

- Nie zmusisz mnie, żebym cię przeprosił za to, co uważam za słuszne.

Joanna cofnęła się o krok i powiedziała stanowczym głosem:

- Rick, musisz przestać to robić. Przestań kupować mi coraz to nowe rzeczy, przestań być twardzielem, który załatwia za mnie sprawy...

- Twardzielem? - zdumiał się. Nikt jeszcze go w ten sposób nie nazwał. - Przyznam, że nigdy tak o sobie myślałem. Chyba jestem bardziej w typie Sir Lancelota, nie uważasz?

Jeśli on był pierwszym rycerzem królestwa, to kim była ona w jego oczach?

- A ja byłabym Ginevra?

- Oczywiście - uśmiechnął się do niej. Ona jednak pokręciła głową.

- Nie chcę być Ginevra. Ten romans miał tragiczny koniec.

- Więc kim chciałabyś być?

- Sobą - odparła bez wahania. - Po prostu sobą.

- Bardzo dobry wybór - przytaknął. - W pełni go popieram. A teraz chodźmy do domu, mam dla ciebie niespodziankę.

- Czy ty w ogóle mnie nie słuchasz? - westchnęła Joanna, doprowadzona niemal do rozpacz. - Przed chwilą cię prosiłam, żebyś przestał wydawać na mnie pieniądze.

- Doprawdy, twarda z ciebie sztuka, nic nie pozwalasz sobie ofiarować - jęknął Rick. - Ale nic się nie martw, słowo honoru - mówiąc to, podniósł uroczyście dwa palce - że to nie kosztowało ani grosza.

- Czyżbyś coś ukradł? - zapytała kpiąco.

- Nie, wygrzebałem spod stosu rupieci - powiedział, otwierając przed nią drzwi wejściowe.

Joanna umierała z ciekawości, ale najpierw chciała zajrzeć do swojej córeczki. Przekonała się, że bardzo za nią tęskni, jeśli jej nie widzi przez kilka godzin. Będzie jej trudno, kiedy już wróci do pracy. Ten aspekt dotychczasowej niezależności wydawał się jej teraz mniej nęcący.

- Pozwól, że wpadnę tylko na chwilę do Rachel, zanim znów zaczniesz obsypywać mnie podarunkami.

- A może poszlibyśmy do niej razem? - zaproponował Rick.

Tymczasem z głębi domu wyszła ich powitać pani Rutledge.

- Czy wszystko poszło dobrze na tym spotkaniu z radą oświatową? - zagadnęła ciepło.

- Tak, dziękuję za pamięć - uśmiechnęła się do niej Joanna.

Widząc, że oboje zmierzają do pokoju dziecinnego, gospodyni powiedziała:

- Właśnie ułożyłam małą do snu. Proszę jej nie obudzić.  
 - Zaczynam się zastanawiać, czyje to jest dziecko - mruknęła Joanna, kiedy pani Rutledge udała się do swojego pokoju.

- Cóż, może jest troszkę nadopiekuńcza - zauważył Rick.

Gdy Joanna cichutko uchyliła drzwi, zobaczyła, że Rachel rzeczywiście słodko śpi, więc nie chciała jej budzić, chociaż marzyła o tym, żeby ją wziąć na ręce i przytulić do piersi.

- Wiesz, ona jest bardzo do ciebie podobna - szepnął jej na ucho Rick.

- Ależ skąd - zaprotestowała.

Może nie zrozumiała, o co mu chodziło.

- Chciałem powiedzieć, że jest podobna do ciebie, kiedy byłaś maleńka.

- Skąd ty to możesz wiedzieć? - zdumiała się Joanna.

- Przesiedziałem wczoraj całą noc, przeglądając albumy twojej matki. Ale lepiej chodźmy stąd, bo mała gotowa jeszcze się obudzić - powiedział cicho Rick.

Gdy zamknęli za sobą drzwi, Joanna zapytała:

- Po co oglądałeś te zdjęcia?

- Po prostu byłem ciekaw - odparł.

Idąc korytarzem, wziął ją pod rękę, nachylił się ku niej i zagadnął:

- Mam nadzieję, że duma nie przeszkodzi ci przyjąć tej posady.

- A co moja duma ma z tym wspólnego?

- W moim pojęciu - wszystko. Nie wiem czemu, ale wydaje ci się, że wszystko musisz robić sama. Ale świat nie jest tak urządony.

Joanna była świadkiem, jak jej matka musiała samotnie o wszystko walczyć, żeby zapewnić im byt. Nikt jej nigdy nie pomógł i mama też nigdy się nie uskarżała. I ona przejęła od matki ten sposób postępowania.

- W życiu - ciągnął dalej Rick - ludzie wspierają się wzajemnie, świadczą sobie nawzajem uprzejmości, nawiązują kontakty. Na swój sposób postępujesz szlachetnie, ale jesteś niesamowicie uparta.

- Co to ma znaczyć? - zmarszczyła brwi.

- Nic się nie martw - uśmiechnął się do niej Rick i musnął wargami jej skroń. - A teraz chodź ze mną - powiedział i pociągnął ją za rękę. - Muszę ci wreszcie to pokazać.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Gdy zaczęli wchodzić po schodach, zadzwonił jego telefon komórkowy.

Rick przystanął z głębokim westchnieniem. Nie był zadowolony, że ktoś mu będzie teraz przeszkadzał w tym, co sobie zaplanował.

- Powinienem pamiętać i wyłączać komórkę, kiedy przychodzę do domu - burknął.

- Jest jeszcze telefon stacjonarny - przypomniała mu Joanna. - No i faks, i poczta elektroniczna. Dopadną cię, jeśli tylko zechcą.

Miała rację. Nie sposób uciec przed odpowiedzialnością. Rick miał nadzieję, że tę sprawę będzie mógł szybko załatwić. Kiedy wyjął z kieszeni telefon i zobaczył, że Joanna chce się oddalić, aby mu nie przeszkadzać, podniósł rękę, prosząc, żeby została.

- Masters przy telefonie - rzucił.

Joanna obserwowała jego twarz podczas rozmowy i spostrzegła, jak sięgnęły mu się brwi.

- Sam sobie nie poradzisz, Pierce? Odpowiedź Pierce'a, kimkolwiek on był, brzmiała wyraźnie negatywnie.

- Więc dobrze, będę za dwadzieścia minut - burknął Rick i rozłączył się.

- Przepraszam cię - powiedział, z łagodniejszym już wyrazem twarzy - będę musiał na trochę cię opuścić.

Joanna nie była zdziwiona. W ciągu tych kilku tygodni, kiedy tu mieszkała, zorientowała się, że Rick nie tylko jest prawą ręką swego ojca, lecz samodzielnie kieruje firmą. Nic dziwnego, że praca pochłaniała większość jego czasu. Mimo to często udawało mu się dość wcześnie wracać do domu.

- Rozumiem, męskie sprawy to męskie sprawy - kiwnęła głową ze zrozumieniem.

- A ja tak bardzo chciałem spędzić ten wieczór z tobą - powiedział Rick, ujmując jej dłonie. - Chciałem zabrać cię na miasto, żebyśmy mogli uczcić twoje ponowne przyjęcie do pracy. Przecież nie byłaś w żadnym lokalu od urodzenia Rachel.

Żeby tylko wiedział, jak dawno...

- O wiele dawniej - zaśmiała się.

Słyszac to, zapragnął zadać jej kilka pytań, dowiedzieć się, jak wyglądało jej życie w ciągu tych lat, kiedy się nie widywali. Czy miała po nim jakiegoś mężczyznę? Kogoś, kto zdobył jej serce? Czy jacyś inni mężczyźni trzymali ją w objęciach? Kochali się z nią?

A może Joanna żyła tak jak on, może w jej sercu nie było nikogo, choć nie zawsze była sama?

Wiedział, że nie ma prawa o to pytać, ale mimo to bardzo go to nurtowało.

Spojrzał jej głęboko w oczy i obiecał:

- Nie zabawię długo. Kiedy wrócę, wybierzemy się do miasta. Co sądzisz o kolacji i o tańcach?

- W tej chwili nawet hamburger by mnie zadowolił - uśmiechnęła się Joanna. Gdziekolwiek, cokolwiek, byle z tobą, pomyślała.

- Mam nadzieję, że uda się nam znaleźć coś fajniejszego. A tymczasem potraktuj to jako zaliczkę - powiedział, zamierzając tylko musnąć ustami jej wargi. Na więcej nie miał czasu.

W głosie Pierce'a, jego głównego asystenta, którego przywiózł tu z Georgii, wyczuł zaniepokojenie. Wyglądało na to, że w jednym z oddziałów Masters Enterprises może wybuchnąć strajk.

Ale gdy tylko ich usta się zetknęły, Rick nie mógł się powstrzymać i zaczął ją całować tak, jakby już nigdy nie miał wrócić. Jakby jej nie miało tu być po jego powrocie. Jakby świat miał się skończyć w ciągu następnych pięciu sekund i pozostała im tylko ta mała, bezcenna chwilka.

Kiedy się cofnął, Joanna musiała przytrzymać go za ramiona, żeby nie upaść. Zakręciło jej się w głowie.

- No, jeśli tak wygląda zaliczka, to nie będę się mogła doczekać całości - szepnęła, gdy Rick zniknął w drzwiach.

Bardzo była ciekawa, czy on zapomniał o tym tajemniczym „czymś”, o którym wcześniej mówił.

Przechodząc koło lustra, uśmiechnęła się do swego odbicia. Rick wciąż potrafił sprawić, że czuła się jak pensjonarka.

Podświadomie zacisnął ręce na kierownicy, ale po chwili powiedział sobie, że musi się uspokoić, i rozluźnił palce. Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał dwie minuty po jedenastej. A niech to diabli.

Zebrań przedłużało się w nieskończoność. Nic nie poszło zgodnie z planem. Po pięciu godzinach postanowił je wreszcie zakończyć, obiecując, że ciąg dalszy odbędzie się nazajutrz.

Najwyraźniej nie tak dobrze panował nad sytuacją, jak to sobie wyobrażał, inaczej robotnicy w fabryce w Pasadenie nie groziliby strajkiem, jeśli pewne ich postulaty nie zostaną spełnione. Jak kłopoty, to na całej linii, jakby nie dość miał problemów z przeniesieniem zarządu firmy.

Ale w tej chwili to wszystko wydawało się nieważne. Rick zastanawiał się, co tu zrobić, żeby wynagrodzić Joannie zawód. Nie chciał dopuścić,

żeby sobie pomyślała, iż on ją lekko traktuje i spodziewa się, że będzie potulnie czekała, aż znajdzie dla niej wolną chwilkę.

Dzwonił do niej dwa razy z pracy i przekładał czas powrotu do domu, aż w końcu zrobiło się naprawdę późno.

Czuł się okropnie. Bardzo pragnął znaleźć na wszystko czas. Chciał być sumiennym biznesmenem, a zarazem mieć chociaż trochę życia prywatnego. Dotychczas nie zależało mu na tym, ale ostatnio wszystko się zmieniło, pomyślał, zatrzymując w garażu samochód.

Było już po jedenastej. Za późno, żeby wybrać się gdzieś na kolację. I pewnie za późno, żeby wynagrodzić zawód Joannie. Jaka szkoda, ten wieczór miał wyglądać zupełnie inaczej.

Rick wszedł do domu przez drzwi od garażu.

- Jak ci poszło?

Zaskoczony, spojrzał w głąb salonu i zobaczył Joannę, wstającą z kanapy. Miała troszkę zmierzwiłone włosy. Bez makijażu wyglądała wyjątkowo świeżo i ponętnie.

Rick zamknął za sobą drzwi i zapytał:

- Czekałaś na mnie?

- Jak widzisz - powiedziała, poprawiając poły podomki, które odsłaniały jej nogi.

Zdejmując marynarkę, Rick uśmiechnął się do niej przepraszająco. Tym razem pamiętał, żeby wyjąć z kieszeni i wyłączyć komórkę.

- Bardzo cię przepraszam za dzisiejszy wieczór.

- Miałaś jakieś problemy?

- Tak, ale to nieważne, przykro mi, że nie mogłem cię zabrać na kolację.

- Nie ma sprawy, jeszcze to sobie odbijemy - powiedziała łagodnie, podeszła do niego bliżej i lekko przesunęła palcem po jego zmarszczonych brwiach. C/y dali ci tam coś do jedzenia?

Rick skinął głową i zdjął krawat, który rzucił na marynarkę.

- Tak, kanapki. A ty jadłaś?

- Ja miałam więcej szczęścia, pani Rudedge uparła się, żeby mi przygotować pełną kolację. Jeśli masz ochotę, to w lodówce jest pyszna wołowina a la Wellington.

- Naprawdę? - ucieszył się Rick. Zapiekana w cieście wołowina z pasztetem z gęsich wątróbek była specjalnością pani Rutledge. - No, to rzeczywiście miałaś więcej szczęścia.

Cały wieczór upłynął jej bardzo spokojnie. Rachel była znakomitym kompanem, większość czasu po prostu przespała.

- No to jak, jesteś głodny?

- Tak - odparł, ale kiedy odwróciła się, żeby pójść do kuchni i podgrzać dla niego kolację, złapał ją za rękę i patrząc w oczy, powiedział: - Jestem głodny, ale ten głód nie ma nic wspólnego z jedzeniem.

- A więc z czym? - zdziwiła się, spoglądając na niego spod rzęs.

On jednak, zamiast odpowiedzieć, przyciągnął ją mocno do siebie i zaczął namiętnie całować w usta. Kiedy wreszcie odchylił głowę, oboje nie mogli przez chwilę złapać tchu.

- Z tym - oznajmił zduszonym głosem. Objął ją w talii i zapytał:

- Czy odniosłaś wrażenie, że jestem zmęczony?

- Odniosłam wrażenie, że jestem w raju - westchnęła marząc, żeby ta chwila trwała całe wieki.

Rick rzucił spojrzenie w głąb domu, tam, gdzie znajdował się pokój dziecienny.

- Kiedy ostatnio karmiłaś małą?

- Dwadzieścia minut temu.

- A pani Rutledge?

- Jadła jakieś trzy godziny temu - zażartowała Joanna.

- Czy już śpi?

- Powiedziała mi dobranoc o dziesiątej.

- Tylko to chciałem wiedzieć - mruknął Rick, biorąc ją w objęcia i całując tak namiętnie, jak przed wyjazdem na zebranie. Tak jak chciał ją całować przez cały wieczór.

Joanna poczuła, że ogarniają ją fale gorąca, a w całym ciele mocno pulsuje krew. To się nie skończy tutaj, w holu, to jest dopiero początek...

Wspięła się na palce i przyłgnęła do Ricka całym ciałem, pełna oczekiwania, spragniona jego dotyku, jego pocałunków, jego bliskości.

- Jesteś pewna, że już możemy? - szepnęła.

Joannę wzruszyło, że o niej myśli, że się o nią troszczy. Inny mężczyzna na jego miejscu pewno już dawno zacząłby ją rozbierać.

- Lekarz powiedział, że mogę robić, co mi się tylko podoba - uśmiechnęła się do niego.

Rick zaczął pokrywać jej twarz i szyję pocałunkami, po czym objął ją mocno i zaprowadził do jej pokoju.

De razy o tym marzyła, wspominała każdą chwilę, którą spędzili razem. Ten pierwszy raz i ten ostatni raz, wszystko zlało się w jedno fascynujące wspomnienie, którego nie sposób było wymazać. Tęskniła za nim tak bardzo, że sama się sobie dziwiła, jak mogła sama przeżyć te wszystkie lata.

Ale jakoś się jej udało. Przeżyć bez niego. Bez kogokolwiek.

Teraz jednak to musiało się stać. Nieodwołalnie.

Powoli Rick odsunął się od niej i delikatnie złożył na łóżku. Pod rozchyloną podomką ujrzał nocną koszulę, która odsłaniała więcej, niż zakrywała.

Kiedy przyklęknął przy niej, poczuł, jak całe jego ciało pulsuje.

Zsunął Joannie z ramion jedwabną podomkę, która ześlizgnęła się na podłogę, po czym, całując ją w usta, zaczął ją uwalniać z półprzezroczystej bladoniebieskiej koszuli na cienkich ramiączkach.

- To nie fair - mruknęła, i zanim zdążył ją zapytać, co takiego miała na myśli, sama zaczęła rozpinąć mu guziki od koszuli. Rick dopomógł jej w tym zadaniu, po czym szybko zrzucił dolną garderobę.

Joanna leżała z otwartymi ramionami, nie mogąc się doczekać, aż poczuje go całym ciałem, całą sobą. Pragnęła go dotykać, całować, być dotykana i całowaną. Otworzyła oczy, które, nieświadomie, mocno zamknęła, i spojrzała mu w twarz. W twarz mężczyzny, którego zawsze kochała i nigdy kochać nie przestała. Przycisnęła wargi do jego ust, a on przyjął je gorąco, czule i namiętnie.

Rick pragnął przedłużyć ten pocałunek w nieskończoność, ale już nie był w stanie na nim poprzestać, musiał zbliżyć się do Joanny jeszcze bardziej, jeszcze pełniej i czuł, że ona też na niego czeka, pragnie jego pieśczoć, absolutnego zjednoczenia.

Ich oddechy zmieszały się z sobą, ciała splotły mocno, serca biły szybko, coraz szybciej, a napięcie narastało do granic wytrzymałości, do ekstazy i aż do ostatecznego wyzwolenia.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Joanna, z głową opartą na jego ramieniu, od dłuższej chwili leżała w ciszy. Rick zastanawiał się, co to może oznaczać. Całując czubek jej głowy, zagadnął:

- O czym myślisz?

Poczuł, jak się uśmiecha. I było to cudowne, ciepłe uczucie, trudne do opisania.

- O tym, że chyba musiałeś wiele ćwiczyć - zaśmiała się, unosząc głowę i spoglądając mu w oczy. - Byłeś fantastyczny, jeszcze lepszy niż kiedyś.

- Zawsze byłem dobry - obruszył się Rick żartobliwie. - I wcale wiele nie ćwiczyłem.

- Chcesz powiedzieć, że przez wszystkie te lata żyłeś w celibacie?

- Byłoby to bliskie prawdy - odrzekł, puszczając do niej oko. - Niewiele brakowało, a byłbym wstąpił do zakonu. O bardzo ścisłej regule...

Mówiąc to, przygarnął Joannę do siebie. Serce wypełniały mu uczucia, które, jak dotąd sądził, dawno go opuściły.

- Tęskniłem za tobą, Joey - szepnął drżącym głosem.

- Dlaczego nie próbowałeś mnie powstrzymać? w jej głosie nie słyszał wyrzutu. Po prostu chciała wiedzieć. - Dlaczego do mnie nie przyjechałeś? Wyjechałeś z miasta bez słowa.

Rick wzruszył ramionami. Dziś już wiedział, że źle postąpił. Powinien był rozłożyć się obozem pod jej domem i czekać, aż prawda wyjdzie na jaw.

- Myślę, że to była duma. Podobna do tej, która tobie przy każdej okazji każe odrzucać moją pomoc. Fałszywa duma, Joey. Ale wiesz, wołałbym już nie mówić o przeszłości, ani o niczym innym. Dla mnie liczy się teraz tylko to, że trzymam w ramionach przepiękną, nagą kobietę. I że musimy nadrobić te stracone lata.

- Czyżbyś znów...

Rick nie pozwolił jej dokończyć i pocałunkiem zamknął jej usta.

Nie tylko był ideałem niemal pod każdym innym względem, był także zupełnie niesamowitym kochankiem.

Ostatkiem sił zdołała obrócić się na bok i popatrzeć na niego. Ku jej zdziwieniu, jeszcze nie zasnął. Oparła dłoń o jego pierś. Wielką radością i poczuciem bezpieczeństwa napawała ją miarowy rytm jego serca.

- Powiedz mi, czy to był jakiś wybieg z twojej strony?

- Mianowicie co? Czyżbym się chwalił, że w odpowiednich okolicznościach mogę się kochać całą noc z odpowiednią kobietą?



- Nie - zaśmiała się - o niczym podobnym mnie nie uprzedzałeś. Ale mówiłeś, że masz dla mnie jakąś niespodziankę.

- To prawda, byłbym zapomniał! - Poderwał się z łóżka. - Tylko się stąd nie ruszaj - pogroził jej żartobliwie palcem.

- Rick, nie możesz się tak pokazać na korytarzu - zawołała Joanna. - Co by było, gdyby nagle wyjrzała pani Rutledge? Chyba padłaby na atak serca.

- Nie zamierzałem wcale paradować po domu w stroju adamowym - uspokoił ją i szybko wciągnął spodnie.

Joanna oparła się wygodnie na poduszkach i westchnęła głęboko. Czuła się zarazem zmęczona i spełniona, radosna i - bardzo zakochana.

Świetnie wiedziała, że popełnia wielki błąd, pozwalając sobie jeszcze raz zakochać się w Ricku. Jego rodzice ostatecznie mieli rację, ona i Rick należeli do dwóch różnych światów. Chwilowo bezrobotna samotna matka maleńkiego dziecka, nieślubna córka rodziców nie mogących się pochwalić szlachetnym rodowodem, i multimilioner, którego przodkowie należeli od wielu pokoleń do amerykańskiej elity, niewiele mieli z sobą wspólnego.

Ale na dziś, na dzisiejszą noc, postanowiła spróbować zapomnieć o wszystkich praktycznych sprawach i udawać, że jest po prostu nadal Joanną Prescottt, dwudziestoletnią i szalenie zakochaną.

Spojrzała w stronę drzwi, w których stanął Rick, ze sporym, prostokątnym pudełkiem pod pachą.

Podszedł do łóżka, usiadł na brzegu i położył jej pudełko na kolanach.

- Co to takiego? - zapytała Joanna.

- Otwórz, a zobaczysz.

- Jesteś pewien, że to nic nie kosztowało? Obiecałeś nie dawać mi więcej prezentów...

- Ani grosza, przysięgam. Nawet pudełko po koszuli znalazłem u siebie w szafie. No, otwórz wreszcie - ponaglił ją, nie mogąc się doczekać jej reakcji.

Kiedy podniosła wieczko, figlarny uśmiech zamarł na jej ustach i ustąpił zdumieniu. W pudełku leżał album fotograficzny. Natychmiast go poznała. Dała go Rickowi przed laty. Była pewna, że dawno się go pozbył. Pamiętała, że w odróżnieniu od niej, Rick nie przywiązywał wagi do pamiątkowych zdjęć.

W milczeniu wyjęła ostrożnie album z pudełka i położyła sobie na kolanach. Westchnęła cicho i zaczęła powoli obracać strony, wypełnione fotografiami. Takimi samymi jak te, które strawił pożar w jej domu. Oczy nabrzmiały jej łzami.

- Wprawdzie ten prezent nic cię nie kosztował - szepnęła zdławionym głosem - ale jest bezcenny. Gdzie znalazłeś ten album?

- W szafie z ubraniami. Głęboko ukryty. Nie potrafiłem się z nim rozstać.

Rick zostawił album w rodzinnym domu, nie zabrał go z sobą, gdy stąd wyjeżdżał. Nie chciał oglądać zdjęć, które przywoływały dawne czasy, przypominały mu Joannę.

- Ale ja pamiętam, jak mówiłeś, że nie zależy ci na przechowywaniu starych fotografii.

Mimo to Joanna zawsze zamawiała podwójne odbitki wszystkich zdjęć, które robiła w czasie trwania ich związku, i uzupełniała nimi oprawiony w ciemnozieloną skórę album, który mu podarowała.

- To pewnie zabrzmiało głupio - powiedział - ale miałem wtedy dwadzieścia dwa lata i wydawało mi się, że prawdziwy mężczyzna nie powinien być sentymentalny. Mimo to, jak widzisz, nie mogłem się zdecydować, żeby się pozbyć tych zdjęć. Myślę, że znajdziesz tu wszystkie, które straciłaś w pożarze.

Mówiąc to, odgarnął jej włosy i zajął w zalaną łzami twarz.

- Ale ty płaczesz... Z żalu czy ze szczęścia?

- Ze szczęścia - wyznała. Ostrożnie położyła album na stoliku nocnym, odwróciła się, zarzuciła Rickowi ręce na szyję i uściśkała go ze wszystkich sił.

- Dziękuję ci - szepnęła.

Rick w odpowiedzi pocałował ją, a ona ten pocałunek odwzajemniła najpierw delikatnie i czule, a potem namiętnie, gorąco. I tak, znowu nie mogli się od siebie oderwać i oboje znowu zapragnęli być jeszcze bliżej, aż do całkowitego zatracenia się w sobie.

Rick zerknął w stronę pokoju dziecinnego.

- Jak myślisz, czy Rachel może jeszcze trochę pospać?

- Ostatnio sypia coraz dłużej - odparła Joanna. - Pani Rutledge nad nią pracuje, jak widać z dobrym skutkiem.

Rick pamiętał z czasów swego dzieciństwa, że gospodyni bywała czasami surowa, ale zawsze pełna dobroci.

- Niech Bóg błogosławi panią Rutledge - powiedział i położył się przy Joannie, która przytuliła się do niego natychmiast, spragniona jego pieczyt.

Rick nie był w stanie pojąć, jak mógł wytrwać przez tyle lat bez tej kobiety. Bez jej ciała, które tak cudownie mu się poddawało, bez jej głosu, oczu. Bez jej towarzystwa na co dzień, jej poczucia humoru, stałej wymiany opinii.

Joannie przychodziły do głowy podobne myśli. Jak mogła żyć bez niego? Przepelniały ją uczucia, których nie mogła jednak ujawnić. Tak wiele pragnęła mu powiedzieć, ale musiała milczeć.

Rick jednak wiele wyczytał w jej oczach.

Wreszcie w którymś momencie, gdy tak kochali się bez pamięci, odpoczywali, a potem znów ulegali tej palącej, pulsującej potrzebie zespolenia, Rick uświadomił sobie, że po cichu opuściły go wszystkie wątpliwości, które tak długo go nękały.

Pod koniec następnego tygodnia Joanna była przekonana, że jest tak blisko raj, jak tylko może być człowiek, na tym czy nawet na tamtym świecie.

Jednocześnie podświadomie czekała, aż ta idylla się skończy. Wpatrywała węża, który wślizgnie się zdradziecko i spowoduje jej ostateczne wygnanie z raj.

Zycie układało się niemal zbyt idealnie.

Miała cudowną małą córeczkę, która samym swoim istnieniem pomoże jej się podnieść, gdyby potknęła się i upadła, podobnie jak kiedyś pomagała jej matka. I miała mężczyznę, którego uwielbiała i który wracał do niej każdego wieczora, każdej nocy. O tyle więcej, niż miała kiedykolwiek w życiu.

Rachel nauczyła się grzecznie spać w nocy, tak że Joanna i Rick mogli cieszyć się sobą. Z każdym dniem w Joannie narastała jednak potrzeba usamodzielnienia się. Nie mogła stracić szacunku do samej siebie, był dla niej równie ważny, jak Rick.

Tę potrzebę ugruntowała jeszcze impreza charytatywna, na którą Rick zabrał ją w połowie tygodnia. Było to doroczne przyjęcie, które niegdyś organizowała jego matka. Rick czuł się zobowiązany w nim uczestniczyć i poprosił Joannę, by mu towarzyszyła. Zgodziła się, mimo wątpliwości, które ją nurtowały.

Jego przyjaciele, ludzie z otoczenia rodziców Ricka, powitali go w Kalifornii z otwartymi ramionami. Zamknęli je jednak przed Joanną. Oboje opuścili przyjęcie po niespełna godzinie.

- Nie musisz wychodzić ze względu na mnie - powiedziała Joanna, gdy szybkim krokiem ruszył w stronę drzwi, kiedy jakaś kobieta, wskazując brodą Joannę, zapytała Ricka, dlaczego zadaje się z byle kim. - Zostań K swoimi przyjaciółmi.

- Wychodzę ze względu na siebie i ci ludzie nie są moimi przyjaciółmi. Nie chcę ich więcej znać - rzucił stanowczym tonem - skoro nie stać ich na zwykłą przyjemność wobec ciebie.

Tej nocy, kiedy się kochali, Joanna nie mogła jednak uznać spokoju, ciągle dręczyła ją myśl, że rodzice Rkka mieli jednak rację. Ona nie należy do jego świata.

W piątek Rick wrócił wcześniej do domu, pełen planów na następne dwa wolne dni. Aby wynagrodzić Joannie doznaną na przyjęciu przykrość, postanowił ją zabrać na wyspę Santa Catalina. Wyczuwał, że wciąż jest jej przykro, mimo że nic o tym nie mówi, i pragnął wymazać z jej pamięci to niemiłe wspomnienie.

Rachel była już dość duża, by mogła na dwa dni zostać bez mamy, pod troskliwą opieką pani Rutledge. Pogoda zapowiadała się znakomicie i Rick przed powrotem do domu zdążył załatwić bilety na statek i zarezerwować hotel na wyspie.

We wspaniałym nastroju wszedł do salonu, ale nie zastał tam Joanny, znalazł za to na stoliku gazetę, otwartą na stronie z drobnymi ogłoszeniami. Uśmiech znikł mu z twarzy.

- Joanno?

- Tutaj jestem! - zawołała z kuchni. Kiedy tam wszedł, zaskoczył go jej widok. Joanna w fartuszkach mieszała coś drewnianą łyżką w dużym garnku na kuchence. - Wcześniej dziś wróciłeś - zauważyła. - Właśnie się zabrałam do przygotowywania kolacji. Czy coś się stało? - zapytała, widząc jego zmarszczone brwi.

- Co to takiego? - Rick rzucił na stół kuchenny gazetę, którą przyniósł z salonu, otwartą na stronie ogłoszeń o wynajmie mieszkań, na której zakreślono na czerwono kilka ofert.

Joanna wzruszyła ramionami, sięgając po mąkę i posypując nią talerz. Przecież wprowadzając się tutaj, powiedziała mu, że nie zamierza zostać na stałe.

- Mieszkania do wynajęcia - oznajmiła obojętnym tonem.

Rick z trudem opanował wzburzenie.

- Dlaczego szukasz mieszkania?

- Chcę się przeprowadzić - odparła spokojnie. - Dziś przyszedł czek od mojej firmy ubezpieczeniowej.

- O ile dobrze pamiętam, mówiłaś, że chcesz odbudować dom.

- Chcę. - Skinęła głową. Wyjęła z lodówki talerz z filetemi z kurczęcia, które wcześniej przygotowała, i zaczęła je obtaczać w mące z przyprawami.

- Ten czek wystarczy mi na koszty utrzymania. Miałam jeszcze klauzulę dodatkową, która stanowiła, że jeśli coś się stanie z domem i przez jakiś czas nie będę mogła w nim mieszkać, ubezpieczenie pokryje koszty wynajmu mieszkania na czas odbudowy.

Mówiąc to, odwróciła się i zaczęła otwierać drzwiczki szafek w poszukiwaniu odpowiedniej patelni. Rick stanął przed nią i zapytał:

- Czy to z powodu tej nieszczęsnej kolacji na cele charytatywne? Tego, co powiedziała Alyssa Taylor?

- Nie - odparła stanowczo. - To nie ma nic wspólnego z Alyssą.

- Nie jesteś tu szczęśliwa?

Joanna wyciągnęła średniej wielkości patelnię i postawiła na kuchence.

- Rick, tu nie chodzi o to, czy jestem szczęśliwa. Po prostu muszę się usamodzielnąć.

- Znowu ta twoja niezależność. Nie wydaje mi się, żebym cię tu więził w piwnicy skutą łańcuchami.

Joanna westchnęła głęboko. Bardzo nie chciała stracić panowania nad sobą. Rick był dla niej dobry.

Więcej niż dobry. Ale musiała tak postąpić. Przykrość, jaka spotkała ją na przyjęciu, tylko jej o tym przypomniwała.

- Oczywiście, że nie. Byłeś i jesteś dla mnie cudowny. Ale, jak już ci mówiłam, nie mogę się do tego przyzwyczajać - powiedziała, wracając do swoich zajęć przy kolacji.

Rick wyjął jej nóż z ręki i przytrzymał ją za ramiona.

- Dlaczego? Dlaczego nie możesz się do tego przyzwyczajać?

- Bo to jest twój dom.

- Mógłby być i twoim.

- Rick, zrozum, ja się nie nadaję na dzikiego lokatora - zaśmiała się. - Oni zresztą nie koczują w eleganckich rezydencjach.

- Wyjdź za mnie, Joanno.

Te słowa padły tak nagle, tak niespodziewanie, że przez chwilę nie mogła zebrać myśli. Z wrażenia zakreśliło jej się w głowie.

- Jak to, tak po prostu?

- Nie, wcale nie po prostu. Musimy załatwić dokumenty, zrobić badania krwi, potrzebny nam będzie ksiądz...

Joanna odsunęła się od niego o krok, spojrzała mu w oczy i powiedziała:

- Przestań żartować.

- Ja wcale nie żartuję. Mówię poważnie. - Rick ujął w dłonie jej ręce i powtórzył prawie błagalnym tonem:

- Wyjdź za mnie, Joanno. Ty, ja, Rachel i pani Rutledge stworzymy rodzinę.

Nie mogła sobie pozwolić na to, by mu uwierzyć. Nie mówił serio. Wcale tego nie pragnął. Chciał tylko wynagrodzić jej doznane przykrości.

- Nie chcę twojej litości.

Rick omal nie stracił panowania nad sobą.

- Przysięga małżeńska nie ma nic wspólnego z litością. Wycofano z niej nawet słowo „posłuszeństwo” - zażartował, żeby trochę rozładować atmosferę.

Dlaczego on jej tak wszystko utrudnia? Czy nic nie rozumie? Było im razem cudownie, ale to nie może przecież trwać.

- Rick, twoi rodzice mieli rację. Znienawidziłam ich za to, ale oni wiedzieli, co mówią - powiedziała Joanna łamiącym się głosem, walcząc ze łzami, które cisnęły się jej do oczu. - Ja jestem zwykłą nauczycielką, i to bez pracy, aż do jesieni. Ty jesteś multimilionerem i obracasz się w eleganckim świecie. Ja jestem kundlem, a ty masz znakomity rodowód. Ludzie będą ci to zawsze wypominać.

Więc o to chodzi? Joanna boi się, co powiedzą bogaci ludzie, tacy jak goście na imprezie charytatywnej? Do diabła z nimi. Do diabła z nimi wszystkimi. Czy ona ?ie wie, że on ma ich w nosie?

- Z takimi ludźmi z pewnością nie utrzymywałbym stosunków - zapewnił Rick, nie puszczając jej rąk, które chciała cofnąć. - Jeśli zaś idzie o „rodowód”, to nie mam zamiaru zakładać hodowli zwierząt czystej krwi ani występować na pokazach psów rasowych. Chcę po prostu, byśmy byli małżeństwem. Sądziłem, że ty też tego chcesz.

Joanna czuła, że za chwilę pęknie jej serce. Czyżby on tego nie widział?

- Nie należę do twojej ligi - usiłowała mu wytłumaczyć. Nie chciała dopuścić, żeby kiedyś poczuł do niej niechęć za to, że nie jest taka, jaka powinna być jego żona.

- Jakiej znowu ligi?! - wykrzyknął, ledwie opanowując narastający w nim gniew. - To nie jest gra w baseball. Ja staram się ułożyć sobie życie, najlepiej jak potrafię. I ty jesteś częścią tego życia. Już raz cię straciłem, bo byłem zbyt dumny i pozwoliłem ci odejść.' I zapewniam cię, że nie pozwolę, żeby teraz rozdzieliła nas twoja duma.

- Lepiej już sobie pójdę, Rick, i dam ci ochłonać. Nie myślisz w tej chwili klarownie...

- Do Ucha, Joanno, to ty nie myślisz klarownie. Jak możesz sobie wyobrażać, że coś mnie obchodzą jacyś nieznośni krety, którzy będą mieli czelność mnie krytykować za to, że zakochałem się w kimś, kto...

Rick zamilkł nagle, widząc zaskoczenie w oczach Joanny, która spojrzawszy w stronę drzwi powiedziała:

- Nie jesteście sami.

Podążywszy za jej wzrokiem, ujrzał w nich panią Rutledge.

- Ktoś chce się z panem zobaczyć - oznajmiła gospodyni z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Rick nie był w nastroju do rozmów z kimkolwiek, poza Joanną.

- Pani Rutledge, trafiła pani w sam środek ostrej sprzeczki. Proszę powiedzieć temu komuś, żeby w poniedziałek przyszedł do mnie do biura.

- Nie zamierzam przychodzić już więcej do biura, chyba że zostanę tam zaproszony.

Rick stanął jak wryty na dźwięk znajomego głosu. Zaskoczony, odwrócił się i przekonał, że, chociaż wydawało mu się to nie do pomyślenia, miał rację.

W drzwiach, tuż za panią Rutledge, stał jego ojciec.

RS

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Rick stanął między ojcem a Joanną.

- Czy przyszedłeś porozmawiać o strajku? Bo jeśli tak, to nie ma już o czym mówić, sprawa jest zakończona.

- Wiem, słyszałem też, że świetnie sobie z tym poradziłeś. Nie, nie przyszedłem w sprawie strajku. Nie zamierzam już kontrolować twoich poczynań.

- Więc co tu robisz, tato?

Howard Masters, wysoki, szpakowaty, trochę wymizerowany mężczyzna, rozejrzał się szybko po kuchni, zanim odpowiedział:

- No cóż, jeśli się nie mylę, to jeszcze niedawno tutaj mieszkałem.

Joanna pomyślała, że w samą porę zaczęła się rozglądać za mieszkaniem do wynajęcia.

- Czy zamierza pan tu znów zamieszkać?

Ojciec Ricka zwrócił na nią szaroniebieskie oczy. Nie sposób było odgadnąć, co sobie myśli, ale te oczy spoglądały na nią życzliwie.

- Czy byłoby to w jakiś sposób niewygodne?

- Naturalnie, że nie, proszę pana - odparła Joanna i patrząc wymownie na Ricka, wyjęła z gazety stronę z ogłoszeniami, złożyła i schowała do kieszeni fartuszka.

- Tato, to jest...

Ale Howard przerwał synowi i z uśmiechem zwrócił się do Joanny, skłaniając przed nią z szacunkiem głowę.

- .. Joanna Prescott, tak, wiem. Ale mam wrażenie, że wam w czymś przeszkodziłem.

- To nie było nic pilnego, proszę pana - powiedziała Joanna i powróciła do przygotowywania kolacji.

- Proszę, mów mi Howard. Postanowiłem przez resztę życia, jaka mi pozostała, zachowywać się mniej oficjalnie.

Po tym oświadczeniu w kuchni zaległa cisza.

Nie zważając na nową dla siebie sytuację, ojciec Ricka podszedł do kuchenki, na której w dużym garnku coś się gotowało. Jego ruchy śledziły ze zdumieniem dwie pary oczu.

Podniósł pokrywkę, wciągnął nosem zapach i zapytał:

- Czy te pyszności przygotowujesz na kolację?

Joanna nie była pewna, czy Howard jej nie podpuszcza i czy zaraz nie spotka jej z jego strony jakaś przykrość.

- Tak - odparła ostrożnie.



- A czy pozwolisz mi zostać na kolacji?

Joanna na chwilę zamurowała, po czym odnalazła głos i powiedziała spokojnie:

- Jak pan już sam zauważył, panie Masters, jest pan tu u siebie.

Ale nie takiej odpowiedzi oczekiwał ojciec Ricka.

- Czy pozwolisz mi zostać? - powtórzył.

Joanna wymieniła z Rickiem spojrzenia, ale wydawało się, że on też nie wie, o co chodzi.

- Tak, oczywiście.

Dosyć tego dobrego, pomyślał Rick. Jeśli jego ojciec bawi się w jakąś grę, której celem jest postawienie Joanny w kłopotliwej sytuacji, to zaraz się przekona, że Rick mu na to nie pozwoli.

- Tato, o co ci właściwie chodzi?

Howard, który nie poczuł się urażony ani tym pytaniem, ani ostrym tonem, jakim zostało zadane, spojrzał przyjaźnie na syna i wyjaśnił:

- Po prostu dane mi było przeżyć zawal i postanowiłem cieszyć się życiem. Przestałem też uważać, że wszystko mi się należy - uśmiechnął się do syna. - Czy będę miał czas, żeby trochę się odświeżyć po podróży? - zwrócił się do Joanny.

Ojciec Ricka z pewnością był z wyglądu tym samym człowiekiem, który osiem lat temu próbował ją przekupić, ale zachowywał się i mówił w zupełnie inny sposób.

- Kolacja będzie gotowa dopiero za godzinę.

- To znakomicie - ucieszył się Howard. - A więc do zobaczenia w jadalni.

Kiedy przechodził koło pani Rutledge, z aprobatą skinął głową.

- Świetnie wyglądasz, Nadine.

- Dziękuję panu - odrzekła gospodyni nieco zdziwionym tonem i spojrzała pytająco na Ricka, który wzruszył tylko ramionami.

- Coś przedziwnego - mruknęła pod nosem pani Rutledge, kiedy Masters senior opuścił kuchnię.

Po raz pierwszy od wielu lat, kiedy tu pracowała, usłyszała od tego człowieka jakąś osobistą uwagę, nie wspominając już o komplementach. Potrząsnęła głową, jakby chciała uporządkować myśli, po czym zwróciła się do Joanny:

- W czym mogę pomóc?

Joanna była zaskoczona, że osoba, która sama tak świetnie gotuje, ofiarowuje się odgrywać rolę podkuchennej, ale uznała, że szkoda czasu na dyskusje, kto tu powinien stać u steru.

- Gdyby pani zechciała obrać ziemniaki...
- Już się robi - powiedziała pani Rutledge i podeszła do zlewu.
- A co ze mną? - zapytał Rick, w którego głosie wyczuwało się zdenerwowanie. Wciąż nie miał pewności, czy jego ojciec przyjechał tu z przyczyn wyłącznie altruistycznych, i obawiał się, że zechce w jakiś sposób zniszczyć mu życie, jak to uczynił przed ośmioma laty. - Jaką rolę przeznaczyłaś dla mnie?
- Możesz odgrywać rolę głodnego, lecz cierpliwego pana na włościach. W lot pojął aluzję.
- Rozumiem, że mam ci zejść z drogi i nie przeszkadzać.
- Właśnie - uśmiechnęła się.
- Rick pochylił się i szepnął jej na ucho:
- Dokończymy później naszą rozmowę.
- Kiedy wyszedł z kuchni, Joanna zwróciła się do pani Rutledge:
- Dziękuję pani.
- Za co? - zapytała gospodyni, podnosząc wzrok znad obieranych ziemniaków.
- Za to, że pani o nic nie pyta. - Joanna była pewna, że pani Rutledge świetnie słyszała koniec ich sprzeczki.
- To nie są moje sprawy, moja droga - odrzekła gospodyni lekkim tonem.
- Howard Masters wszedł do jadalni i zajął miejsce u szczytu stołu dokładnie w chwili, kiedy Joanna stawiała na nim gorące danie pod pokrywką. Gdy zauważył na stole tylko dwa nakrycia, spojrzął na nią i zagadnął:
- Nie przyłączysz się do nas?
- O to samo zapytał ją przed chwilą Rick. Joanna obawiała się jednak, że jego ojciec może nie życzyć sobie jej obecności, i nie chciała wpakować się w sytuację, w której czułaby się zlekceważona.
- Postąpiła krok w stronę drzwi i powiedziała:
- Nie, dziękuję, myślę, że panowie będą woleli jeść sami.
- Ależ nie, proszę cię bardzo - odrzekł Howard - usiądź z nami. - Spojrzął na panią Rutledge, która wniosła właśnie główne danie, kurczę w parmezanie.
- Pani Rutledge, zechce pani przynieść jeszcze jedno nakrycie dla tej młodej damy. - Zanim Joanna zdążyła zaprotestować, Howard wstał i odsunął krzesło po swojej lewej stronie, dokładnie naprzeciw Ricka. - Proszę cię, usiądź - zwrócił się do Joanny, próbując ją przekonać.
- Nie miała wyboru, musiała spełnić jego prośbę i pozwolić, by pomógł jej usiąść przy stole.

Zajmując swoje miejsce, Howard uśmiechnął się do Joanny i powiedział z aprobatą:

- Widzę, że postanowiliście siadać bliżej siebie. To bardzo dobry pomysł, tak jest o wiele lepiej. Twoja matka i ja - zwrócił się teraz do syna - musieliśmy głośno krzyknąć, kiedy tu jadaliśmy. No, prawdę powiedziawszy - poprawił się, pociągając łyk wina - to krzyczelibyśmy pewnie i tak, nawet gdyby nie dzielił nas cały stół. Ale to już dawne czasy...

Nabierając pokaźne porcje różnych dań, powiedział z podziwem w głosie:

- Joanno, wszystko tu wygląda i pachnie wyśmienicie. Nie wiedziałem, że jesteś taką dobrą kucharką.

Rick nie poznawał swego ojca. Po tej ostatniej, trudnej rozmowie telefonicznej dotyczącej oszustwa, jakiego dopuścili się jego rodzice wobec Joanny, spodziewał się, że ojciec obmyśli jakąś nową strategię i znów przejdzie do ofensywy. Takiego ojca Rick nie znał. Zawał serca naprawdę bardzo go odmienił.

- Wspominałeś, że nie zamierzasz już przychodzić do biura? - zagadnął Rick.

- To prawda - przyznał Howard, delektując się kęsem kurczęcia i kiwając głową z aprobatą. - Postanowiłem przejść na emeryturę. Oficjalnie. Przez całe życie sądziłem, że o tym, kim jest mężczyzna, świadczy jego rodzina i praca. Takie mniemanie prowadzi w końcu do utraty własnej tożsamości. Nie można wtedy żyć po swojemu. W wieku sześćdziesięciu siedmiu lat postanowiłem, że najwyższy czas, abym miał własne życie.

- Własna tożsamość? - Rick wciąż nie dowierzał, że ojciec mógł tak bardzo się zmienić. - To kim właściwie jesteś, tato?

Howard widział, że syn mu nie dowierza. Nie miał mu tego za złe, ostatnio sam był zaskoczony własnym postępowaniem i obrotem, jaki przybrało jego życie. Zaskoczony i wdzięczny za tę drugą szansę, jaka została mu dana.

- Dopiero to odkrywam, synu. I muszę powiedzieć, że to połowa przyjemności. Czy zgodzisz się ze mną, Joanno?

- A zależy panu, żebym się z nim zgodziła? - wybąkała, zaskoczona jego pytaniem.

- Moja droga, zależy mi na tym, żebyś robiła wszystko to, czego sama pragniesz. Uwierz mi.

Howard zdawał sobie sprawę, że to jeszcze za mało, że żadne z nich mu nie uwierzy, zanim zdoła ich przekonać o swojej szczerości. Odłożył więc

sztuńce, wziął głęboki oddech i zebrał siły, aby powiedzieć wreszcie to, co było konieczne.

- Myślę, że musimy najpierw się z tym uporać, zanim ruszymy z miejsca - oznajmił, poprawiając się w krześle i zwracając w stronę Joanny. - Panno Prescott, przepraszam za krzywdę, jaką pani wyrządziłem osiem lat temu. Mógłbym, oczywiście, rzucić winę na matkę Richarda. Byłoby mi łatwiej. Jednak - uśmiechnął się filozoficznie - jeszcze mi nie usunięto operacyjnie kręgosłupa. Człowieka nie można do niczego zmusić. To prawda, że w owym czasie ja też uważałem, że wasze małżeństwo byłoby wielkim błędem.

Gdy spostrzegł, że Rick chce mu przerwać, powstrzymał go ruchem dłoni i ciągnął dalej:

- Musisz zrozumieć - zwrócił się do Joanny - że ja pochodzę z tak zwanej dobrej rodziny, moi przodkowie od wielu pokoleń to gromada snobów, w których żyłach płynie błękitna krew. Lubimy się wywyższać nad innych, ponieważ trzysta lat temu nasi prajcownicy mieli to szczęście, że ich wyekspediowano do Ameryki na pokładzie zatłoczonego okrętu, który mógł w każdej chwili zatonąć. Nieważne, że było wśród nich z pewnością wielu złodziei i podejrzanych osobników, których z rozmaitych względów chciano się pozbyć, bo taki właśnie element przybywał dość regularnie do nowego świata. To byli nasi przodkowie, i tylko to się liczy. W ciągu paru stuleci wszystkich ich wybielono i ustawiono na piedestałach, nieco powyżej świętych i niewiele poniżej Pana Boga. Próbuję w tej chwili powiedzieć, klucząc nieco wokół tematu, że nie ma dla mnie usprawiedliwienia. Bez względu na to, jaką sobie wymarzyłem żonę dla swojego syna, nie wolno mi było uciekać się do kłamstwa, zastraszania i fałszerstwa. -Mówiąc to, Howard wziął Joannę za rękę, pragnąc jeszcze mocniej zaakcentować swoje słowa: - Bardzo żałuję tego, co uczyniłem, i mogę tylko mieć nadzieję, że kiedyś zdołasz wybaczyć staremu człowiekowi jego błąd.

Joanna przez dłuższą chwilę nie mogła dojść do siebie. Ojciec Ricka znowu ją zaskoczył. I także w tym przypadku, jak zawsze, kiedy ktoś ją za coś przeproszał, żal, który czuła, szybko ustąpił.

Prócz tego, już przedtem dostrzegła i rozumiała racje, jakimi się ten człowiek kiedyś kierował. Niedawno wspominała nawet o tym Rickowi.

- Robił pan tylko to, co uważał za najlepsze dla Ricka.

Howard spojrzął na syna i powiedział:

- Teraz wiem, co ty w niej widzisz. Joanna jest nie tylko piękna, ale także zdolna do współczucia, a to jest rzadka cecha. Tym bardziej żałuję swojego postępowania.

Joanna nie należała do osób, które lubią obracać nóż w czyimś sercu.

- Nie ma sensu rozpamiętywać żalów z przeszłości, to do niczego nie prowadzi - powiedziała łagodnym głosem.

- Ale z błędów należy wyciągnąć nauczkę - powiedział Howard. - I ja ją wyciągnąłem. Życie jest zbyt cenne, by odkładać ważne sprawy na później. Dlatego - mówiąc to, spojrzął wymownie na syna - tu przyjechałem. Aby ciebie także osobiście przeprosić i powiadomić, że ja sam znikam za kulisami.

Howard podniósł swój kieliszek z winem i oświadczył:

- Masters Enterprises należy w całości do ciebie, Richardzie. Zachowuję dla siebie tylko opcje na zakupy akcji i prawo głosu na dorocznym zebraniu akcjonariuszy firmy. W sumie, jak to się mówi, odchodzę na zieloną trawkę.

Wprawdzie ojciec wspominał coś o swym odejściu podczas ich ostatniej rozmowy telefonicznej, ale Rick był wtedy pewien, że to tylko przelotna myśl, która wkrótce zostanie wymazana z pamięci.

- Nie wiem, co mam powiedzieć.

Howard odstawił kieliszek na stół i zasugerował:

- Możesz na przykład życzyć mi szczęścia.

- Oczywiście. - Rick jakoś nie był w stanie wyobrazić sobie ojca na niekończących się wakacjach. Zawsze mu się wydawało, że on po prostu potrzebuje pracować. - Ale czy to nie jest pochopna decyzja? Firma była zawsze twoim życiem.

- No właśnie, czy to nie smutne? - pokiwał głową Howard. - Dorothy już mi to wytłumaczyła - powiedział, zwracając się do Joanny. - Dziedzictwo, jakie po sobie zostawiamy, to nie gmach ani majątek, ale czyny, ludzie, z którymi się stykaliśmy, przechodząc przez życie. Ludzie, którym jest może lepiej, ponieważ spotkali nas na swojej drodze. - Kiedy zobaczył wyraz jej oczu, z jego twarzy znikł smutek, a pojawił się na niej uśmiech. - Ach, widzę, że się rozpromieniłaś. Że się ze mną zgadzasz.

- Całym sercem. - Ojciec Ricka wyraził właśnie jej własną filozofię życiową. I jeszcze raz ją zaskoczył.

- Lepiej szybko ją porwij, synu, i uważaj, żebym ci jej nie sprzątnął sprzed nosa.

Rick wciąż nie potrafił pojąć tej cudownej przemiany, jaka zaszła w ojcu.

- A co na to wszystko Dorothy?

- Dorothy Wynters - zaśmiał się Howard - jest nieposkromioną, wolną duszą i nie ma zamiaru mnie poślubić. Twierdzi, że jest szczęśliwa, kiedy „dotrzymujemy sobie towarzystwa”. Aleja mam nadzieję - tu zniżył głos i przybrał ton konfidencjonalny - że wkrótce uda mi się ją przekonać do

zmiany decyzji. - Wyjął z kieszeni małe czarne pudełeczko, otworzył je i podsunął Joannie, żeby mogła dobrze przyjrzeć się zawartości. - Co o tym sądzisz?

Joanna nie była wielką miłośniczką biżuterii, ale ten pierścionek, z trzykaratowym brylantem w kształcie serca, zaparł jej dech w piersiach.

- Przydałyby mi się okulary przeciwsłoneczne - uśmiechnęła się szeroko do Howarda. - W życiu nie widziałam diamentu, z którego biłby taki blask.

Howard zamknął pudełeczko i schował do kieszeni.

- Czy na jego widok jakaś kobieta mogłaby powiedzieć „nie”?

- Oj, chyba ze świecą takiej szukać - przyznała Joanna. Była nieco zdziwiona, że ojciec Ricka pyta ją o zdanie. Nigdy, przenigdy sobie nie wyobrażała, że może kiedyś uczestniczyć w podobnej scenie. - Ale jeśli do pierścionka dodać takiego starającego się jak pan, to odpowiem zdecydowanie, że żadna by się nie oparła.

Howard roześmiał się, dokładnie tak, jak śmiał się zawsze Rick.

- Urocza odpowiedź. Jesteś doprawdy niezwykłą kobietą.

Tego faceta może da się nawet z czasem polubić, pomyślała Joanna.

- Proszę, mów mi po imieniu - dodał.

- Dobrze, dziękuję ci, Howardzie. - Joanna uśmiechnęła się do niego ciepło.

Rick prawie cały czas grzebał tylko w talerzu, oszołomiony i zagubiony. Nie mógł poznać swego ojca, którego znał przecież od lat.

- Tato, kim ty właściwie jesteś?

- Jak już ci mówiłem, właśnie sam zaczynam się tego dowiadywać.

Zdaniem Ricka, jego ojciec już się o tym dowiedział i właśnie zaczynał budować nowe, lepsze życie.

- Czy masz na myśli jakąś konkretną datę?

- Każdą datę, na którą ona się zgodzi - powiedział Howard, który, skończywszy jedzenie, z kieliszkiem wina w ręku, oparł się wygodnie w krzesło. - Mam nadzieję, że oboje przyjedziecie na ślub.

- Oczywiście! - wykrzyknęła z entuzjazmem Joanna.

Rick jednak nie przyłączył się do niej, siedział milczący, z marsowym czołem, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami.

Po chwili podniósł bezradnie ręce, jakby chciał zahamować potok słów, które szybko i gwałtownie płynęły w jego stronę. Potrząsnął głową, chcąc uporządkować myśli.

- Trudno mi to wszystko wchłonąć. Tato, jakie ty bierzesz leki?

- Najlepsze. To miłość. Nigdy nie sądziłem, że coś takiego może się zdarzyć w moim wieku. Prawdę mówiąc, w ogóle nie wierzyłem, że się to

może zdarzyć. - Zamilkł na moment, po czym ciągnął dalej, nie spuszczać wzroku z twarzy syna.

- Wiesz oczywiście, że twoja matka i ja nie zawarliśmy małżeństwa z miłości. Była to raczej fuzja dwóch starych rodzin, w celu przedłużenia gatunku. Mój Boże, kiedy pomyślę, jaki szmat życia mi uciekł... - Howard umilkł i przytknął na chwilę oczy.

Otworzył je, kiedy poczuł rękę Joanny na swojej dłoni.

Patrząc mu prosto w twarz, powiedziała cicho, a zarazem stanowczo:

- Nie wracamy już do przeszłości, pamiętasz? Tak postanowiliśmy. Idziemy naprzód. Porzekadło, że dziś jest pierwszy dzień reszty naszego życia, nie jest po prostu banalnym powiedzonkiem, ono zawiera w sobie głęboka prawdę.

Howard uśmiechem podziękował jej za te słowa.

Został z nimi jeszcze godzinę. Joanna przedstawiła mu swoją maleńką córeczkę, kiedy ta właśnie się obudziła. Zupełnie szczerze wyjaśniła, jak doszło do poczęcia dziecka.

Rick oczekiwał w najlepszym wypadku jakiegoś enigmatycznego komentarza. Ojciec zaskoczył go jednak znowu, chwając się charakteru Joanny.

- Walczysz o to, czego pragniesz. Podziwiam taką cechę u kobiet.

Po niedługim czasie Howard zerknął na zegarek i powiedział:

- Bardzo żałuję, że nie mogę zostać dłużej, ale muszę zdążyć na samolot, a w dzisiejszych czasach każą być z dużym wyprzedzeniem na lotnisku. Przyjechałem do Kalifornii tylko po to, żeby załatwić z moim adwokatem sprawę przekazania firmy Richardowi, no i po to, by przeprosić ciebie, Joanno, za to, co uczyniłem i, jeśli to możliwe, uzyskać twoje przebaczenie.

Kiedy w trójkę ruszyli w stronę drzwi, Howard ujął Joannę za rękę.

- Wyrządziłem ci wielką krzywdę i byłem bardzo niesprawiedliwy, a ty okazałaś mi więcej uprzejmości, niż zasłużyłem. Teraz pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że Richard przejrzy na oczy i nie zwlekając wprowadzi cię do naszej rodziny, zanim porwie mu ciebie ktoś inny. - Mówiąc to, położył rękę na dłoni syna. - Wy dwoje najwyraźniej jesteście sobie przeznaczeni i doprawdy nie miałem prawa się w to wtrącać.

Wzruszona Joanna, która trzymała na rękach gaworzącą małą Rachel, wspięła się na palce i musnęła wargami policzek Howarda.

Ten spojrział na nią i z uśmiechem powiedział:

- Jesteś prawdziwą damą. - Potem zwrócił się do syna, objął go i upomniał:

- Dbaj o nią, Richardzie.

Rick, czując się trochę niezręcznie, również objął ojca.

- Chciałbym, tato, ale ona mi nie pozwala.

Z ręką na kłamec, Howard odwrócił się i spojrzał na Joannę.

- W czym problem? - zapytał.

Przenosząc Rachel na drugą rękę i poklepując ją delikatnie po plecach, Joanna powiedziała:

- Uważam, że każdy powinien sam dbać o siebie. Howard zmarszczył lekko brwi.

- Czasami rzeczywiście tak bywa lepiej, ale na ogół współzależność dobrze się sprawdza. - Pochylił się i rzekł, udając, że się jej zwierza: - Widzisz, mężczyźni lubią myśleć, że są nadal do czegoś potrzebni. Więc zlituj się nad nami - mówiąc to, spojrzał na syna, a potem znów na nią. - Zrób nam przyjemność i od czasu do czasu pozwól, byśmy ruszali na ratunek. - Howard mrugnął do niej porozumiewawczo, a potem jeszcze raz objął syna.

- Dziękuję ci za gościnę i za przebaczenie. Wkrótce się odezwę.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, Joanna stała przez chwilę w milczeniu, zanim zwróciła się do Ricka:

- Kto to był, ten gość w przebraniu?

- Nie mam pojęcia... - Rick tylko pokręcił głową.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rick czekał cierpliwie, aż Joanna wykąpie Rachel i położy ją do łóżeczka. Ale kiedy mała zasnęła, uznał, że nie ma powodu odkładać rozmowy na później.

Kiedy tylko wyszła z pokoju dziecinnego, oznajmił:

- No to teraz sobie porozmawiamy.

Joanna świetnie się domyślała, co ją czeka. Zaciśnęła usta, zbierając siły. Coraz trudniej jej było wytrwać przy swoim postanowieniu, które i tak nie było chyba niezłomne. Nie pomagała też bliska obecność Ricka ani to, że opiekował się Rachel.

Ale wspomnienie imprezy charytatywnej wciąż było żywe w jej pamięci. I trzymała się go kurczowo, kiedy tylko czuła, że uginają się pod nią nogi i słabnie wola.

Mijając Ricka w drzwiach, przeszła do swojego pokoju. Przemknęło jej przez myśl, że już wkrótce nie będzie tu mieszkać.

- Nie mamy o czym rozmawiać.

Rick wszedł za nią i zamknął za sobą drzwi.

- Więc mnie nie kochasz.

Joanna odwróciła się błyskawicznie. Bez względu na wszystkie swoje postanowienia i poczynania nie potrafiłaby mu powiedzieć, że go nie kocha. Po prostu nie mogłaby.

- Tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś - prychnął, zaciskając pięści, aby nie wybuchnąć. - Kiedy kobieta odrzuca oświadczyzny mężczyzny, znaczy to zazwyczaj, że za nim nie szaleje.

Czyżby on nie rozumiał? Przecież nie są już dziećmi. Na ile jeszcze sposobów miała powtarzać mu to samo?

- Rick, miłość nie wszystko zwycięża, czasami zwycięża świat. I czy ci się to podoba, czy nie, twój świat to świat elity towarzyskiej.

Nie wierząc własnym uszom, potrząsnął głową.

- Czuję się tak, jakbym grał w jakiejś komedii omyłek. Mój ojciec podaje teraz twoje teksty, a ty jego. To chyba jakiś sen!

Joanna była bliska płaczu. Od wielu lat, kiedy budziła się smutna przed świtem, rozmyślała o tym, czym mogłoby być ich wspólne życie. A teraz, kiedy Rick poprosił, żeby została jego żoną, ona musi mu odmówić. Dla jego dobra. Bardzo ją to bolało.

- Nie wszystkie trudności da się pokonać. Chyba pamiętasz, co się wydarzyło na tym przyjęciu?! - wykrzyknęła wreszcie przez łyzy. - Nawet nie wiedziałam, który widelec do czego służy.

Rick wlepił w nią oczy, okrągłe jak talerzyki.

- I na tym opierasz całą naszą przyszłość? Na widelcu?

- Wszystko przeinaczasz - westchnęła z bólem i chciała już wyjść z pokoju, żeby wreszcie zakończyć tę rozmowę. Dlaczego on nie zostawi jej w spokoju?

Rick chwycił ją jednak za ramiona i obrócił twarzą do siebie. Tym razem nie pozwoli jej uciec.

- Będę się upierał tak długo, aż cię przekonam. I nie chodzi tu o przeciąganie liny, o to, kto postawi na swoim. Stawką jest nasze szczęście. Nie pozwolę go zniszczyć.

Uwolnił ją z uścisku i, gestem krańcowej frustracji, przeczesał sobie palcami włosy.

- Do licha, Joanno, są kursy, na których można się nauczyć, jak się posługiwać różnymi widelcami, ale na żadnych kursach nie uczą, jak być sobą. - Gdy spostrzegł, że zaczął krzyczeć, zniżył z wysiłkiem głos. - Jesteś taka uparta, ale mimo to taka cudowna.

- Robię to dla nas obojga - szepnęła przez łyzy i obrzuciła go błagalnym spojrzeniem.

Wszystko w nim zawrzało. Jeśli Joanna nie zostanie jego żoną, on nic na tym nie zyska, za to straci wszystko. Pozostanie mu tylko cierpienie.

- I nawet to, co opowiadał o sobie mój ojciec, nie zmieniło twego stanowiska?

- Rick, to są sytuacje nie do porównania. Twój ojciec przeżył większość swojego życia. Nie ma nic do stracenia.

- A ja, czy ja też nie mam nic do stracenia?! - krzyknął, tracąc nad sobą panowanie.

Bał się, że powie coś, czego będzie potem żałował. Znienacka odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Po paru minutach Joanna usłyszała, jak trzasnęły drzwi frontowe.

W pierwszej chwili chciała za nim pobiec, powiedzieć, że zmieniła zdanie. Ale szybko wzięła się w garść. Nie może sobie pozwolić na słabość. Robi to przecież z miłości dla niego i o tym musi pamiętać. Położyła się więc do łóżka i próbowała zasnąć.

Ledwie zmorzył ją sen, usłyszała pukanie do drzwi pokoju.

Natychmiast oprzytomniała i jej pierwszą myślą było, że Rickowi stało się coś złego. Przez większość nocy Joanna chodziła z kąta w kąt, wyglądała

przez okno, modliła się. Czekala, aż Rick wróci do domu. Kiedy długo go nie było, obdzwoniła okoliczne szpitale, ale niczego się nie dowiedziała.

Koło drugiej w nocy była już tak wykończona, że musiała znów się położyć. O dziewiątej miała wyruszyć na poszukiwanie mieszkania, musiała choć trochę przed tym wypocząć.

Szybko wyskoczyła z łóżka, pobiegła bosą do drzwi i otworzyła je, spodziewając się, że ujrzy za nimi panią Rutledge przynoszącą tragiczną wiadomość.

- Co się stało...?

Przekraczając próg, omal nie wpała na Ricka. Cofnęła się o krok i zlustrowała go wzrokiem. Nic złego się nie stało. Poczula, jak ogarnia ją ciepła fala ulgi.

Po chwili jednak wezbrał w niej gniew. Jak on mógł jej to zrobić?

- Jest już prawie trzecia w nocy. Gdzie ty, u licha, byłeś?

Rick spojrział na rulon papierów, które trzymał w ręku.

- Zbierałem dowody.

- Dowody? - Oczy Joanny zwężyły się. - O czym ty mówisz?

Impulsem było dla niego to, o czym przy kolacji wspomniał ojciec.

- Zadzwońm najpierw na lotnisko do ojca, poprosim, żeby mi podał listę pewnych nazwisk. Potem musiałem je wszystkie sprawdzić, i to mi zabrało trochę czasu.

- Nazwisk? Jakich znowu nazwisk? O czym ty mówisz? - denerwowała się Joanna. Nic z tego nie rozumiała. A poza tym, to nie tłumaczyło, dlaczego tak gwałtownie wybiegł z domu. - Może piłeś?

- Nie, ale przyznam, że mnie korciło. - Przyszło mu to do głowy, kiedy tylko zatrzasnął za sobą drzwi, ale natychmiast wpał na pomysł bardziej produktywny.

- Gdybym się jednak upił, nie mógłbym załatwić pewnej pilnej sprawy.

Nie chcąc rozmawiać w przedpokoju, Rick wszedł do sypialni Joanny i rzucił na jej łóżko kartki, które jak jesienne liście opadły na rozrzuconą pościel.

- Przeczytaj to - poprosił, wskazując ręką kartki.

- Kolejność dowolna, wybieraj, co ci się podoba.

- Co to takiego?

- Oto moi znakomici przodkowie. - Zaśmiał się krótko. Ponieważ Joanna nie ruszyła się z miejsca, on sam podniósł pierwszą z brzegu kartkę.

- O, posłuchaj, to naprawdę był ktoś, kogo warto poznać. Simon Greeley, urodzony w 1657 roku. Zwany Brzytewka. Taki facet, co przecina paski damskich torebek. Inny słowy, zwykły złodziejaszek. Simon był ze strony

mojej matki. - Rick nie mógł się powstrzymać od uśmiechu na myśl o tym, jaką minę miałaby jego matka, gdyby się dowiedziała, że taki typek jak Greeley ukrywa się na gałęzi jej drzewa genealogicznego. - Mama z pewnością nie posiadałaby się z radości, gdyby jej ktoś o tym powiedział.

Rick wziął ze stosiku następną kartkę.

- O, jeszcze ktoś z rodziny mamy. Niejaka Jenny Wheelwright. Ulicznica. Data urodzenia nieznana, wiadomo natomiast, że w 1689 roku zamieniono jej wyrok śmierci na zesłanie do Georgii. A teraz - Rick wziął do ręki jeszcze jedną kartkę - jeden ze znamienitych przodków ojca, Jonathan Masters, pospolity rabuś. Zwróciłaś uwagę na nacisk, jaki położyłem na słowo „pospolity”? Jest tu jeszcze kilka podobnych postaci. Czy mam ci wszystkich przedstawić?

Joanna nie umiała pojąć, dlaczego Rick postanowił postawić pod pręgierzem swoich przodków.

- Po co to robisz?

- To chyba oczywiste. Pokazuję ci "mój szlachetny rodowód. Ostatecznie masz prawo wiedzieć, w jaką wchodzisz rodzinę. Oto właśnie - machnął ręką w stronę łóżka - moja rodzinka. Aha, jeszcze jedno. Pozwoliłem sobie odnaleźć przodków Alyssy Taylor i jeszcze paru innych osób, obecnych na tym przyjęciu. Żadna nie może powiedzieć, że w rodzinie nie było czarnych owiec. A na końcu - przerwał i spojrzał na nią poważnie - na końcu zabrałem się do ciebie.

- Do mnie? - Joanna otworzyła szeroko oczy. Rick przytaknął i usiadł na brzegu łóżka, po czym

zaczął składać w stosik wszystkie kartki.

- To mi zajęło sporo czasu. Z początku znałem tylko nazwisko twojej matki. Przyznam, że miałem kłopot z odnalezieniem twego ojca, bo nigdy mi nie powiedziałaś, jak się nazywał.

Gdzie on znalazł te wszystkie informacje? I dlaczego zadał sobie tyle trudu w środku nocy?

- Jakim cudem...

- Dokumentacja w szpitalu - odparł. - Jego nazwisko figuruje w twoim akcie urodzenia.

Joanna wiedziała, że Rick nie mógł mieć dostępu do tych danych. Mógł do nich dotrzeć tylko w jeden sposób.

- Odkąd to jesteś hackerem?

- Wcale nie jestem, ale mam za to wszechstronnie utalentowanego asystenta. Pierce to prawdziwy artysta, gdy trzeba wydobyć jakieś pliki komputerowe. Stałem nad nim z batem i poganiałem, aż wreszcie padł

nieprzytomny na łóżko. Ale dość tych dygresji - powiedział i spoważniał. - Według moich informacji, ty masz najlepsze pochodzenie z nas wszystkich. W twoim drzewie genealogicznym nie ma ani jednego złodzieja, mordercy czy damy lekkich obyczajów. Tylko uczciwi robotnicy i farmerzy. To raczej ja powinienem się martwić, że mogłabyś się mnie wstydzić.

Wpatrując się z niedowierzaniem w papiery na łóżku, Joanna zapytała:

- Zrobiłeś to wszystko dla mnie?

Rick pociągnął ją za rękę i zmusił, żeby przy nim usiadła.

- Jak widzisz, to ciebie trzeba przekonywać, a nie mnie. I świetnie wiem, że ty, Joanno, jesteś tym najlepszym, co mi się w życiu przydarzyło. I jeśli kiedykolwiek ktoś ośmieli się spojrzeć na ciebie z góry, podsunę mu tylko pod nos jego drzewo genealogiczne. Gwarantuję, że potem nikt nie zechce cię obrazić.

- Nie wiem, co powiedzieć - rzekła, wzruszona jego słowami.

- Myślę, że najstosowniejszym słowem byłoby: „tak”. Jak w takim zdaniu: „Tak, wyjdę za ciebie”. „Tak, popłynę z tobą na Catalinę”...

- Na Catalinę?

W zamieszaniu spowodowanym nieoczekiwaną wizytą ojca Rick zapomniał jej o tym powiedzieć.

- Kupiłem dla nas bilety na statek na jutro - to znaczy, na dzisiaj - poprawił się. - Aha, i mam coś jeszcze dla ciebie.

Zanim Joanna, oszołomiona tempem wydarzeń, zdołała cokolwiek powiedzieć, Rick wyjął z kieszeni małe czarne pudełeczko i wręczył jej.

Gdy je otworzyła, natychmiast poznała pierścionek. Dwóch takich samych z pewnością nie było. Zaintrygowana, spojrzała na niego.

- Przecież to pierścionek twego ojca - powiedziała i chciała mu zwrócić pudełko.

Rick jednak delikatnie zamknął jej palce wokół pudełka.

- Nie - sprostował - formalnie rzecz biorąc, miał to być pierścionek Dorothy.

Joanna nadal nie rozumiała.

- Więc jakim cudem znalazł się u ciebie?

Ojciec wsunął mu pudełeczko do kieszeni, kiedy uściskał go w drzwiach, przed wyjazdem na lotnisko.

- Dał mi go tuż przed wyjściem z domu. Powiedział, że widział, jak ci oczy rozbłysły, gdy patrzyłaś na ten pierścionek, i że może to serduszko pomoże mi cię przekonać.

- Przecież nie wyszłabym za ciebie dla pierścionka. Rick nie miał co do tego wątpliwości, znał ją przecież wystarczająco dobrze. W jego zamiarze

ten pierścionek miał być po prostu materialnym wyrazem jego uczuć i pamiątką na przyszłość.

- Joanno, wiesz przecież, że nie przywiązuję wagi do etykietek. Ani do tego, co się mówi w „towarzystwie”. Zależy mi na tobie, na twoim dziecku, na naszym wspólnym życiu. I wiem, jak moje życie wyglądałoby bez ciebie.

- Mówiąc to, spojrział jej głęboko w oczy. - Już się o tym raz przekonałem, i wcale mi się to nie podobało. Rzuciłem się w wir pracy, harowałem dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby tylko o tobie nie myśleć. Ale to też nie pomagało. Pamiętasz, to ty mi kiedyś powiedziałaś, że najważniejsze w życiu jest nie to, co robisz, ale kogo kochasz i kto kocha ciebie. - Objął ją mocno i dodał: - Najważniejsze w moim życiu jest to, że ciebie kocham. A ty też mi wyznałaś, że mnie kochasz. O ile wiem, kiedy ludzie się kochają, biorą ślub. No więc?

Joanna rozłożyła ręce i z uśmiechem powiedziała tylko:

- Okay.

Rick jednak potrząsnął głową. Taka odpowiedź go nie zadowalała.

- Chcę to usłyszeć wyraźnie, więc sam też zapytam cię w sposób formalny: Joanno Prescott, czy uczynisz mi ten zaszczyt i zechcesz zostać moją żoną?

Poczuła, jak miłość wypełnia po brzegi jej serce.

- Tak, o tak! - zawołała z entuzjazmem, zarzucając mu ręce na szyję i całując go w usta.

W chwili gdy ten pocałunek zaczął zwiastować nagły przypływ namiętności, oboje usłyszeli płacz dziecka. Joanna niechętnie cofnęła się o krok.

- Moja mała płacze. Muszę do niej iść.

- Nasza mała płacze - poprawił ją Rick. - I oboje do niej pójdziemy.

Za chwilę. I pocałował ją, długo, mocno, namiętnie, a zarazem czule.

RS

**LIZ FIELDING**

**Ideał  
bez skazy**



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

To była kompletna głupota, Nash Gallagher wiedział o tym doskonale. I wcale nie zamierzał zostać tu dłużej, niż to konieczne. Ot, po prostu, przejdzie się jeszcze raz po terenie, ostatni raz rzuci okiem na ogród i niech buldożery robią swoje.

Ostatecznie ogrody nie są czymś wiecznym. Koniec. Kropka. Powinien był o tym pamiętać.

Tylko skąd, do diabła, ten tępy ból w okolicy serca? Był pewien, że pożegnanie z ogrodem dziadka będzie zwykłą formalnością. A jednak... Cóż, widocznie starszek znał go lepiej, niż mogło by się wydawać...

Zahaczył rękawem swetra o gałąź, wyciągając ze ściegu kilka długich, kolorowych nitek. Zaklął pod nosem. Na trawę spadło parę dojrzałych brzoskwiń.

Drzewko brzoskwiniowe...

Ukłucie w sercu odezwało się ponownie.

Pamiętał, jak w dzieciństwie przybiegał tu co rano i sprawdzał, czy owoce nadają się już do jedzenia. Senne bzyczenie pszczoł, słodki brzoskwiniowy zapach i moment, w którym zanurzał zęby w delikatnym, soczystym miąższu...

Wspomnienie jak żywe stanęło mu przed oczami i nie-

mai poczuł, jak po policzkach spływa lepki, aromatyczny sok. Podniósł rękę, by otrzeć twarz i po chwili, zły na samego siebie, ruszył do przodu.

- Jesteś kompletnym idiotą, stary! - odezwał się cicho.  
- To kwestia dwóch, najwyżej trzech tygodni, a potem po ogrodzie pozostanie tylko wspomnienie. Taka jest kolej rzeczy.

Całkowicie zajęty swoimi myślami, ruszył dalej, w stronę drewnianych altanek stojących w głębi ogrodu. Kilka małych, burch kociaków rozpiezchło się na wszystkie strony. Ich matka, duża leniwa kocica, odprowadziła go nienawistnym spojrzeniem.

Nagle usłyszał świst. Odwrócił głowę, kiedy raptem coś dużego i intensywnie czerwonego przeleciało koło jego lewego ucha, z impetem trafiając w okno altanki. Szyba pękła z trzaskiem.

- A to co znowu? - syknął z wściekłością. Czy ten cholerny dzień naprawdę nigdy się nie skończy?!

Ostrożnie, uważając, by się nie pokaleczyć, wsadził głowę przez drewnianą framugę okna. Minęła chwila, zanim zrozumiał, co widzi. Wśród kawałków rozbitej szyby leżała sobie spokojnie duża, kolorowa piłka.

Schylił się, by po nią sięgnąć. Przez chwilę przyglądał się jej bezradnie, jakby ważąc w rękach ciężar i próbując jednocześnie znaleźć w myślach kilka dosadnych epitetów pod adresem jej właściciela. Gdyby tylko dorwał go teraz w swoje ręce!

- Mamo, Clover znowu przerzuciła piłkę przez ogrodzenie! - Do uszu Stacey dobiegło rozpaczliwe wołanie jej młodszej córki.

Przytrzymując jedną ręką klamkę świeżo pomalowanych drzwi, drugą zaś śrubokręt, westchnęła z rezygnacją.

- Powiedz jej, że musi chwilę poczekać! - odkrzyknęła.

Konieczność dokonania jakichkolwiek prac porządkowych lub remontowych zawsze doprowadzała ją do szewskiej pasji. Co innego wypielić wszystkie grządki w ogródku czy upiec pyszne kruche ciasto z konfiturą brzoskwiniową... O tak, w tym była naprawdę dobra. Ale ilekroć sięgała po młotek, śrubokręt czy inne, równie barbarzyńskie narzędzie, okazywało się, że ma co prawda dwie ręce, ale niestety, obie lewe. Zdaje się, że i tym razem więcej farby miała we włosach i na ubraniu, niż było na jej drzwiach.

- Mamusiu..!

- Co tym razem?! - Śrubokręt wyśliznął się z jej ręki i zatoczywszy szeroki łuk, z hukiem wylądował pod kre-densem z rodową porcelaną. Stacey zakłęta w duchu.

Sięgając do kieszeni po drugi, ostatni już śrubokręt, przypomniała sobie wołanie córki.

- O co chodzi, Rosie?

- Właściwie to już nic... -I za chwilę: - Clover mówi, że nie ma problemu i że sama wyciągnie piłkę.

- W porządku... - Odkrzyknęła, próbując równocześnie skupić się na przykręceniu jednej z wiecznie wypadają-

jących z zamka śrubek. Dopiero po chwili dotarł do niej sens usłyszanych słów. - Co takiego!?

Gwałtownie odwróciła się w stronę obu córek z wyrazem najwyższej dezaprobaty w oczach. Śrubokręt zazgrzytał nieprzyjemnie i na świeżo pomalowanej powierzchni pojawiła się długa rysa.

Przez moment stała, w osłupieniu przyglądając się drzwiom i nie mogąc wydusić z siebie ani słowa. Dopiero po chwili z jej ust posypała się cicha wiązanka dosadnych epitetów, których z pewnością jej córki nie powinny słuchać.

Poczuła, że chce jej się wyć. Ale na taki luksus nie mogła sobie przecież pozwolić.

Odłożyła śrubokręt na miejsce, zamknęła skrzynkę na narzędzia i wciągnąwszy głęboko powietrze, wyszła do ogrodu.

To jeszcze nie koniec świata, powtarzała sobie w duchu. Któregoś dnia uda jej się przecież skończyć ten cholerny remont! Na pewno uda jej się w końcu poprzykręcać wszystkie głupie śrubki, przykleić porządnie tapetę i dokończyć malowanie ścian. Uda się, bo przecież nie ma innego wyjścia.

Mikę... Och, ten Mikę... Dlaczego nigdy nie potrafił skończyć tego, co zaczął? Dlaczego zawsze wszystko musiało czekać do jutra?

- Mamusiu, Clover naprawdę tam idzie! - Wołanie młodszej z córek wyrwało ją z zamyślenia. Przyspieszyła kroku.

Clover, jej przemądrzała dziewięcioletnia córka, wisiała właśnie na jednej z gałęzi niedużej jabłonki, rosnącej na skraju sadu. Balansując niebezpiecznie nad ziemią, próbowała jednocześnie wspiąć się na dość wysoki, ceglany mur, który oddzielał ich posesję od ogrodu po drugiej stronie.

- Clover O'Neill, proszę w tej chwili zejść na dół!
- Stacey zawołała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Dziewczynka rzuciła nienawistne spojrzenie w kierunku swojej młodszej siostry i mamrocząc coś pod nosem, z ociąganiem zeszła z drzewa.

- Co ty wyprawiasz? - Stacey chwyciła córkę za rękę.
- Powiedziałaś, żeby ci nie przeszkadzać - roztropnie odpowiedziała Clover. Zdobyłaby prawdopodobnie złoty medal, gdyby przyznawano takowe ludziom obdarzonym wyjątkowym sprytem i refleksem.

- A pomyślałaś choć przez chwilę, ile przysporzyłaby mi kłopotu twoja złamana noga albo ręka, hm? I zapamiętaj sobie raz na zawsze: nigdy, przenigdy nie wolno ci wspiąć się na ten mur. Ani na żaden inny - dodała dla pewności, widząc, jak Clover ostentacyjnie przewraca oczyma.

- Więc jak odzyskamy teraz naszą piłkę? - odezwała się milcząca dotąd Rosie.

- Już byśmy ją miały, gdyby nie twój długi jęzor - syknęła Clover przez zaciśnięte zęby.

- Dosyć tego! - Stacey poczuła, że jeszcze chwila, a dziewczynki się pobiją. - Dostaniecie swoją piłkę. Je-

stem pewna, że ktoś ją zauważy i odrzuci z powrotem. Tak jak ostatnio.

Tak, z pewnością znów się uda, dodała w myślach. Będzie musiała wdrapać się na mur i sama odszukać tę cholerną piłkę. Gdy tylko dziewczynki zajmą się czymś innym...

- To znaczy, że nie odzyskamy jej nigdy! - W głosie Rosie słychać było prawdziwą rozpacz. - Przecież nikt nie odwiedza tego ogrodu od czasu, jak go zamknięto.

Niestety, była to prawda. Odkąd jego właściciel, stary Archie Baldwin, podupadł na zdrowiu, ogród z roku na rok popadał w coraz większą ruinę. Aż w końcu postanowiono go zamknąć.

A właśnie, powinna odwiedzić staruszka i przekazać mu najświeższe ploteczki z miasteczka. Przynajmniej tyle może dla niego zrobić po wszystkim, co mu zawdzięcza. A przy okazji spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej o dalszych losach ogrodu.

Oczami wyobraźni już widziała ogłoszenie, jakie pewnie pojawi się w miejscowej gazecie, gdy w końcu któregoś dnia postanowi się stąd wynieść:

*Przytulny jednorodzinny dom w stylu wiktoriańskim, otoczony zielenią, z możliwością zagospodarowania przyległych terenów. Jedyne w swoim rodzaju dziko rosnący park za oknami.*

Brzmi całkiem nieźle, uśmiechnęła się w duchu. I właściwie wszystko to byłoby nawet prawdą, gdyby nie jeden mały szkopał. Dom był kompletną ruiną. Wymagał remontu, i to natychmiast.

- Mamo...

- Zdaje się, że to twoja wina, Clover. - Stacey spojrziała na córkę z wyrzutem. - Gdybyś tak mocno nie kopnęła tej piłki...

- Trudno grać w piłkę, nie kopiąc jej - weszła jej w słowo dziewczynka. I znacząco dodała: - Chodź, Rosie, pójdziemy za dom i tam poczekamy na piłkę. Przecież nie wolno nam patrzeć, jak mama przeskakuje ten „strasznie stary i niebezpieczny mur”.

- Clover O'Neill, dość tego!

- Niestety, mamo, widziałam cię ostatnim razem.

- Tak? - Stacey usiłowała zachować resztki rodzicielskiej godności. - A nie powinnaś była już o tej porze leżeć w łóżku?

- Widziałam cię z okna sypialni - odrzekła Clover, z druzgocącą wręcz logiką, jak zwykle wykazując się szybkim refleksem.

Stacey opuściła ramiona. Samotne wychowywanie dwójki żywych i trochę pyskatek dziewczynek zaczynało powoli przerastać jej siły.

- W porządku - skwitowała beznamiętnym głosem. - Ale zapamiętajcie sobie: jeśli choć raz przyłapię was na robieniu tego, co właśnie za chwilę sama zrobię, to gorzko tego pożałujecie. Czy to jasne?

Obie dziewczynki energicznie pokiwały głowami.

- Lepiej, żebyście dotrzymały słowa... - Stacey odsunęła jedną z doniczek i wspierając się na obu łokciach, wdrapała się na mur.

Wydawało się, że ogród zdziczał jeszcze bardziej od czasu, kiedy była tu po raz ostatni. Bujna trawa, uginające się pod ciężarem owoców drzewka brzoskwińowe, potłuczone szyby w drewnianych altankach...

Przed oczami ponownie stanął jej stary Archie. Dobrze, że przynajmniej on nie musi tego oglądać.

Stacey odwróciła się do córek.

- Nie ruszajcie się stąd ani na krok, zrozumiano? - I nie czekając na odpowiedź, zeskoczyła na dół.

Piłka była duża i czerwona, zatem znalezienie jej nie powinno stanowić większego problemu.

Stacey rozejrzała się wkoło. Jej wzrok zatrzymał się na kilku grządkach dorodnych peonii. Zrobiło się jej ich żal. Delikatnie dotknęła ręką mięciutkich, różowych płatków.

Była podobna do tych kwiatów. W miejscach, w których czuła się dobrze, zapuszczała długie, mocne korzenie. Nie lubiła przesadzania. Ale, tak jak te peonie, nie miała wyboru.

Jakby przypominając sobie nagle, po co właściwie się tu znalazła, szybkim spojrzeniem omiotła okolicę. Nagle jej oczy zaślniły jakimś niecodziennym blaskiem.

Po jej lewej ręce, zaledwie jakieś kilkanaście metrów od miejsca, w którym stała, skapane w słońcu, dojrzewały duże, czerwone i z pewnością bardzo soczyste truskawki. Nie namyślając się wiele, Stacey ruszyła w ich kierunku.



Nash rozejrzył się wokół, bezradnie obrócił piłkę kilkakrotnie w dłoniach. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Postanowił sprawdzić, co się dzieje. Po południowej stronie ogrodu, na starym, ceglany murze, dostrzegł postać dziecka, kilkunastoletniej może dziewczynki. Zanim jednak zdążył zareagować, postać znikła. Ruszył w tym kierunku.

Nie uszedł nawet połowy drogi, gdy na murze pojawiła się druga postać. Obcisła bluzeczka, krótkie, dzinsowe spodniki, długie nogi... Zdaje się, że tym razem dziewczynka była nieco starsza i... olśniewająco piękna. Przykucnął, nie chcąc jej spłoszyć.

Prawdziwym grzechem byłoby je tak tutaj zostawić, przekonywała w myślach samą siebie Stacey. Kucnęła przy pierwszej z brzegu grządce, sięgając jednocześnie po największą z truskawek.

Wspaniałe! Smakowała słodki, soczysty miąższ, czując, jak po brodzie ścieka jej lepka strużka. Otarła twarz wierzchem dłoni.

A może by tak przenieść parę sadzonek, zanim pojawią się tu buldożery? W przyszłym roku miałybyśmy swoje własne truskawki, rozmarzyła się. Tępe ukłucie w okolicach serca przywołało ją do porządku.

W przyszłym roku? Nie będzie nas już tutaj, uświadomiła sobie, wyciągając rękę po kolejne owoce.

To samo, co prawda, powtarzała sobie niezmiennie od kilku ładnych lat, ale zdaje się, że tym razem rzeczywiście nie będzie miała wyboru.

A to co znowu? Jakiś nieoczekiwany szmer za plecami przykuł jej uwagę. Ręka zawisła w połowie drogi między grządką a ustami.

Stacey odwróciła głowę.

Jej wzrok natrafił na parę butów, z których wyrastały dwie, całkiem zgrabne, umięśnione męskie nogi w krótkich spodenkach. Spojrzała wyżej.

- W czym mogę pomóc? - Nieznajomy miał przyjemny, niski głos.

Stacey zamarła. Nie dość, że przyłapano ją właśnie w miejscu, w którym nie powinno jej być, to w dodatku przy grządce cudzych truskawek. Zdaje się, że trudno będzie wmówić komukolwiek, że właśnie zajęta była ich pieleniem. Jak pech, to pech...

- Mamooo..! - powietrze przeszył cienki głosik. - Masz ją?!

Zgodnie z obietnicą, Clover trzymała się z dala od muru. Dla odmiany zwisała teraz z gałęzi rosnącego przy domu drzewa.

- Złaż stamtąd natychmiast, słyszysz!?! - krzyknęła Stacey, zapominając przez chwilę o niezręcznej sytuacji, w której się znalazła.

Zrobiła kilka kroków, lecz po chwili ponownie odwróciła głowę w kierunku nieznanego.

Para zdziwionych, niebieskich oczu wpatrywała się w nią uważnie.

Dla takich właśnie oczu, kiedyś, dawno temu, zapomniała o bożym świecie i w wieku osiemnastu lat posta-

nowiła wyjść za męż. Rok później została matką i odtąd, zamiast zgłębiać tajniki ekonomii w dziedzinie uprawy roślin na zajęciach w szkole, zajęła się uprawą na swoje własne potrzeby.

- Czy może tego pani szuka? - zapytał mężczyzna, bawiąc się jakby od niechcienia piłką. - Byłem właśnie w altance, kiedy to wpadło do środka.

- Słucham? - Stacey cały wysiłek wkładała teraz w opanowanie nerwowego drżenia kolan. - A taak...

- Niezły rzut, jak na dziewczynkę - skwitował, mierząc wzrokiem odległość od muru do okien altanki, po czym, zmrużywszy oczy, zawołał w stronę Clover: - Twój tata jest pewnie zawodowym trenerem, mam rację?

- Tatuś jest już w niebie! - odkrzyknęła dziewczynka z typową dla dziecka bezpośredniością.

- Clover, jeśli natychmiast stamtąd nie zejdziesz - zaczęła Stacey, z najwyższym trudem starając się oderwać wzrok od potężnych, świetnie umięśnionych męskich ramion - to możesz się pożegnać z piłką!

Znowu przypomniał się jej Mike.

Głowa Clover zniknęła za ogrodzeniem.

- Czy szkody były duże? - Ponieważ udało się jej pozbyć kłopotliwego świadka krępującej rozmowy, Stacey nieco odzyskała wigor.

- Szkody?

- Mam na myśli altankę.

- Kilka rozbitych szyb więcej nie ma w tym wypadku żadnego znaczenia. - Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Niestety, chyba ma pan rację. - Nie potrafiła ode-  
rwać wzroku od jego ust. - Mam nadzieję, że panu nic się  
nie stało?

Nie musiał odpowiadać, widziała przecież sama. Zre-  
szta, jego ciało było właściwie wzorem doskonałości. No,  
może z jedną skazą w postaci niewielkiej blizny na szyi.

Ostre, niemal natrętne promienie słońca przedzierały  
się przez korony drzew, oblewając złotym blaskiem włosy  
mężczyzny.

Jakby sama nie zdając sobie sprawy z tego, co robi,  
podeszła i dotknęła dłonią jego twarzy.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Stacey poczuła, jak od czubka głowy aż po koniuszki palców oblewają zimny pot. Co to było? Nie mogła uwierzyć, że naprawdę zrobiła coś tak szalonego. A może po prostu śniła na jawie?

Nieznajomy zbliżył się do niej i delikatnym ruchem chwycił jej nadgarstek. Nie znalazła w sobie dość odwagi, by spojrzeć mężczyźnie w oczy.

- Dziękuję - powiedziała, mając na myśli piłkę. Jej głos drżał równie silnie, jak reszta ciała.

- To raczej ja powinienem podziękować - skwitował zagadkowo.

Na swoim nadgarstku nadal czuła dotyk jego smukłych, długich palców. Delikatnie ścisnął drobne kosteczki jej dłoni, jakby starając się zapamiętać ich kształt. Jego dotyk emanował ciepłem, siłą i jeszcze czymś, czego nie potrafiła nazwać.

Przez chwilę stali oboje w milczeniu, nie spoglądając na siebie, czując jakąś dziwną, słodką niemoc. Wreszcie mężczyzna wypuścił jej dłoń ze swojej ręki i, jakby speszony tym, co się wydarzyło, zanurzył palce w gęstwinie swych jasnych włosów.

- Mamusiu! - Powrót do rzeczywistości nastąpił szybciej, niż sobie tego życzyła.

Mężczyzna spojrział na nią z niemym pytaniem w oczach.

- To Rosie, moja młodsza córka. Ma dopiero siedem lat - wyjaśniła. - Szczerze mówiąc, nie jest zbyt dobrym bramkarzem. Więc, jeśli zdarzyłoby się jeszcze kiedyś, że piłka...

- Nie ma sprawy - wpadł jej w słowo, uśmiechając się szeroko. - Zamierzam pokręcić się tu jeszcze jakieś dwa, trzy dni. W razie czego, wystarczy zawołać.

- Jeszcze pan pożałuje, że to powiedział - zażartowała ze śmiechem.

Ale coś mówiło jej, że jeśli natychmiast stąd nie odejdzie, to właśnie ona będzie osobą, która w przyszłości gorzko pożałuje swego dzisiejszego zachowania. Kątem oka dostrzegła, jak nieznajomy podąża za nią.

- Co stanie się z ogrodem? - Spojrzała w jego kierunku, udając, że jest to jedyne pytanie, które zaprzęta jej teraz głowę. - Podobno ma zostać sprzedany jakiemuś krwio pijcy? Słyszał pan coś o tym?

Nie odpowiedział.

- O nie, czyżby to był pan?! - wykrzyknęła w nagłym przypływie olśnienia.

- A co, jeśli tak? - Kąciki jego ust uniosły się lekko, odsłaniając biel zębów.

Stacey poczuła nieprzepartą ochotę, by natychmiast zapasać się pod ziemię.

Dlaczego, do diabła, wszystko sprzysięgło się przeciwko niej? Na domiar złego była rozczochrana, bez makijażu, ze śladami farby na wszystkich odsłoniętych częściach ciała. Farba miała co prawda ładny, jasnoniebieski odcień, ale było to raczej wątpliwe pocieszenie.

- Nic. Szkoda by mi było tylko widoku z okna - odpowiedziała szybko, próbując pokryć zmieszanie. - Ale może nie jest aż tak źle, może kwiaty i drzewa przetrwają?

- Obawiam się, że nie.

- Ach tak. - Mimo że spodziewała się takiej odpowiedzi, poczuła żal. - Domy mieszkalne?

- Biurowce.

- Ach tak... - powtórzyła bezwiednie. - Pracuje pan dla nowego inwestora?

- Nie, raczej dla samego siebie. - Pokręcił przecząco głową. - Nazywam się Nash Gallagher.

Podawała mu rękę i, zanim udało jej się wykrztusić nazwisko, przez krótką chwilę ponownie rozkoszowała się bezkarnie ciepłem męskiej dłoni.

- Stacey O'Neill. Clover i Rosie, czyli moje córki, już pan zdążył poznać.

- Bardzo mi miło - powiedział, nie wiadomo czemu nie wypuszczając jej dłoni z uścisku. - Jak już mówiłem, zamierzam zatrzymać się tutaj na kilka dni, więc jeśli zobaczyłaby pani światło w którejś z altanek, proszę nie wzywać policji. Przynajmniej nie od razu.

- Zatrzymać się? Tutaj?! - Rozejrzała się wkoło. Dopiero teraz zauważyła, że pod jednym z drzew rozbity jest

mały, jednoosobowy namiot. - Cóż, ma pan szczęście. Jeśli wierzyć ostatnim prognozom, to najbliższe dni powinny być raczej ciepłe i pogodne.

- Taką mam nadzieję.

Nad ich głowami roztaczało się piękne, bezchmurne niebo. Zbliżali się właśnie do końca ogrodu.

- Maaamooo!

- Dziewczynki zaczynają się niecierpliwić. - Stacey przrzuciła piłkę przez ogrodzenie i westchnąwszy, dodała: - Dopilnuję, by piłka nie poszybowała znów poza nasze ogrodzenie.

- Ale jeśli się nie uda, to proszę pamiętać, że dla mnie to żaden problem - zapewnił z uśmiechem.

Stacey spróbowała wspiąć się na ogrodzenie. W jej głowie panował nieopisany chaos, jedna myśl goniła drugą, a nie wszystkie były sensowne. Jak na przykład ta, że ma kompletnie nieopalone, trupioblade nogi. W dodatku ze śladami świeżej ziemi na kolanach, pamiętką po mało chwalebny wydarzeniu sprzed kilkunastu minut.

Te cholerne truskawki! Trzymała właśnie w ręku kilka dorodnych sztuk, które zdążyła zerwać dla dziewczynek, zanim zorientowała się, że nie jest sama w ogrodzie.

- Czy mogę jakoś pomóc? - zaproponował, widząc, jak niezgrabnie usiłuje podźwignąć się na jednej ręce.

Stacey poczuła gwałtowne kołatanie po lewej stronie klatki piersiowej, gdzieś na wysokości serca. Wizja tego, jak Nash Gallagher ponownie obejmuje swymi silnymi,



męskimi rękoma jej dłonie, była na tyle piorunująca, że Stacey nieomal zemdlała.

- Może przytrzyma pan truskawki? - poprosiła nieśmiało.

W odpowiedzi mężczyzna złączył obie dłonie i przysunął się do Stacey.

- Dzięki - rzuciła, opierając stopę na jego dłoniach i dźwigając się na wolnym przedramieniu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł. - Zawsze do usług.

Miękko zeskoczyła na trawę w swojej części ogrodu, udając, że nie słyszy ostatnich słów Nasha, i czym prędzej pognała w stronę domu. Koniecznie, ale to koniecznie musiała ochłonać.

Nash Gallagher odprowadził Stacey przeciągłym spojrzeniem. Jeszcze przez chwilę miał pod powiekami widok jej długich, smukłych nóg, kiedy zwinnie przeskakiwała przez ogrodzenie. Urody nie odbierała im nawet spora ilość jasnoniebieskich plam po farbie olejnej.

Musiała być w trakcie remontu, to pewne. Pytanie tylko, czy chciała, czy też musiała przeprowadzać go sama. Wziąwszy pod uwagę, że jej mąż nie żył, mogła nie mieć innego wyboru.

Stacey siedziała właśnie wraz z dziewczynkami przy stole w kuchni, kiedy jakiś głuchy łoskot poderwał wszystkie trzy na równe nogi. To ta upiorna, wciąż nie przykre-

eona klamka, zgodnie zresztą z prawami ciężenia, spadła na podłogę.

- To, czego ten dom potrzebuje w pierwszym rzędzie, to jakiś zamożny mężczyzna - skwitowała wydarzenie starsza z córek ponurym tonem.

- Clover! - upomniała ją Stacey.

- Ale to prawda. - Rosie poparła siostrę. - Ciocia Dee też tak uważa.

Oczywiście! Wszyscy przysięgli się chyba przeciwko niej. Najgorsze, że niestety, mieli rację.

Po śmierci Mike'a jej starsza siostra, Dee, postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Uważała, że Stacey jest jeszcze zbyt młoda na to, by w nieskończoność opłakiwać nieżyjącego męża. Nie mówiąc już o tym, że Clover i Rosie bezsprzecznie potrzebowały ojca.

Zdaniem Dee powinien być to mężczyzna w średnim wieku, doświadczony, niezłe sytuowany, najlepiej zupełnie pozbawiony temperamentu i poczucia humoru. A już z całą pewnością mający wstręt do motocykli i szybkiej jazdy. Może księgowy, jak jej własny mąż? No, w najgorszym razie jakiś agent ubezpieczeniowy.

Stacey podniosła klamkę z ziemi. Koniecznie musi naprawić drzwi jeszcze przed sobotą, kiedy Dee pojawi się u niej na obiedzie.

Przed oczami ponownie stanęła jej wysoka, szczupła sylwetka nowego znajomego z ogrodu. Mimowolnie uśmiechnęła się.

Miłość z tym mężczyzną w samym sercu wielkiego,

dzikiego ogrodu, to było dokładnie to, co dobrze by jej teraz zrobiło.

Ale ona przecież jest matką. A matki powinny być odpowiedzialne.

A może by tak wynająć poddasze jakimś dwóm czy trzem studentkom? Albo jeszcze lepiej, studentom? Może chociaż jeden z nich potrafiłby posługiwać się młotkiem i obcęgami? Nie mówiąc już o tym, że comiesięczny zastrzyk gotówki również bardzo by się przydał.

Nash zajęty był właśnie sprząaniem szkła z rozbitego okna altanki, kiedy uświadomił sobie, że uśmiecha się sam do siebie. Na jego twarzy pojawił się uśmiech jeszcze szerszy, kiedy dotarło do niego, dlaczego był w takim świetnym humorze.

To zupełnie niespotykane w dzisiejszych czasach, żeby kobiety potrafiły rumienić się tak uroczo, jak ta piękna, młoda wdowa, gdy przyłapał ją buszującą pośród grządek dojrzałych truskawek. Jego truskawek.

Czuł się trochę winny, że to właśnie on był powodem jej zmieszania, ale cóż, przynajmniej poznał piękną panią Stacey.

Rozpostarł przed sobą plany terenu z naniesionym projektem biurowca. Na papierze całość wyglądała naprawdę dobrze. Ale stojąc tak pośrodku ogrodu, na miękkiej, zielonej trawie, z rzędem drzewek brzoskwiniowych za plecami i ze stuletnim niemal murem na horyzoncie, poczuł się trochę mniej pewnie.

Na papierze zawsze wszystko wyglądało o wiele prościej niż w rzeczywistości.

Mimo że nie był sentymentalny i mimo że nie idealizował swego dzieciństwa, nie potrafił tak po prostu przekreślić kawałka swojego życia związanego z tym miejscem. Taka była prawda.

- Zrozum, starzejesz się. W dodatku dzieci są kosztownym luksusem. - Dee starała się włożyć w swą przemowę całe serce. - Potrzebujesz męża, a dziewczynki ojca.

- Nie potrzebuję męża. Raczej godnego zaufania fachowca, który wyremontowałby dom. - Stacey postawiła na stole miseczkę z truskawkami. - A Clover i Rosie mają ojca. Nikt i tak nie zastąpi im Mike'a.

- Oczywiście, masz rację - potwierdziła szybko Dee. - Ale Micke'a już nie ma z wami. - Jej głos brzmiał miękko i łagodnie. Zbyt miękko i zbyt łagodnie, co natychmiast obudziło czujność Stacey. - Powinnaś znaleźć kogoś, kto pomógłby dziewczynkom przejść przez trudny wiek dojrzewania, w który właśnie wchodzi. Jesteś im to winna. - Dee zawiesiła na chwilę głos. - Kogoś takiego, jak na przykład Lawrence Fordham.

- Lawrence Fordham?! - Stacey nie wierzyła własnym uszom. - Chcesz wydać mnie za własnego szefa?!

- I co cię tak dziwi? To miły człowiek. Odpowiedzialny, rozsądny, dojrzały - wymieniała Dee jednym tchem.

- Jest tylko może odrobinę zbyt nieśmiały, to wszystko.

- Rzeczywiście, odrobinę - skwitowała ironicznie Sta-

cey. - Przypomnij sobie tylko, jak usiłowałam nawiązać z nim jakikolwiek kontakt na przyjęciu u ciebie w domu. Zdaje się, że jedyną jego pasją jest produkcja serów i rozwój kultur bakteryjnych w jogurtach owocowych.

- Nie przeczę, praca bez reszty go pochłania. Ale jestem pewna, że kiedy poznasz go bliżej...

- Dee, skończmy z tym - westchnęła ciężko Stacey.

- Masz rację, to miły człowiek. O ile, oczywiście, ktoś gustuje w tego typu ludziach.

- Stacey, spójrz prawdzie w oczy. Dobiegasz trzydziestki, samotnie wychowujesz dwie dorastające córki. Nie wielu już pozostało mężczyzn, którzy byliby zainteresowani związkiem z taką kobietą.

- Proszę cię, Dee...

- Lawrence jest solidny. Odpowiedzialny. Jestem pewna, że byłby dla ciebie prawdziwą podporą. - Dee zamilkła na chwilę, po czym jednym tchem dodała: - Umówiłam cię z nim na sobotę.

- Co takiego?! - Stacey nie posiadała się z oburzenia.

- Ty chyba żartujesz?!

- Nie rozumiem, kochanie, dlaczego tak się wściekasz. Jestem pewna, że Lawrence byłby doskonałym mężem. Potrafiłby cię uszczęśliwić. Czy nie tego właśnie potrzebujesz? Odrobiny szczęścia?

- Małżeństwo? Myślałam, że rozmawiamy o randce?

- Owszem, od tego powinniście zacząć. Jednak oboje jesteście przecież dojrzałymi ludźmi. No i, jakby to powiedzieć, już nie pierwszej młodości. - Dee utkwiała

w siostrze błagalne spojrzenie. - Obiecuj mi, że pójdziesz, proszę...

Proszę? Dee musiała być rzeczywiście zdesperowana.

- Ja zupełnie nie mam co na siebie włożyć. - Stacey chwyciła się ostatniej deski ratunku.

- Mogę ci pożyczyć moją czarną wizytową sukienkę.

- Powiedz mi, Dee, czy Lawrence nie obiecał ci przypadkiem jakiejś premii za to, że znajdziesz mu towarzystwo na sobotni wieczór? Zresztą, lepiej nic nie mów. Boję się usłyszeć odpowiedź.

- Stacey, daj spokój. Uroczy wieczór przy świecach w wytwornej restauracji. To wszystko. Czy ostatnio dostałaś wiele tego rodzaju propozycji?

Nie, nie aż tak wiele. Prawdę mówiąc, żadnej, stwierdziła w duchu Stacey.

- No, to jak? - Dee jakby nabierała pewności siebie.

- A jeśli się czegoś obawiasz, wiedz, że Lawrence to mężczyzna na poziomie. Zresztą my również tam będziemy.

„Mężczyzna na poziomie”, jej słodka siostra i uroczy szwagier... Wieczór rzeczywiście zapowiada się interesująco. Ale zaraz, zaraz...

- Jeśli ty i Archie również się tam wybieracie, to nie będę miała z kim zostawić dziewczynek. - W głosie Stacey zabrzmiała triumfalna nutka.

- Clover i Rosie mogą zostać u nas. Ingrid zajmie się nimi. - I o ile w głosie Stacey była to zaledwie nutka, to w głosie Dee słychać było prawdziwą symfonię triumfu.

- Ale to nie wszystko. Zamierzam zaprowadzić cię do fryzjera i manikiurzystki.

- No, teraz twoja propozycja zaczyna być naprawdę kusząca. - Stacey spojrzała ze smutkiem na swe dłonie. Właściwie to przed czym ona tak się broni? Kolacja, trochę muzyki, gratisowa wizyta w salonie piękności...

- Czy jesteś pewna, że będę mogła pożyczyć twoją czarną sukienkę?

- Jutro rano osobiście ci ją przyniosę.

- Jak to? Wydawało mi się, że mówimy o przyszłym tygodniu.

- Owszem, ale wolę mieć pewność, że nie wymyślisz do tej pory jakiejś wymówki. - Dee, świętująca już niemal swe zwycięstwo, sięgnęła po truskawkę. - Hmm... pyszne! Najlepsze, jakie jadłam tego roku. Skąd je masz?

- Od sąsiada - odparła lakonicznie Stacey.

Nie widziała Nasha od czasu, kiedy przyłapał ją na buszowaniu wśród grządek jego własnych truskawek. I mimo że bardzo na to liczyła, dziewczynkom nie zdarzyło się ponownie przerzucić piłki za ogrodzenie.

Aż do wczorajszego wieczoru.

I być może siostra nie musiałaby jej teraz umawiać na randkę ze swoim szefem, gdyby nie fakt, że dzisiaj, z samego rana, piłka leżała sobie grzecznie na murze. Tuż obok stała sporych rozmiarów miseczka ze świeżo zerwanymi truskawkami.

- Sąsiada? Jakiego sąsiada? - Zdaje się, że Dee potrafiła szybko kojarzyć fakty. - A to co, masz gorączkę?

- Nie, skąd. - Stacey zasłoniła dłońmi rozpalone policzki. - To te upały. Myślałam sobie właśnie...

- Tak?

- Co powiedziałaabyś, gdybym postanowiła wynająć kilka pokoi jakimś studentom? - Stacey wiedziała doskonale, co powie na to jej starsza siostra, ale musiała natychmiast skierować rozmowę na inne tory.

- Uważam, że jedyna rozsądna rzecz, jaką można zrobić, to sprzedać ten cholerny dom. Przy odrobinie szczęścia znajdzie się ktoś, kogo tak zachwyci widok starych, zdziczałych róz przed oknami, że jakimś cudem nie zwróci uwagi na przeciekający dach i skrzypiące okiennice. - Dee przerwała na chwilę. - Skoszenie trawy powinno w tym pomóc.

- Część pieniędzy za wynajem... - Stacey udawała, że nie słyszy sarkazmu w głosie siostry - ...mogłabym przeznaczyć na remont domu. A wtedy, jeśli rzeczywiście postanowiłabym go sprzedać, z pewnością uzyskałabym lepszą cenę. Co ty na to?

W odpowiedzi Dee machnęła tylko ręką i zniknęła na chwilę za drzwiami łazienki.

Stacey wyrzała przez okno.

Clover i Rosie siedziały na trawie przed domem, bez reszty pochłonięte zabawianiem młodszego kuzyna.

Po drugiej stronie ogrodzenia, oświetlony miękko promieniami słońca, stał nie kto inny, tylko Nash Gallagher. Odwrócił głowę w jej kierunku.

Stacey mogłaby przysiąc, że na jeden krótki, króciutki ułamek sekundy ich spojrzenia spotkały się.



- Zrobiłabyś coś dla mnie? - zwróciła się do Dee, kiedy ta ponownie pojawiła się w pokoju. - Czy po drodze do domu nie rozwiesiłabyś na uniwersytecie kilku ogłoszeń o pokojach do wynajęcia?

- Jeśli naprawdę tego chcesz... Ale pamiętaj, jest też inne wyjście. - Spojrzała na siostrę znacząco.

- Wyjść za Lawrence'a i nigdy już nie musieć martwić się o pieniądze? - Na twarzy Stacey pojawił się grymas niesmaku. - Dziękuję bardzo. A swoją drogą, dlaczego takiemu mężczyźnie jak on, zależy na umówieniu się właśnie ze mną? Przecież to chyba jasne, że gdybym zechciała go poślubić, to tylko dla pieniędzy.

Obie siostry roześmiały się.

Stacey ponownie wyrzała przez okno, ale po Nashu Gallagherze nie było już, niestety, ani śladu. Tak samo zresztą, jak po kawałku kruchego ciasta, które Clover zostawiła na murze wraz z miseczką po truskawkach, a które Stacey upiekła dzisiaj rano z okazji zapowiedzianej wizyty Dee.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Słyszałaś może, co zamierzają zrobić z tym starym ogrodem? - zainteresowała się Dee, kiedy obie zmierzały już w stronę samochodu.

- Ktoś się tam właśnie pojawił - odrzekła Stacey. Wzmianka o biurowcach jakoś nie chciała przejść jej przez gardło. - Podobno pilnuje terenu.

- Mówię ci, sprzedaj ten dom jak najszybciej. Później może już tylko stracić na wartości, o ile to jeszcze w ogóle możliwe - Dee najwyraźniej nie potrafiła odmówić sobie tej drobnej złośliwości.

Stacey postawiła dwuletniego siostrzeńca, Harry'ego, na ziemi.

- Do zobaczenia, maleńki - wyszeptła mu pieścotliwie do uszka, próbując jednocześnie ulokować go w foteliku samochodowym. - Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo chciałabym mieć takiego słodkiego chłopczyka jak ty.

- Taak? - spytała Dee z nadmiernym ożywieniem, jakby nagle znalazła niespodziewanego sojusznika. - To by się nawet dało zorganizować...

Stacey postukała się znacząco palcem w głowę.

- Odezwę się w sprawie sukienki. - Nie dała się zbić z tropu Dee.

- W porządku. I nie zapomnij, proszę, o rozklejeniu ogłoszeń.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? Nigdy przecież nie wiadomo, na kogo się trafi...

- Tak długo, jak będą płacić, nie będzie mnie obchodziło, kim są i skąd pochodzą.

Stacey przez chwilę jeszcze odprowadzała wzrokiem odjeżdżający samochód. Nie była pewna, czy Dee rzeczywiście dotrzyma słowa w sprawie ogłoszeń. Zdaje się bowiem, że siostra postanowiła za wszelką cenę zrealizować swoją wizję przyszłości Stacey i dziewczynek.

Na tę myśl uśmiechnęła się do siebie. Kochała ten dom, zbyt wiele wspomnień łączyło ją z tym miejscem.

- O czym myślisz, mamusiu? - Usłyszała za plecami głos Rosie.

- Jaskółki zagnieździły się tam, pod dachem, widziałas? - Stacey kucnęła, by pokazać dziewczynce świeżo zbudowane gniazdko. - Jeśli się zadomowią, to będziemy miały tu co roku jaskółczą rodzinę.

- Ale super!

*Nash!*

*Mamusia kazała mi czekać, aż ty odrzucisz mi piłkę z powrotem, ale boją się, że to nie nastąpi nigdy, jeśli nie dowiesz się, że znowu ją zgubiłam.*

*Bardzo przepraszam.*

*Pozdrawiam, Clover.*

*P.S. Nie mów nic mamie o tym liście. Byłaby zła.*

Nash ściągnął kartkę z muru. Zdaje się, że to całkiem niezła sposobność, żeby przejść się do pani O'Neill i osobście odnieść piłkę. A przy okazji podziękować również za ten kawałek przepysznego ciasta, który pojawił się na murze wraz z miseczką po truskawkach.

Stacey stała pochylona nad kosiarką do trawy, która, nie wiedząc czemu, odmówiła nagle posłuszeństwa. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Odwróciła głowę, by sprawdzić, co to takiego.

- Mogę jakoś pomóc? - Nash Gallagher przekładał właśnie drugą nogę przez ogrodzenie, uśmiechając się przy tym promiennie.

- Jedyne, co by tu mogło pomóc, to kupno nowej kosiarki! - odrzyknęła, starając się skupić całą uwagę na maszynie. - A tej bujnej, długiej na pół metra długości trawy również nie można zapisać po stronie zysków.

Nash, nie czekając na zaproszenie, pojawił się nagle tuż obok.

- Proszę mi to pokazać. Zobaczę, co się da zrobić.

Stacey zerknęła na niego niepewnie. Dobrze знаła te męskie sztuczki. Zakochała się kiedyś w mężczyźnie o równie promiennych oczach i... zdaje się, nie wyszło jej to na dobre.

- Nie, dziękuję, dam sobie radę.

- Z pewnością. - Kąciki jego ust uniosły się delikatnie ku górze. - Ale proszę nie mieć wyrzutów sumienia. Za-

wsze może mnie pani poczęstować dodatkową porcją kru-  
chego ciasta.

- Ach, tamto... To zasługa Clover. Chciała podzięko-  
wać panu za odnalezienie piłki. Ponowne.

- Tak? - Nash nie wydawał się przekonany co do takiej  
wersji wydarzeń. - Dzięki, Clover, zdolna z siebie dziew-  
czynka. A czy potrafisz również parzyć herbatę?

Clover zachichotała.

- To mamusia upiekła ciasto - powiedziała. - Ale za-  
parzenie herbaty to kaszka z mlekiem, wiele razy to robi-  
łam. - Clover odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę  
domu.

- Jeśli o mnie chodzi, to lubię z dwiema łyżeczkami  
cukru! - zawołał za nią Nash.

Dziewczynka pokiwała głową.

- W takim razie, oto skrzynka z narzędziami - ode-  
zwała się Stacey, bardzo zadowolona z takiego obrotu  
sprawy. - Coś z tego na pewno się przyda.

Zdaje się, że Clover poruszała się z prędkością  
ponaddźwiękową, bo już po chwili wróciła z filiżanką  
świeżo zaparzonej herbaty w ręku. Podała ją Nashowi i,  
nie proszona, kucnęła obok niego.

- Clover, nie przeszkadzaj - upomniała ją Stacey.

- W porządku - odezwał się Nash. - O, a ty musisz  
być Rosie, czy tak? Ty też chcesz popatrzeć?

- Naprawdę ma na imię Primrose, ale nikt tak do niej  
nie mówi - wtrąciła jej siostra.

- Dlaczego, mnie się podoba. Siadaj tu, Primrose - za-

chęcił, wskazując dziewczynce miejsce obok siebie. - Wiedzicie tę skrzynkę? To silnik kosiarki.

Mikę nigdy nie miał do córek tyle cierpliwości, pomyślała Stacey z żalem. Dziewczynki, głęboko zasłuchane, nie spuszczały wzroku z Nasha.

- Masz własne dzieci? - Słowa wypłynęły z jej ust, zanim zdążyła pomyśleć.

- Nie. Żadnych dzieci. Ani żony - odparł krótko. - Nie przy moim trybie życia.

Musiał zobaczyć w jej oczach nieme pytanie, bo szybko dodał:

- Pracuję to tu, to tam. Ostatnio nawet w Ameryce Południowej.

Ameryka! Zawsze marzyła o podróżach. Ale to było, zanim poznała Mikę'a.

- I w końcu postanowiłeś wrócić do domu?

Zawahał się chwilę.

- Tak, chyba tak - odpowiedział, jakby sam jeszcze nie do końca w to wierząc. - W porządku, dziewczynki. Zdaje się, że już gotowe. Sprawdzimy?

Włączył maszynę. Rozległ się równomierny, niski dźwięk, zupełnie różny od tego, do jakiego przyzwyczajona była Stacey.

- Co zrobiłeś? Brzmi zupełnie jak nowa.

- Nic takiego. Trochę ją tylko oczyściłem - odparł, patrząc na nią ciepło. - Jeśli nie miałabyś nic przeciwko, mógłbym również spróbować naostrzyć nożyce. Mam tam ostrzałkę.

Gdy wskazywał głową altanki po drugiej stronie muru, grzywka opadła mu niesfornie na czoło. Poprawił ją ręką, zostawiając przy tym na twarzy ciemną smugę oleju.

Stacey siłą powstrzymała się, by nie podejść do niego, delikatnie nie dotknąć jego twarzy i opuszkami palców nie zetrzeć z niej ciemnych śladów.

- Więc jak? - ponownie zapytał Nash, przerywając brutalnie jej słodkie rozmyślenia.

Więc jak? To pytanie mogło oznaczać wiele. Ale niestety, w tym przypadku chodziło tylko i wyłącznie o naostrzenie nożyc jakiejś głupiej kosiarki.

- Nie chciałabym sprawiać ci kłopotu - odpowiedziała ostrożnie. W końcu nie codziennie bosko przystojni mężczyźni ofiarowywali jej pomoc. Nawet w tak drobnych kwestiach, jak naprawa kosiarki.

- Żaden problem - odrzekł szybko z uśmiechem. - To zajmie tylko chwilę. Dzięki za herbatę, Clover.

I, dając długiego susa, zniknął za ogrodzeniem.

W ogrodzie zrobiło się jakoś dziwnie pusto.

Tak, Dee chyba jednak rzeczywiście miała rację. W domu przydałby się mężczyzna.

- Mamo, zaprosimy Nasha na kolację! - dobiegł ją zza pleców proszący głosik Rosie.

- Przypuszczam, że jest na to zbyt zajęty - ostrożnie odparła Stacey.

Zbyt zajęty, by zadawać się z tonącą w długach i osaczoną problemami wdową z dwójką dzieci, dodała w myślach i uśmiechnęła się smutno.

- Ale zapytasz go chociaż? - Tym razem odezwała się Clover.

Cóż, prawdę mówiąc, miała na to wielką ochotę. Ale zbyt wiele ciężkich chwil przeżyła w ciągu ostatnich lat, by teraz tak po prostu dać ponieść się emocjom.

- Zobaczymy - krótko ucięła dyskusję, ruszając w stronę domu.

Zapalała właśnie światła na zewnątrz, kiedy Nash pojawił się z powrotem. W rękę trzymał błyszczące, świeżo naostrzone nożyce.

- Mama powiedziała, że możesz zostać u nas na kolacji, jeżeli chcesz - Clover odezwała się zbyt szybko, by Stacey zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować.

- Proszę, zgódź się - zawołała Rosie.

- Naprawdę? - Nash utkwiał w Stacey pytające spojrzenie, ale widząc, jak się rumieni, spuścił wzrok. Nie miał zamiaru wprawiać ją w zakłopotanie.

- Nie planuję na dziś nic szczególnego. Będzie po prostu spaghetti bolognese. - Obawiając się, by jej słowa nie zabrzmiały zbyt oschle, dodała: - To ulubione danie dziewczynynek.

- Moje również. - Błąd. Teraz może poczuć się zobowiązana. - Ale oczywiście mną się nie przejmuj.

- Jestem ci naprawdę wdzięczna za kosiarkę...

- Drobiazg.

- Byłoby nam naprawdę miło, gdybyś został na kolacji. Oczywiście, jeśli masz czas i ochotę.

Uff... Stało się, powiedziała to wreszcie.



- Szczerze? Z największą przyjemnością. - Stacey zamarała na chwilę. - Nie miałem w ustach domowego jedzenia od miesiący.

Ach tak? Stacey O'Neill, jesteś głupią gęsią, jeśli myślałaś choć przez chwilę, że...

- W takim razie zapraszam na szóstą - odezwała się nieco chłodniej.

- Będę na pewno. - Pogłaskał obie dziewczynki po włosach i odszedł.

Stacey zamknęła za sobą drzwi łazienki. Niepewnie zerknęła w lustro.

Dlaczego, do diabła, właśnie dzisiaj związała włosy tak niestarannie?

I gdzie jest ten cholerny lakier do paznokci?! Powinien przecież gdzieś tu być.

Poza tym koniecznie, ale to koniecznie musi zacząć używać rękawiczek do wszelkiego rodzaju prac ogrodniczych i domowych.

Stacey rzadko myślała o sobie jako o kobiecie. Zbyt rzadko. Przede wszystkim była przecież matką. Cóż, ale nawet jako matka mogłaby wyglądać chociaż odrobinę lepiej.

Spojrzała z niesmakiem na swój stary, rozciągnięty i niemiłosiernie poplamiony trawą podkoszulek.

Nie, w tym z pewnością nie może wystąpić. W takim razie, w czym?

- Stacey O'Neill, kogo ty, do diabła, chcesz oszukać?

- mruknęła pod nosem. - Nie rozumiesz? Przecież to najzupełniej obojętne, jak będziesz uczesana i co na siebie włożysz. Nash Gallagher i tak tego nie zauważy.

W takim razie nie będzie robić z siebie idiotki i szykować się jak na eleganckie przyjęcie.

Dżinsy i jakiś zwykły, biały podkoszulek powinny wystarczyć.

No, dżinsy to może przesada. W takim razie włoży tę swoją starą beżową spódnicę. A zamiast podkoszulka tę ciemnoczerwoną, obcisłą bluzeczkę, którą ostatnio dostała od Dee. I to wszystko, żadnych więcej przygotowań.

Jeszcze tylko jedno pociągnięcie rzęs czarnym tuszem. Ale żadnych szminek. Absolutnie żadnych.

Ostatnią rzeczą, na której jej zależało, to danie temu przystojniakowi do zrozumienia, że wpadł jej w oko.

W nieco lepszym już humorze, Stacey zbiegła na dół.

- Clover, Rosie, nakryjcie do stołu!

- Już to zrobiliśmy! - odkrzyknęły dziewczynki.

Na stole, przykrytym wyjętym z szafy obrusem, stał porcelanowy serwis. Stacey używała go wyłącznie na specjalne okazje.

Mruknęła coś pod nosem, ale prawdę mówiąc, nie miała nawet sił, by się o to na nie gniewać.

- Mamusiu, możemy zerwać świeże kwiaty i postawić w wazonie na stole? - dobiegło ją pytanie Clover.

- Możemy, mamusiu? - zawtórowała jej z zapalem młodsza siostra.

I nie czekając na odpowiedź, pobiegły do ogrodu.

Stacey, zajęta przygotowywaniem kolacji, zerknęła na zegarek. Zbliżała się szósta. Poczowała, jak powoli całe jej ciało ogarnia nerwowe drżenie. Wyrzała przez okno.

Od strony ogrodu, spokojnym krokiem, ubrany w jasne dżinsy i ciemnoniebieską, bawełnianą koszulkę, siedł Nash Gallagher. Jego jasna czupryna pięknie połyskiwała w słońcu.

Nieoczekiwanie przed oczami stanął jej Mikę.

Oboje mieli znów osiemnaście lat i całe życie przed sobą...

Całe życie, aż do czasu, kiedy widziała go po raz ostatni, gdy wsiadał na ten przekłety motor...

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Przyszedłem za wcześnie? - Nash stanął niepewnie w drzwiach.

Na środku pokoju, w kałuży wody i cała tonąc we łzach, stała Rosie. Stacey nerwowo zbierała porzrzucone wokół skorupy wazonu.

- Mogę pokrzyżać trochę wokół domu i wrócić za pięć minut, udając, że nic nie widziałem. Co ty na to?

Stacey wyjęła mokrą szmatę. Tak to jest, kiedy chcesz choć na chwilę zapomnieć o szarej codzienności. Dzieci zawsze sprowadzą cię na ziemię.

- Nie, wejdź, proszę. Właśnie kończę.

- W takim razie, czy mogę jakoś pomóc? - Widząc zdumienie na jej twarzy, dodał: - Mógłbym, na przykład, zamieść podłogę.

Mężczyzna o wyglądzie młodego boga, umiejący posługiwać się szczotką i zmiotką? To nie może być prawda.

- Nie, dziękuję. Właściwie już skończyłam. - Stacey zebrała ostatnie kawałeczki wazonu i wyrzuciła je do kosza. - Coś do picia? Może sok porzeczkowy?

W jej głosie słychać było zdenerwowanie. Na szczęście mogła je zrzucić na karb zdarzenia z wazonem.

- Chętnie. Chociaż ja też coś przyniosłem. - Wyciąg-

nał rękę z butelką wina. - W piwnicy uchowało sięjeszcze kilka butelek.

Wino, no tak, oczywiście. Powinna była to przewidzieć. Tylko gdzie, do diabła, mógł się podziać ten cholerny korkociąg?

- To twój namiot jest podpiwniczony? - zapytała, zyskując minutkę, może dwie.

Nash roześmiał się. Po chwili, trafnie odczytując minę Stacey, wyciągnął z kieszeni scyzoryk.

- Pozwól, ja to zrobię. - Wyjął butelkę z jej ręki i wyciągnął korek.

- Pod naszym domem też jest piwnica. - Rosie ocierała rękawem ostatnie łzy z policzków. - Ale tam są tylko pająki.

- Rosie nie przepada za tymi stworzonkami. To właśnie jednemu z nich zawdzięczamy rozbity wazon. - Mówiąc to, Stacey ucałowała córeczkę w czoło.

Nash chwycił dziewczynkę pod pachy i posadził ją sobie na kolanach.

- Dlaczego, Rosie? Pająki są przecież bardzo pożyteczne. Kiedy byłem w dżungli... - przerwał i spojrzał z niepokojem na Stacey. - Mogę opowiedzieć jej parę historyjek?

Czy ten mężczyzna naprawdę był ideałem? Nie dość, że przystojny, inteligentny, to jeszcze tak wzruszająco taktowny i delikatny. Stacey skinęła głową.

- Więc, jak już mówiłem, kiedy byłem w dżungli, pewien pająk uratował mi życie.

- Jak? - Drżenie głosu Rosie wskazywało, że ciekawość toczy ciężki bój ze strachem.

- Jesteś pewna, że chcesz posłuchać dalszego ciągu? To był naprawdę duży pajak...

- Jak duży? - Zdaje się, że chwilowo zwyciężyła ciekawość.

- Duży jak, jak... jak ten talerz. - Nash wskazał ręką na talerz ze spaghetti, stojący na stole. Widząc jednak nieco krytyczne spojrzenie Clover, szybko dodał: - No, może raczej jak ten spodeczek. Na imię miał Roger.

- Skąd wiesz, jak miał na imię? Powiedział ci? - Rosie chyba kompletnie pozbyła się już strachu. No bo jak można bać się pajaka, któremu na imię Roger?

- Oczywiście, że nie. Pajaki są bardzo skryte. - Wszystkie trzy zachichotały. - Jedna papuga nas sobie przedstawiła.

- Papuga? - upewniła się Stacey.

- Tak - potwierdził, patrząc jej przy tym w oczy tak, jakby na całym świecie było tylko ich dwoje. Stacey znała tego typu spojrzenia. - Papuga.

- Papuga - powtórzyła. Jej usta były suche, a w głowie huczało.

Sięgnęła do kredensu po kieliszki. Nash napełnił jeden z nich winem i podał go Stacey. Jego ręce były silne i pewne. Stacey głośno przełknęła ślinę.

- Lubię papugi - zawołała Rosie. - Mamusiu, możemy mieć papugę?

- Nie. Najwyżej kota albo chomika, kiedy się przeprowadzimy.

- Przeprowadzacie się? - W głosie Nasha słychać było zaskoczenie.

Stacey machnęła tylko ręką, dając do zrozumienia, że nie chce o tym rozmawiać. Nash Gallagher był nie tylko przystojny, inteligentny i taktowny. Był również niezwykle domyślny.

- Jak tam, Rosie, masz jakieś zwierzątka? - zapytał, zmieniając temat.

- Nie, nie mam. Ale kiedyś na pewno będę miała.

Stacey wstała od stołu, zbierając naczynia.

- Dzięki, było pyszne. - Nash poderwał się, by jej pomóc.

- Nie, nie, dziękuję. - Potrząsnęła głową. - Nie jestem przyzwyczajona do mężczyzn kręcących się po kuchni.

- Cóż, ja musiałem nauczyć się i tego. Może jednak?

- Następnym razem. - Stacey sama nie wierzyła, że to powiedziała. Przecież to było niemal, jak... flirt. Czuła, jak jej policzki przybierają powoli barwę purpury.

- A ty masz psa, Nash? - Z pomocą przyszła jej niespodziewanie Rosie.

- Nie przy moim trybie życia - odparł. - Miałem kiedyś, jak byłem w twoim wieku. Małego mieszańca. Zdaje się, że jeden z jego dawnych przodków musiał być dalmatyńczykiem.

- Kocham dalmatyńczyki! - wykrzyknęła zachwycona dziewczynka. - Mamusiu, możemy obejrzeć „101 dalmatyńczyków” po kolacji? Nash, obiecaj, że obejrzysz z nami.

- Rosie, dosyć. Jestem pewna, że Nash ma stokroć ciekawsze rzeczy do robienia, niż oglądać z tobą film o dalmatyńczykach - odezwała się na pozór srogim głosem, z którym kłócił się jednak wyraz twarzy.

Stacey, opamiętaj się! - ofuknęła się w duchu. Jeśli zaraz z tym nie skończysz, gorzko tego pożałujesz. To nie jest facet dla ciebie.

Pamiętaj, co mówiła Dee. Potrzebujesz mężczyzny uporządkowanego, zrównoważonego i przede wszystkim przewidywalnego.

Tak, koniecznie powinna zwrócić uwagę na tego, jak mu tam, Lawrance'a. W sobotę da z siebie wszystko. Przecież, do cholery, musi sobie jakoś wybić z głowy Nasha Gallaghera!

- Może jeszcze filiżankę herbaty? - odezwała się, nie patrząc na niego.

Zauważył zmianę w jej głosie. Nagle, nie wiedzieć czemu, przestała być słodka, miła i... wyczekująca.

- Po drodze tutaj widziałem donice z sadzonkami. To twoje hobby?

- Raczej praca.

- No, to łączy nas coraz więcej. Z zawodu jestem botanikiem.

- Naprawdę?

- Właśnie tym zajmowałem się w dżungli. Wyobraźcie sobie, są tam gatunki roślin, których nikt nigdy wcześniej nie widział i nie opisał...

Stacey spojrzała na niego badawczo.



- To chyba niezbyt intratne zajęcie?
- Zgadza się. Dlatego w końcu mój ojciec postanowił sprowadzić mnie z powrotem do kraju. Ma nadzieję, że czeka mnie tu świetlana przyszłość.

W takim razie chyba rzeczywiście łączy nas coraz więcej, pomyślała Stacey, przypominając sobie nieustanne zrzędlive napomnienia starszej siostry.

- Jego zdaniem marnuję siły i czas. Co innego kariera w banku, ubezpieczeniach czy chociażby w księgowości.

- Tak, to rzeczywiście byłaby bardzo „świetlana” przyszłość... - Stacey uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Cóż, taki właśnie jest mój ojciec. - Nawet ożenił się dla pieniędzy, dodał w myślach. - A ja lubię, jakby to powiedzieć, czuć wiatr w żaglach.

- I dlatego pewnie śpisz pod namiotem?

Zaśmiał się.

- A znasz kogoś w miasteczku, kto chciałby zaopiekować się bezdomnym botanikiem?

- Obawiam się, że nie - odrzekła szybko, by żadna z dziewczynek nie wpadła przypadkiem na pomysł odstąpienia mu swojego pokoju. Nie mogłaby spokojnie patrzeć na niego co rano, czekającego w slipkach, w kolejce do łazienki. - Ale jeśli coś usłyszę, dam ci znać.

- Dzięki. - Zauważył, jak się przestraszyła. Czyżby naprawdę sądziła, że zależy mu na cichym, przytulnym pokoiku w jej domu? Albo może, co gorsza, na miejscu w jej własnym, przestronnym zapewne, łóżku.

Jeśli tak właśnie pomyślała, to... miała rację.

- A czym ty się właściwie zajmujesz, Stacey?  
- Cóż... Czymś, co, niestety, również nie wróży „światlanej” przyszłości. Mam małą szkółkę roślin. Dostarczam je później do sklepu w miasteczku. Kiedyś zaczęłam nawet studia na tym kierunku, ale... Życie potoczyło się zupełnie inaczej.

Małżeństwo albo dzieci? Może jedno i drugie, przebiegło mu przez głowę.

- Marzy mi się hodowla roślin egzotycznych, ale to chyba głupie mrzonki... - Uśmiechnęła się smutno. Po chwili, jeszcze żałośniej, zapytała: - No, a jak tam w ogrodzie? Czy wiadomo już, kiedy rozpoczynają się roboty?

- Nie, to jeszcze nic pewnego.

Stacey, masz w tej chwili wziąć się w garść! - nakazała sobie w duchu. Dość tych pretensji do całego świata. W końcu Nash Gallagher jest tylko miłym sąsiadem i lepiej, żeby tak pozostało.

- No, moi drodzy, czas na deser! - zawołała.

- Wszystko było naprawdę świetne, Stacey - Nash wstał od stołu. - A co z obiecany filmem, dziewczynki? Może posadzimy mamę na kanapie w salonie, a sami pozamywamy?

- Nie, nie, nie trzeba... - Nie zliczyłyby już, ile razy dzisiaj wprawił ją w zakłopotanie.

- Siadaj i odpoczywaj. Zaraz dostaniesz filiżankę gorącej herbaty. Musisz mnie słuchać, bo jestem doktorem.

- Doktorem?

- Cóż, mam doktorat z filozofii. Do parzenia herbaty powinien chyba wystarczyć, jak uważasz?

Chciał zrobić na niej wrażenie, czy po prostu się z nią przekomarzał?

Nie oponowała dłużej. Podeszła do telewizora w salonie i włożyła kasetę do magnetowidu.

Wspólne oglądanie filmu dla dzieci? - zaśmiała się w duchu. Na to nie wpadłaby nawet w najgłupszych snach.

Po chwili usiadła wygodnie na kanapie, robiąc, jak zwykle, dziewczynkom miejsce koło siebie. Z ulgą wyciągnęła przed siebie nogi.

Doktor czy nie, ale w jednym miał rację, pomyślała. Chwila odpoczynku rzeczywiście dobrze jej zrobi.

Nash pojawił się w drzwiach salonu, z filiżanką herbaty w ręku. Usiadł tuż obok.

Stacey wstrzymała oddech. Niemal nie pamiętała, jak to jest dzielić z kimś miejsce na sofie. Jak to jest, dzielić je z mężczyzną...

Wciągnęła w nozdrza jego zapach. Pachniał wiatrem.

Zwilżyła wargi koniuszkiem języka.

- Nie byłoby ci wygodniej na fotelu? - zapytała, choć wiedziała, że musiało to zabrzmieć głupio.

Spojrzał na nią, jakby nie rozumiejąc.

- Nie, dlaczego? Stąd widzę doskonale.

Odetchnęła z ulgą.

Z trudnością mogła skupić wzrok na ekranie telewizora.

Tak właśnie mogłoby być. Tak wyglądałoby ich życie, gdyby Mikę żył, pomyślała ze smutkiem.

- Słodzisz? - głos Nasha przerwał na chwilę jej rozmyślenia.

- Tak, proszę. - Podał jej cukiernicę.

Był taki... zadomowiony. Rozparty na sofie, tuż obok niej, z ręką ułożoną wygodnie na oparciu sofy, niemal dotykając jej pleców.

Starła się wyobrazić sobie na jego miejscu innego mężczyznę, Lawrence'a Fordhama, na przykład. Spróbowała wyobrazić go sobie siedzącego na sofie obok i śmiejącego się do rozpuku z dowcipów Walta Disneya. Niestety, jej wyobraźnia nie sięgała aż tak daleko.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- W porządku, dziewczynki, na dzisiaj koniec. Pora spać. - Clover i Rosie próbowały jeszcze przez chwilę oponować, ale Stacey była nieubłagana. - Za pięć minut macie być w łóżkach.

- Dobranoc, Nash! - Rosie podbiegła do mężczyzny i objąwszy go za szyję, ucałowała serdecznie w policzek.

Clover była mniej wylewna.

- Przyjdiesz do nas jutro, Nash? - zapytała, zanim Stacey zdążyła zareagować.

Biedne dzieciaki, pomyślała. Dopiero teraz dotarło do niej, jak bardzo musiały tęsknić za ojcem.

- Daj spokój, Clover - odezwała się łagodnie. - Nash z pewnością ma ważniejsze sprawy na głowie.

- Z przyjemnością, kochanie... - Nash spojrział serdecznie na Clover. - Ale jutro właśnie miałem zamiar kogoś odwiedzić.

- Więc w poniedziałek? - ponowiła zaproszenie dziewczynka.

- Clover! - Głos Stacey zabrzmiał tym razem już nieco ostrzej. - Przestań męczyć Nasha. I nie zapomnij umyć zębów!

Dziewczynki wbiegły na schody i znikły w swoich pokojach.

- Przepraszam za nie, nie myśl, że...

- Nic takiego nie myślę - przerwał jej. - Jeszcze raz dziękuję, Stacey. To był naprawdę miły wieczór.

Skinęła głową.

- Na mnie już czas. A ty idź do dziewczynek, na pewno czekają.

Chciała go jakoś zatrzymać, powiedzieć, że jeszcze nie jest późno. Że położy córki spać i zaraz będzie z powrotem. Może napiliby się jeszcze herbaty? Albo dokończyli wspólnie butelkę wina? Albo po prostu posiedzieli chwilę, tylko we dwoje...

- Jesteś bardzo miłym gościem - rzekła zamiast tego.

- Tak myślisz?

Cisza, jaka zawisła między nimi, była aż gęsta od niewypowiedzianych słów. W takiej chwili mogło zdarzyć się wszystko. Jak to, na przykład, że Nash podejdzie bliżej, weźmie ją w objęcia i... pocałuje. Tak, jak mężczyzna całuje kobietę.

- Mamo, skończyła się pasta do zębów! - krzyknęła któraś z dziewczynek.

- Idź, Stacey. Poradzę sobie.

Nie pocałował jej. Mimo to, usta miała gorące.

Nawet jej nie dotknął, lecz i tak ciało Stacey przeszyły dreszcz.

Już niemal zapomniała, jak to jest. Nieomal nie pa-

miętała, jak to jest, kiedy wszystko wokół wiruje i płonie pożądaniem.

Nash ułożył się wygodnie na pościeli w namiocie. Co on, do diabła, najlepszego wyrabiał? Jego dewiza było przecież unikać wszelkich niepotrzebnych komplikacji.

Jest tu tylko przejazdem, nie wolno mu o tym zapominać. To nie jest jego życie i nigdy nie będzie.

Przypomniał) mu się słowa dziadka. Staruszek życzył sobie zobaczyć go, może już po raz ostatni przed śmiercią. Niestety, było z nim coraz gorzej.

- Idź, Nash, sprawdź, co się tam dzieje. Zobacz, co z ogrodem. - I, spoglądając na niego, dodał: - Poszedłbym sam, ale widzisz, nie chcą mnie stąd wypuścić.

Trzeba przyznać, że staruszek umiał poruszyć czułą strunę.

- Nie myśl, że poddam się tak łatwo. Chcę, żebyś sprawdził, czy potrafisz rozprawić się ze swoją przeszłością. Dopiero potem podejmij decyzję. A później przyjdź i opowiedz mi wszystko dokładnie, a ja być może podpiszę papiery - dokończył dziadek.

Nie spodziewał się, że ogród będzie aż tak zaniedbany, chociaż dziadek go przecież uprzedził.

Cóż, nic na tym świecie nie było proste. Nash miał swoje lata i wiedział, że życie to nie bajka.

I nie wiadomo, jak długo rozpamiętywałyby jeszcze te stare dzieje, pograżając się coraz bardziej w głuchym bólu,

gdyby nie Stacey O'Neill, przeskakująca przez mur i para jej wielkich, okrągłych oczu o barwie miodu.

Nic na tym świecie nie było proste. Nic. Nawet spotkanie pięknej, młodej kobiety. Kobiety, przy której mógłby pewnie uwierzyć w to, że szczęście nie jest jedynie czczym pojęciem.

Stacey nie była przecież z tych kobiet, w których można zakochać się i odkochać tak po prostu, jakby chodziło o wypicie szklanki wody.

Stacey była matką dwóch uroczych, dorastających dziewczynek. A jedno, czego był pewien na tym świecie, to właśnie to, że dzieci nie wolno lekceważyć. I że nikt, nigdy, przenigdy nie ma prawa ich ranić.

Więc jedyną rozsądną rzeczą, jaką może i powinien teraz zrobić, to wynieść się stąd jak najprędzej, zapominając raz na zawsze o ogrodzie, Stacey i dziewczynkach.

I tak właśnie postąpi. Zadzwoni jutro do dziadka, jak obiecał, i zaraz potem wyniesie się stąd, z powrotem do swojego bezpiecznego, na swój sposób poukładanego życia.

Jak na starego trapera, za którego się uważał, Nash Gallagher miał tym razem wyjątkowo kiepską noc. Wielokrotnie przekręcał się niespokojnie z boku na bok, próbując pozbyć się natrętnych, męczących myśli.

Zwinał się w kłębek, podłożył ramię pod głowę. W jego skroniach aż huczało od wspomnień o ogrodzie i wszystkich tych pięknych chwilach dzieciństwa, jakie tu przeżył.



Stacey otworzyła oczy. Musiało być chyba jeszcze bardzo wcześnie, bo na dworze panowała kompletna cisza. Nawet ptaki nie rozpoczęły na razie swego porannego koncertu.

Spojrzała na zegarek. Było kilka minut po czwartej.

O wiele za wcześnie, by wstawać, pomyślała. Przecież dzisiaj jest niedziela.

Może powinna zejść na dół i napić się ciepłego mleka? Może to pomoże jej ponownie zasnąć?

Uchyliła szerzej okno, wpuszczając nieco więcej świeżego powietrza.

Gdzieś tam w oddali, pod murem, tliło się maleńkie światełko. Myśl, że nie jest jedyną, która nie może spać tej nocy, ucieszyła ją.

Co takiego robił Nash Gallagher o tej niezwykłej porze, zastanawiała się. Pisał, czytał? Może planował jakąś kolejną podróż?

Narzuciła szlafrok i, ostrożnie, by nie zbudzić dziewczynek, zeszła na dół. Po chwili, z filiżanką świeżo zaparzonej herbaty, wyszła na zewnątrz.

- Nash! - Jej szept rozbrzmiał w ciszy tak donośnie, jak bicie dzwonów. Jakiś ptak odezwał się z gałęzi drzewa.

Nic. Żadnej odpowiedzi. Pewnie właśnie przed chwilą zasnął, co, biorąc pod uwagę gwałtowne kołatanie serca, jakie poczuła, było jej właściwie na rękę. Przyjście tutaj to chyba najgłupsza rzecz, jaką ostatnio...

- Stacey? Czy coś się stało?

Aż podskoczyła, przerażona. Z drugiej strony muru patrzyła na nią para zdziwionych oczu.

- Och, nie... Przestraszyłeś mnie. Po prostu zobaczyłam światło i pomyślałam sobie, że może miałbyś ochotę na filiżankę gorącej herbaty. Właśnie zaparzyłam.

Jak miał to rozumieć? Czy to było zaproszenie, czy tylko jakaś dziwna gra, której zasad nie rozumiał?

Podciągnął się na rękach i z wysokości muru spozjrzał jej w twarz. Słodką, śliczną, niewinną.

- Poczekaj, zaraz przeskoczę na twoją stronę. Tak będzie łatwiej. - Uśmiechnął się w duchu. - Chyba powinienem wstawić tu jakąś furtkę, co ty na to?

Milczała chwilę, zanim odpowiedziała.

- To chyba nie będzie konieczne, skoro zamierzasz niedługo wyjechać.

- Nie mogłem zasnąć - przyznał, celowo ignorując pytanie zawarte w jej słowach.

- Ja też nie... - Patrzyła, jak jego włosy lśnią ciepłym blaskiem w świetle poranka. Jej wzrok ześlizgnął się niżej, na silny, kształtny kark i odsłonięte ramiona. Poczuła, jak ogarnia ją jakiś wewnętrzny żar. - Wyjątkowo parna noc. Myślałam, że kto jak kto, ale ty jesteś do tego przyzwyczajony.

Rzeczywiście, był. Ale to nie gorąca, letnia noc była powodem jego bezsenności. Czy Stacey naprawdę nic nie rozumiała? Niczego się nie domyślała?

Niby nic, najzwyklejsza sprawa pod słońcem. Dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta... A jednak...

A jednak nie mógł przecież tak zwyczajnie się z nią przespać, chociaż miał na to piekielną ochotę. Nie mógł,

bo nie potrafiłby później wytłumaczyć Clover i Rosie, że musi już odejść, że musi wracać do swoich lasów tropikalnych i odnaleźć tam samego siebie.

Dlaczego nic nigdy nie może być proste? - chyba już po raz setny dzisiaj zadał sobie to pytanie.

- Są rzeczy, do których nigdy nie można się przyzwyczaić - odezwał się bardziej do siebie niż do niej. - Chodź, usiądziemy na werandzie przed domem. Usłyszysz dziewczynki, jeśli się obudzą.

Stapała za nim, wsłuchując się w odgłos jego kroków, ciesząc się jego bliskością.

- Ten zapach - przez chwilę szukał właściwych słów - zupełnie, jak w zaczarowanym ogrodzie.

Uśmiechnęła się.

- To maciejka.

- A właśnie, miałaś jakieś plany co do roślin egzotycznych. Opowiedz mi o tym.

- To nie plany, raczej marzenia. Prawdopodobnie musiałabym zacząć od budowy paru oranżerii, a na to, pomiijając wszystko inne, nie ma tu miejsca.

Przypomniała sobie ostatnią rozmowę z Archiem, który obiecał, że o tym pomyśli. Ale to było, zanim znalazła go, nieprzytomnego, w jednej z altanek.

Powinna w końcu odwiedzić go w szpitalu, już dawno prosił ją o to. Może pożyczy samochód od Dee? W końcu siostra winna jest jej przysługę.

- Stacey... - łagodny głos Nasha przywołał ją do rzeczywistości.

- To tylko głupie marzenia. Zapomnijmy o tym - poprosiła. - Ja już dawno to zrobiłam.

Stała tuż obok, z odwróconą głową, ze spojrzeniem utkwionym gdzieś w odległym horyzoncie. Wyczuwał niemal, jak broni się, by nie dać się złapać na czymś głupim, niedojrzałym, bezsensownym, na czymś, czego mogłaby potem żałować.

- Zapomniałaś, jesteś tego pewna? - Dotknął dłońią jej policzka, zaskoczony gładkością skóry. - Nie sądzę. W każdym razie nigdy, przenigdy nie powinnaś tak łatwo się poddawać. Nie pozwól umrzeć swoim snom, Stacey.

Odwróciła głowę. W jej oczach odbijał się mglisty blask poranka.

- Chyba przyznam ci rację... - Przez chwilę miał wrażenie, że wtula się w jego otwartą dłoń. - A jakie są twoje marzenia, Nash?

Opuścił rękę.

- Moje? Nie jestem typem marzyciela.

Odstawił kubek na podłogę werandy.

- No, na mnie już pora. Dzięki za herbatę.

- Drobiazg - uśmiechnęła się i dodała, tak, że nie mógł już tego słyszeć: - Zawsze do usług.

Stała jeszcze przez chwilę przed drzwiami domu, czekając, aż szczupła męska sylwetka zupełnie zniknie jej z oczu. Potem odwróciła się i wciągając w nozdrza zapach nocy, weszła do domu.

- Mamusiu!

- Tak? - Stacey odwróciła się w stronę Rosie. - Wielkie nieba, a to co?

W ręku dziewczynki tkwił ogromny bukiet kwiatów.

- Leżały na schodach werandy - wyjaśniła Rosie.

- Jak to? Skąd?! - zawołała Stacey, chociaż zdaje się, doskonale znała odpowiedź.

- Nash je tam zostawił. - Dziewczynka zanurzyła nos w kwiatkach. - Była też kartka.

- Kartka? - Mimo że obiecywała sobie zachować rozsądek i dystans, jej serce nie chciało podporządkować się rozumowi. - Jaka kartka?

- Nie wiem, coś, jak „dziękuję za ostatnią noc” albo jakoś podobnie. Zostawiłam ją w kuchni.

Stacey głośno przełknęła ślinę.

- No, Rosie, czemu nie włożysz ich do wody? - Próbowwała pokryć zmieszanie. - I postaraj się tym razem nie stłuc wazonu...

- Nash napisał też: „Sprawdziłem, pajaków brak”. Clover też to czytała.

Po śniadaniu dziewczynki, jak zwykle, poszły pograć w piłkę. Stacey postanowiła zabrać się za malowanie łązki.

Po kilku minutach w bramie pojawił się duży czerwony ford Dee.

- Przywiozłam ci sukienkę! - zawołała, zanim zdążyła wysiąść z samochodu.

- Chyba cały sklep?! - odkrzyknęła Stacey, widząc, jak siostra ciągnie za sobą całą torbę ciuchów.

Dee weszła do środka. Rzuciła rzeczy na kanapę.

- Zapakowałam jeszcze parę drobiazgów. Skoro w nich nie chodzę, szkoda, żeby tak leżały. - Z torby wyciągnęła pudełka z nowiutkim butami. - Kupiłam je chyba w zeszłym roku... Już mi się znudziły.

Stacey zbyt dobrze знаła swoją siostrę, żeby jej uwierzyć.

- Tak? A to ciekawe... Zdaje się, że to nie twój rozmiar. - Uśmiechnęła się pod nosem. - Czyżby od zeszłego roku zmalała ci noga?

Dee spojrzała na nią prosząco.

- No dobrze, przyznaję się. Mam do ciebie sprawę.

- O, to chyba jakaś wyjątkowo duża prośba. - Stacey zaśmiała się. Rozstawiła przed sobą puszki z farbami. - O co chodzi? Chcesz, żebym zaciągnęła Lawrance'a do łóżka?

- A zgodziłabyś się? - Dee wyraźnie spodobał się ten pomysł.

- Nigdy. Zapomnij o tym.

- Może i masz rację. Z nim trzeba ostrożnie.

Stacey nawet nie chciała wiedzieć, co Dee miała na myśli. Przyzwyczajenia i upodobania Lawrance'a były jej najzupełniej obojętne.

- Co ty właściwie robisz? - spytała nagle Dee, jakby dopiero teraz zauważyła poczynania siostry.

- Zabieram się właśnie za odnawianie łazienki.

- Sama?!

- Jak widzisz. Zdaje się, że to ty niedawno stwierdziłaś, że łazienka jest w opłakanym stanie.

- No, tak, ale nie miałam pojęcia, że potraktujesz to tak... dosłownie. - Dee westchnęła ciężko. - Ale wracajmy do sprawy. Jutro wieczorem urządany jest w miasteczku festyn. Miałam nadzieję, że będziesz mogła tam pójść z Lawrence'em.

- Możesz podać mi pędzel?

- Obiecałam mu co prawda, że ja tam będę, ale, niestety, muszę lecieć do Paryża. - Dee posłusznie sięgnęła po pędzel. - Jakieś załamane na rynku mleczarskim czy coś takiego. Nie będzie mnie przez cały dzień.

- Pod stołem stoi puszka z farbą. Możesz ją tu przynieść? Dee podała puszkę siostrze.

- Ze względów marketingowych dobrze by było, żeby Lawrence pojawił się na jutrzejszym przyjęciu. Jednak jeśli mnie tam nie będzie, on na pewno postara się jakoś wymigać. - Dee pochyliła się nad Stacey i wyszeptwała: - Jest uroczym szefem, ale zupełnie nie ma głowy do interesów.

Może pan Fordham nie jest aż tak nudny, jak myślałam?

- zaczęła rozważać w duchu Stacey.

- Jak myślisz, ten kolor będzie odpowiedni?

Dee machinalnie skinęła głową.

- Więc jeśli ja pójdę tam zamiast ciebie, to Lawrence uzna, że powinien pojawić się na przyjęciu? - odezwała się Stacey, bacznie obserwując siostrę. - Nie wydaje ci się, że ten kolor jest trochę za ciemny?

Dee w odpowiedzi tylko zwilżyła językiem wyschnięte wargi.

- Tak, muszę go chyba trochę rozjaśnić. - Stacey dodała do puszki odrobinę białej farby. - Teraz powinno być dobrze. Możesz więc spokojnie wykupić bilet na najbliższy lot do Paryża.

Przejechała pędzlem po ścianie łazienki.

- Pójdę na przyjęcie, ale ja też mam do ciebie prośbę.  
- W oczach Dee pojawił się wyraz zaciekawienia. - Pożyczysz mi swój samochód?

- Jasne, tylko powiedz, kiedy będzie ci potrzebny.

- Muszę odwiedzić kogoś w szpitalu. Już dawno to obiecałam.

- Podstawię ci samochód jutro, po drodze na lotnisko, co ty na to? - I ciesząc się, że pewnie uda jej się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu, dodała: - Będziesz mogła zahaczyć po drodze o fryzjera.

Stacey już otwierała usta, by zaprotestować.

- Wlicz to w koszta - nie dała jej dojść do słowa Dee.  
- Ostatecznie chodzi o wyjście w sprawach służbowych. I załóż tę jedwabną sukienkę i buty na wysokim obcasie.

Stacey posłusznie skinęła głową.

- I nie zapomnij o makijażu... - rzuciła jeszcze Dee w drodze do drzwi.

Stacey spojrzała na rzeczy rozrzucone na kanapie i uśmiechnęła się do siebie. Wyświadczenie przysług starszej siostrze zaczynało być naprawdę przyjemne.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Więc jak, jest bardzo źle?

Nash odsunął nieco zasłonę. Szpitalny pokój natychmiast napełnił się blaskiem słońca.

- Naprawdę chcesz to wiedzieć, Archie? - spojrzał poważnie w oczy starszego pana. - Zrozum, drzewa wymagają nieustannej opieki, żeby...

- Ja o tym wiem. Nie byłem tylko pewien, czy i ty to zauważyłeś - przerwał mu dziadek. - Rośliny, jak ludzie, usychają bez miłości i troski. No, ale opowiadaj, dużo będzie brzoskwiń w tym roku?

Nash zamyślił się przez chwilę.

- Nie, jeśli wszystko zostanie zrównane z ziemią...

- Fakt - staruszek zaśmiał się sucho. - Ale to już nie moja sprawa. - Śmiech przeszedł nagle w ciężki, konwulsyjny kaszel. - Zawsze lubiłeś zrywać pierwsze dojrzałe owoce, pamiętasz? - dokończył po chwili.

- Tak, pamiętam. - Już nigdy nic nie smakowało mu tak, jak te pierwsze dojrzałe brzoskwinie, zrywane prosto z drzewa.

Clover i Rosie pewnie też lubiłyby to robić. I Stacey. Przez chwilę miał wrażenie, że niemal czuje smak jej ust, oblanych lepkiem brzoskwiniowym sokiem...

Aż wzdrygnął się, uświadamiając sobie, o czym myśli.

- Rzeczywiście zamierzasz sprzedać ogród? - zapytał cicho.

- Dobrze wiesz, że nie muszę... Znasz moje warunki - odparł dziadek.

Nash wiedział, co Archie ma na myśli. Staruszek zawsze potrafił manipulować ludźmi. Nawet teraz, leżąc niemal na łożu śmierci, usiłował wciągnąć wnuka w swoją grę.

- W mieście narzekają, że budowa biurowców w tym miejscu to nie najlepszy pomysł.

- Czyżby? A nie cieszą ich dodatkowe miejsca pracy? - spytał zgryźliwie Archie. - Chyba że masz na myśli kogoś konkretnego. Powiedz, czy te dwie małe nadal przelicają piłkę przez ogrodzenie?

Nash nie odezwał się.

- Ich matka pracowała dla mnie kilka godzin tygodniowo - dokończył w zamyśleniu Archie.. - Nadal marzy jej się uprawa roślin egzotycznych?

- A myślisz, że to dobry pomysł? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Owszem. Wąska specjalizacja decyduje dzisiaj o przetrwaniu. Stacey nie miałyby tu żadnej konkurencji.

Nash był pod wrażeniem. O ile ciało dziadka wyraźnie słabło, to umysł nadal pracował na najwyższych obrotach.

- To dosyć pocieszające dla Stacey.

- Jej potrzebne jest tylko jedno: trochę wiary w siebie. Ktoś powinien nią pokierować, dodać jej otuchy. Jej mąż

zginął w wypadku motocyklowym jakiś czas temu. Może wspominała ci o tym?

Nash nie odezwał się ani słowem.

- Została sama z dwójką dzieci. Dobrze, że przynajmniej pracuje blisko domu...

- Ale ona mówiła coś o przewodźce - Nash wtrącił ostrożnie.

- Ach tak? W takim razie kiepsko to wygląda. Jej dom jest w opłakanym stanie, ale ona bardzo kocha swój ogród.

- Będzie jej raczej ciężko sprzedać dom, z okien którego roztacza się widok na biurowce. - Dom będzie ciężko sprzedać i bez tego, dodał w myślach. Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka było widać, że budynek wymaga kapitalnego remontu.

- Wszystko teraz w twoich rękach - przypomniał mu starszek.

Stary Arenie miał nadzieję, że odgrzewając dawne wspomnienia, uda mu się zwabić Nasha z powrotem do domu rodzinnego. Chciał odejść w przeświadczeniu, że sprowadził go w końcu na właściwą drogę.

- Mam odegrać rolę przykładowego wnuka i osiąść wreszcie na swoim, taki jest twój warunek? Inaczej sprzedasz ogród? Widzę tylko jeden szkopuł, jestem botanikiem, nie ogrodnikiem.

- Mówisz o tej dzungli, w której spędziłeś ostatnie lata? To nie jest życie dla młodego człowieka...

- Ale jeśli tam wrócę, będzie mi najzupełniej obojętne, co zrobisz z ogrodem.

Jeśli? Nash poczuł, jak po krzyżu przebiegły mu ciarki. Do tej pory nie było żadnego „jeśli”. Było „kiedy”.

- Kochasz przecież to miejsce. - Staruszek nie należał do ludzi, którzy poddają się łatwo.

- Kochałem, dziadku, kochałem - poprawił go Nash.

- Poza tym jestem pewien, że sam nie dałbym sobie rady.

- Znajdziesz kogoś, kto ci pomoże. - Archie oparł się o wysoko ułożone poduszki. - Czytałem niedawno, że ekologia to przyszłość. W pewnym sensie prowadzenie ogrodu można przecież nazwać działalnością ekologiczną, mam rację? - Archie zachichotał. - Oj, szkoda, że nie mam twoich lat... Wiedziałbym, co zrobić z życiem - odezwał się po chwili z nostalgią w głosie, rozkładając przed sobą papiery. - Więc jak?

- Dlaczego nie zaproponujesz prowadzenia ogrodu mojej matce? To przecież twoja córka.

- Tak, dzwoniła nawet do mnie, żeby mi o tym przypomnieć. - Nash ponownie usłyszał śmiech dziadka. - Ale znasz ją, ona nie lubi bawić się w sentymenty...

Pewnie nie słyszała nawet takiego słowa, dodał w duchu Nash.

- Więc, kiedy wyjeżdżasz? - Archie wydawał się już bardzo zmęczony rozmową.

- Nie przed czwartkiem. Obiecałem na uczelni, że wygłoszę jeden wykład. Wyobraź sobie, że zaproponowali mi objęcie katedry botaniki.

- Co ty powiesz? - spytał Archie na pozór obojętnie, i zwijając papiery, dodał: - W takim razie to może jeszcze

poczekać. Wróć, kiedy będziesz już pewien decyzji. I przynieś ze sobą butelkę szkockiej.

- Pozwalają ci tu pić szkocką?

- Nie, ale jestem przekonany, że popełniają niewybaczalny błąd.

W miasteczku Nash zatrzymał się przed sklepem. Traperskie życie, owszem, miało swoje uroki, ale co jakiś czas trzeba było również zdobyć bochenek świeżego chleba.

Niestety, sklep był zamknięty, lecz na drzwiach wisiała jakaś kartka. Nash podszedł bliżej i ze zdumieniem przeczytał:

*Pokoje do wynajęcia. Mile widziani studenci. Wiadomość u Stacey O'Neill.*

Poniżej podany był znajomo brzmiący adres.

Więc to tak? Szanowna pani O'Neill chętnie wynajmie kilka pokoi w swoim domu, ale niestety, nie jemu?!

Istnieją tylko dwa powody, dla których nie chciałyby mieszkać ze mną pod jednym dachem, pomyślał. Albo nie ufa mnie, albo nie ufa sobie.

A przecież tak uważał, by nie zrobić nic, co mogłoby wprowadzić ją w najmniejsze choćby zakłopotanie. Nic, co mogłoby bodaj sugerować, że chciałby, by ich znajomość przerodziła się w coś więcej. Chociaż chyba tylko on wiedział, ile wysiłku go to kosztowało.

Przypomniał sobie, jak przysłała do niego rankiem, z kubkiem herbaty w ręku... Jeszcze nieco senna, słodka i chyba nie do końca świadoma swej lekkomyślności. Był

pewien, że każdy inny mężczyzna na jego miejscu odebrałby takie zachowanie jako zaproszenie...

Nash wsiadł na swojego harleya. Zapiął kask, włączył silnik i ruszył, z mocnym postanowieniem zadania pani O'Neill kilku pytań.

Był już niemal pod domem Stacey, kiedy zreflektował się i uspokoił.

Czy jest o co toczyć bój? Przecież zamierza tu zostać jedynie do czwartku. Zamieszkanie ze Stacey i dziewczynkami pod jednym dachem mogłoby się skończyć tym, że jego pobyt przedłużyłby się niebezpiecznie długo, może nawet... w nieskończoność.

A tego przecież nie chciał. Już dawno postanowił, że nie będzie sobie komplikować życia.

Stacey wyciągała właśnie z piwnicy gumowy wąż do podlewania trawy, kiedy niespodziewanie usłyszała charakterystyczny odgłos motocykla.

Serce zabiło jej silniej. Przez chwilę, przez jedną krótką chwilę miała nadzieję, że zaraz zobaczy Mike'a.

Z trudem wytłumaczyła sobie, że to niemożliwe.

Po chwili odgłos silnika oddalił się. Widocznie ktoś pomylił drogę...

Kochała Mike'a. Kochała go chyba o wiele bardziej, niż na to zasługiwał. Był przecież jej mężem, ojcem jej dzieci. Chociaż, prawdę mówiąc, nie sprawdził się w żadnej z tych ról. Mimo to brakowało go jej.

Cóż, świat nie stoi w miejscu. Może Dee miała rację?

Może rzeczywiście czas już wziąć się w garść i zacząć żyć na nowo?

Kątem oka dostrzegła ruch po drugiej stronie muru. Odwróciła głowę w tamtym kierunku.

Nash Gallagher zdejmował właśnie z głowy kask. Parę kroków od niego stał duży, błyszczący harley.

Uśmiechnęła się smutno. Nash należał do mężczyzn, dla których łatwo było stracić głowę. I ciężko byłoby później pogodzić się z jego odejściem.

Przed oczami stanął jej bukiet kwiatów, który Nash zostawił na schodach werandy...

Lawrance Fordham nigdy nie ofiarowałby jej takich kwiatów, była tego pewna. Co najwyżej róże z kwiaciarni. Był przecież tradycjonalistą na poziomie. Perfekcjonistą w każdym calu.

Pograżona w myślach, odkręciła kurek z wodą i zajęła się podlewaniem wysuszonej przez słońce trawy.

Nash oparł kask o kierownicę motocykla.

Było już późne popołudnie, ale słońce wciąż jeszcze stało wysoko na niebie. W ogrodzie panowała senna, leniwa cisza, przerywana tylko czasami monotonnym bzy-czeniem pszczół. Cisza, jak z czasów jego dzieciństwa.

Jeszcze tydzień temu wszystko było proste. Przekonany był, że sensem jego życia może stać się praca w dżungli, odkrywanie nowych gatunków roślin. Czasami napisałby jakiś artykuł do czasopisma naukowego czy wygłosił go-ścienny wykład na jakimś uniwersytecie.

Jeszcze tydzień temu... Ale wtedy nie znał Stacey.

Rozejrzył się po ogrodzie.

Miejsce, jakich wiele, pomyślał. I choć ze wszystkich sił starał się w to uwierzyć, wiedział doskonale, że oszukuje samego siebie.

Czy naprawdę kiedykolwiek mógłby osiąść tu na stałe, jak sobie tego życzył dziadek? Czy mógłby związać się z tym miejscem do końca życia? Poświęcić wszystko? Zapomnieć o planach, marzeniach, zapomnieć o... sobie?

Jeszcze tydzień temu wiedziałby, jaka jest odpowiedź na wszystkie te pytania.

Ale wtedy nie znał Stacey...

A może - myśl jak błyskawica przebiegła mu nagle przez głowę - może mógłby namówić dziadka, żeby przekazał ogród Stacey? Był pewien, że Archie nie znajdzie nikogo, kto lepiej troszczyłby się o jego ukochane rośliny.

Stop, przestań myśleć o takich głupotach, skarcił się w duchu. Zdaje się, że i bez starego, zapuszczonego ogrodu Stacey ma dość swoich własnych kłopotów. To jasne...

W takim razie - rozemocjonowany umysł podpowiadał mu kolejne rozwiązanie - nic nie stoi na przeszkodzie, żebym został tu do końca lata i pomógł Stacey uporać się z najcięższą robotą. Mógłbym przecież wyremontować altanki, poprzycinać drzewka, uporządkować teren...

Nash, nadzwyczaj zadowolony ze swojego pomysłu, skierował się w stronę jednej z altanek.

W wysokiej, dawno nie koszonej trawie nieopodal



ścieżki, leżały w słońcu małe, wystraszone kociaki, pomiaukując cichutko. Ich matki nie było w pobliżu.

Stacey stała właśnie z pędzlem w ręku, zajęta malowaniem framugi w drzwiach do łazienki. Czasami miała wrażenie, że to wszystko - dom, dzieci, ogród - jest po prostu ponad jej siły, przerastają. Czyżby najzwyczajniej w świecie przestawała sobie dawać radę?

Otarła dłonią spocone czoło.

Niełatwo jest iść przez życie samej, kiedy w dodatku wszystko i wszyscy wokół czegoś nieustannie od ciebie oczekują, pomyślała. Jeszcze trudniej, kiedy samodzielność oznacza w gruncie rzeczy samotność. Wtedy życie powoli zaczyna przeobrażać się w koszmar... By przepędzić ponure myśli, energicznie zajęła się malowaniem.

W pewnej chwili jej uwagę przykuł jakiś ruch w okolicach muru. Kątem oka dostrzegła sylwetkę Nasha przeskakującego przez ogrodzenie, z tekturowym pudłem w rękach.

Czy on naprawdę musi chodzić półnagi i drażnić jej wygłodniałe zmysły? I czy, do cholery, nie mógłby wreszcie zacząć używać furtki, jak każdy normalny człowiek?!

- Stacey!

To, że wypili razem herbatę, nie upoważnia go przecież jeszcze do...

- Stacey! - powtórzył, nie zrażony brakiem reakcji z jej strony.

I czego, do diabła, może chcieć od niej tym razem?!

Nie obchodzi jej to nic a nic. Ani to, co też takiego taszczy w tym ogromnym tekturowym pudle.

- Jestem zajęta, Nash, może innym razem...
- Stacey, mam problem. Potrzebuję twojej pomocy.

Jasne, problem... Czy tak właśnie zwykle podrywa pan kobiety, panie Gallagher?

- Jeśli przyniosłeś kolejny bukiet kwiatów, to masz pecha. Skończyły mi się wazonny.

- To nie kwiaty. Stacey, spójrz!

Sprytnie, Nash, pomyślała. Tylko czyja naprawdę wyglądam na aż taką idiotkę?!

Nash, nie czekając już dłużej na odpowiedź, wbiegł do kuchni i bez chwili wahania otworzył lodówkę.

- A to co? Za kogo pan się, do diabła, uważa, panie Gallagher?! - Stacey znalazła się w kuchni zaraz po nim. Jej głos nie brzmiał zbyt przyjaźnie.

Nash, nie przejmując się chłodnym przyjęciem, wyciągnął z lodówki karton z mlekiem.

I wtedy je zobaczyła. Trzy, nie, cztery maleńkie kociaki, otulone bawełnianym podkoszulkiem Nasha i stłoczone lękliwie w rogu pudełka.

- Myślisz, że powinienem je ogrzać? - zapytał, potrząsając kartonem z mlekiem.

- Skąd je wzięłeś? I gdzie jest ich matka?!

- Nie wiem. Ostatnio widziałem ją kilka dni temu. Czekałem chwilę, licząc, że może się pojawi, ale kotki wyglądały na bardzo wygłodniałe i... Jak myślisz, powinienem podgrzać mleko? - powtórzył pytanie.

- Mleko... Tak, nie... Sama nie wiem. - Wyciągnęła z pudełka jednego kotka. Czarnego, ze śmiesznym białym krawatem pod mordką. - Ty na pewno musisz być chłopczykiem. .. Jak tam, masz ochotę na mleczko?

Wylała na spodeczek odrobinę mleka.

- Mamusiu, czy to nie Nash był przed chwilą... - usłyszała za plecami głos Clover. Zaraz za nią stanęła Rosie.  
- Ojej, jakie maleńkie!

Niestety, stało się... Było już za późno, by bezboleśnie wybrnąć z sytuacji.

Stacey spojrzała na Nasha. Jej wzrok mówił: wielkie dzięki. Teraz to dopiero będzie zabawa.

Tak mi przykro, zupełnie o tym nie pomyślałem, wyczytała z jego spojrzenia.

Porozumienie bez słów, pomyślała z irytacją. I co jeszcze?

- Myślisz, że dadzą radę zlizać mleko ze spodeczka?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - odparł.

No pewnie! A czy pomyślał pan o tym, panie Gallagher, co będzie, jeśli nie uda im się przeżyć bez matki? Jak wtedy będą cierpiały Clover i Rosie? Czy wziął pan to pod uwagę?!

- Spróbujmy - usłyszała głos Nasha.

Wziął z jej ręki kociaka i postawił go na podłodze, obok miseczki. Po chwili to samo zrobił z resztą. Kotki, wiedzione instynktem, zanurzyły pyszczki w mleku i, z początku nieporadnie, później coraz śmieiej, wylizały całą zawartość spodka.

- No, to jesteśmy uratowani! - zawołał radośnie Nash, patrząc, jak zwierzaki, pomrukując cichutko z zadowolenia, układają się do snu.

- Owszem, na razie. - Stacey zdawała się nie podzielać jego zachwyty. - Ale co dalej? Jutro nie będzie mnie cały dzień, więc...

Fryzjer, Archie, wieczorem Lawrance, wyliczała szybko w myślach. I co pan teraz pocznie, szanowny panie Gallagher?

- Mógłbym zaglądać do nich co jakiś czas, jeśli zostawiłabyś mi klucze. - Klucze?! Stacey spojrzała na niego z niedowierzaniem, ale Nash uśmiechnął się tylko rozbrajająco, sugerując, że jego myśli są czyste i niewinne. Po chwili jednak chyba zreflektował się, bo dodał: - A może lepiej będzie, jeśli zabiorę je do altanki?

- Nie! - Clover i Rosie były zgodne jak nigdy dotąd.

- Nie. - Stacey poparła dziewczynki. - Tu będą bezpieczniejsze.

- Dzięki. - Nash posłał jej jeden ze swych najbardziej zalotnych uśmiechów. - Czy mógłbym w takim razie, w zamian za opiekę nad kociakami, odwdzińczyć się koszem świeżych owoców?

Stacey roześmiała się.

- Dobrze wiem, co ci chodzi po głowie, Nash. Nie namówisz mnie na pieczenie kolejnego kruchego ciasta z brzoskwiniami.

- Nawet o tym nie pomyślałem. - Zaprzeczył z uśmiechem, sugerującym coś wręcz przeciwnego. - Ale skoro

o tym mowa, to rzeczywiście, nie wzgardziłbym filiżanką gorącej herbaty i kawałkiem pysznego brzoskwiniowego ciasta.

- Nie ma mowy, Nash. Naprawdę jestem zajęta. Muszę dokończyć malowanie tej przekłętej łazienki.

- Nie pomyślałem, przepraszam. Pewnie ci bardzo przeszkadzam?

Wstał, a wtedy jego wspaniałe, silne ramiona znalazły się dokładnie na wysokości jej wzroku.

Nie odchodź, krzyczał jakiś głos w jej wnętrzu. Nie odchodź, zostań!

- Nash...

- Tak?

- Czy gdybym zajęła się pieczeniem ciasta, byłbyś skłonny pomóc mi przy remoncie łazienki?

Czy byłby skłonny? Dla tych ogromnych oczu o barwie miodu pomalowałyby nawet cały dom! A za jeden uśmiech na jej twarzy wyremontowałyby wszystkie budynki w miasteczku!

- O ile, oczywiście, nie masz dzisiaj nic innego do roboty - dokończyła.

- Wszystko już zrobiłem. Od tej chwili jestem cały twój.

W jego wzroku wyczytała, że mówi serio i ma na myśli nie tylko pomoc przy remoncie.

- Na pewno? Jestem dopiero przy framugach...

- Malowanie framug jest moim ulubionym zajęciem

- oświadczył z poważną miną. W jego oczach pojawił się figlarny błysk.

Podszedł, by wyjąć pędzel z jej ręki. Na jeden krótki moment ich dłonie zetknęły się i, jakby spragnione dotyku, przywarły do siebie szczelnie.

Stacey poczuła, jak cała drży.

- Chodź, pokażesz mi, od czego zacząć - odezwał się po chwili milczenia Nash.

Nieśmiałym ruchem otworzyła drzwi łazienki.

W umywalce leżały kwiaty, te same, które Nash rannikiem zostawił na schodach werandy.

Teraz zanurzył w nich twarz, wdychając przez chwilę upojny zapach, po czym spojrzał na Stacey i wyjął z bukietu jeden dorodny słonecznik.

Stała, oparta o ścianę, trochę jakby onieśmielona i niepewna, próbując przewidzieć jego ruchy. On zbliżył się do niej i nie pytając o nic, włożył kwiat w jej włosy.

Zrobiła ruch, jakby chciała wyciągnąć słonecznik, zawstydzona nagłą śmiałością Nasha.

- Nie, zostaw... - Złapał ją za rękę. - W twoich włosach wygląda wspaniale. Ty wyglądasz wspaniale.

- Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie tak zachłannie, jakby czekał na tę chwilę od dawna.

W głowie aż huczało mu od natrętnych myśli, setki słów, których znaczenia nie chciał rozumieć i nad którymi nie chciał się zastanawiać. Zbyt długo już był niewolnikiem rozsądku i poczucia odpowiedzialności.

Pochylił się nad nią i pocałował. Słodko i czule.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Stacey zamierzała właśnie dać wyraz swemu oburzeniu, kiedy na ustach nieoczekiwanie poczuła dotyk jego warg. Słodki i czuły. Miała wrażenie, że ziemia zatrzęsała się pod jej stopami.

Co on sobie, do diabła, wyobraża?! Pojawia się nie wiadomo skąd, zaprzęta swoją osobą całej jej umysł, potem rozmiękcza serce widokiem czterech bezbronych kociąt, a kiedy ona traci nad tym wszystkim kontrolę, kładzie rękę na jej biodrze i całuje!

Oparła dłonie na jego ramionach, by móc wydostać się choć na chwilę z żelaznych objęć i wykrzyknąć mu to wszystko prosto do ucha. Ale zamiast tego, sama nie bardzo wiedząc jak i kiedy, przywarła do niego jeszcze mocniej.

Delikatnie przebiegła palcami po skórze jego szyi. Pod opuszkami palców wyczuwała słodkie, kuszące ciepło.

Musi w tej chwili przestać! Oboje muszą przestać!

Obiecała sobie przecież, że tym razem nie da ponieść się emocjom, że zachowa rozsądek i zimną krew. A zatem powinna...

A zatem przymknęła powieki i właściwie nie rozumie-

jąc, co nią kieruje, dotknęła dłonią jego włosów. Zadziwiła ją ich niesłychana miękkość.

Jakby w odpowiedzi, Nash objął jej plecy drugim ramieniem. Na twarzy poczuła jego gorący oddech.

Nie miała odwagi spojrzeć mu teraz w oczy. Bała się, że z jej spojrzenia mógłby wyczytać to, czego pod żadnym pozorem nie chciała mu zdradzić.

- Czy ty kiedykolwiek... - przerwał na chwilę, by uspokoić oddech.

Odsunęła się od niego na odległość wyciągniętych ramion. Rozedrgana, próbowała przywołać się do porządku.

- Czy ja kiedykolwiek co? - spytała drżącym głosem.

- Czy kiedykolwiek... - odezwał się ponownie - czy kiedykolwiek zdarzyło ci się jeść brzoskwinie prosto z drzewa?

- Co takiego?! - A co to, do diabła, za pytanie? W takiej chwili? Stacey odskoczyła od niego jak oparzona.

Kątem oka dostrzegła w drzwiach jakiś ruch.

Cichutko i spokojnie, z kociakiem w ręku, oparta o furtkę, stała jej starsza córka. Pytanie tylko, od jak dawna?

- Clover, kochanie, czy coś się stało? - Głos Stacey zabrzmiał nienaturalnie, bardziej matowo niż zwykle. Nash, lekko zdezorientowany, odwrócił się w kierunku drzwi.

- Kotek się obudził. Pomyślałam, że może znowu jest głodny - odezwała się dziewczynka. Stacey bezwiednie odetchnęła z ulgą. Nie na długo jednak. - Czy Nash będzie naszym nowym tatusiem?



Stacey odchrząknęła, skonsternowana. Dopiero po chwili odważyła się na jakiś ruch. Ostrożnie zdjęła ze swych bioder ramiona Nasha. Tym razem nie powstrzymał jej.

Na jego twarzy malowało się wahanie, tak jakby nie umiał podjąć szybkiej decyzji - bieg schodami w dół, czy bardziej ryzykowny, lecz znacznie szybszy skok przez okno. Jednak było pewne, że marzył, by natychmiast znaleźć się daleko stąd.

- Nowym tatusiem? - Stacey powtórzyła za córką, nie bardzo wiedząc, co powinna właściwie zrobić. - Ależ skąd, kochanie... Byłam po prostu trochę smutna z powodu kociaków, które straciły mamusię, a Nash próbował mnie jedynie pocieszyć. To wszystko.

Clover nie wydawała się przekonana. Cóż, była przecież już blisko dziesięcioletnią panienką i zdaje się, że zaczynała właśnie rozumieć różnicę między pocieszeniem a... chwilą zapomnienia.

- Kiedy mama Sary Graham była pocieszana w ten właśnie sposób - odezwała się, i jak zwykle trudno było nie przyznać jej racji - to Sara miała potem nie tylko nowego tatusia, ale i maleńką siostrzyczkę.

Świetnie. Tego tylko teraz brakowało. Stacey rzuciła rozpaczliwe spojrzenie w kierunku Nasha, ale ten, jak gdyby nigdy nic, zajęty był głaskaniem kotka, leżącego na rękach Clover.

- A ty - usłyszała, jak zwraca się do dziewczynki - czy chciałabyś mieć maleńką siostrzyczkę?

- Nigdy w życiu. - Odpowiedziała zdecydowanie Clover. Stacey nadstawiła ucha. - Mam już jedną i wiem, jaki to koszmar... Co innego braciszek. Taki jak malutki Harry, na przykład.

Stacey, zamiast małego Harry'ego, chętniej widziałaby w swych ramionach słodziutką miniaturkę Nasha, ale mimo to odetchnęła z ulgą.

- Clover, włóż kotka z powrotem do pudełka - odezwała się stanowczo. Ta rozmowa powoli stawała się niebezpieczna. - I nie zapomnij o dokładnym wyszorowaniu rąk. Wodą i mydłem.

- Już idę. - Dziewczynka zrobiła krok do tyłu. - Nash, co mogło się przytrafić jego mamusi?

- Może jest ranna? - Widać było, że nie chce martwić dziewczynki.

- Ale... żyje? - W oczach Clover załśniły łzy.

- Na pewno, kochanie. - Nash podszedł i przytulił ją mocno. - Może najlepiej będzie, jak wrócę teraz do siebie i jej poszukam, co ty na to?

W spojrzeniu Clover pojawiła się wdzięczność, czego zupełnie nie można było powiedzieć o wzroku jej matki.

- Idź, jasne - odezwała się, trochę może zbyt napastliwie. - Poradzę sobie jakoś z tą przeklętą łazienką.

- Czy to oznacza, że z ciasta nici?

- Nadmiar słodczy mógłby okazać się dla ciebie zabójczy - odpowiedziała nieco dwuznacznie.

- Czyżby? Ale mimo to, nie pozwól, żeby owoce się

zmarnowały. - Spojrzał na nią z uśmiechem, zmierzwił włosy Clover i zniknął za drzwiami.

Stacey wciągnęła głęboko powietrze. Zdaje się, że na jakiś czas wystarczy jej mocnych wrażeń. I lepiej byłoby, gdyby Nash sam zajął się swoimi owocami, bo ona nie zamierzała odwiedzić go w najbliższej przyszłości. Ani nigdy później.

A niech to licha! Zupełnie nie rozumiał, jak mogło do czegoś takiego dojść.

Zdecydowanie nie powinien był jej całować. Nie powinien był dać się złapać w sidła namiętności. Nie tego przecież trzymał się całe życie, od czasu gdy uświadomił sobie, że dopóki jest sam, nikt i nic nie jest w stanie go zranić. Nigdy nie sprzeniewierzył się tej zasadzie... aż do dzisiaj.

Nash oparł głowę o opromieniony słońcem mur. Rozgrzane cegły niemal parzyły go w czoło. Zupełnie, jak wspomnienie niedawnego pocałunku, które płomieniem trawiło jego serce.

Zadziwiające, jak wiele zmian może zajść w ciągu zaledwie kilku dni. Zadziwiające, jak nagle można zacząć tęsknić za czymś, czego jeszcze do niedawna w ogóle nam nie brakowało.

Jak bardzo można tęsknić za ramionami kobiety, za jej ciepłem i dotykiem...

Zycie w dżungli miało jednak swoje uroki...

Jedyne, co może teraz zrobić, to jak najszybciej zapo-

mnieć. I pozwolić zapomnieć Stacey. Tak będzie najlepiej dla nich obojga.

Wyjeżdża w czwartek, jak postanowił. Nie będzie go tu co najmniej przez rok. Do czasu wyjazdu powinien się po prostu trzymać od nich z daleka, ot co. Z daleka, by nie zranić siebie, jej, a co może najważniejsze, dziewczynkę.

Podniósł się z miejsca.

Pójdzie i postara się odszukać tę kocicę, tak jak obiecał Clover. A kiedy ją odnajdzie, oddają w ręce szanownych pań O'Neill i jego noga więcej nie postanie w ich domu.

Stacey zajęła się malowaniem łazienki z całym zapachem, na jaki ją w tej chwili było stać. To przynajmniej nie wymagało myślenia. Jednak po dziesięciu minutach odłożyła pędzel na bok.

A może by tak zajrzeć do kociaków? - przebiegło jej przez myśl. Podeszła do rogu pokoju, gdzie stało pudełko. Spały smacznie.

Nie bardzo wiedząc, co ma ze sobą zrobić, przysiadła na chwilę na fotelu.

I chociaż bardzo starała się sobie wmówić, że to nieprawda, wszystkie jej myśli nieustannie krążyły wokół Nasha, a ściślej mówiąc, wokół jego nagiego torsu i namiętnych, jakby wprost stworzonych do pocałunków ust.

Obiecała sobie, że jej noga więcej nie postanie w jego ogrodzie, ale ostatecznie, co winne są biedne brzoskwinie?

Aż przełknęła ślinę na myśl o słodkim, soczystym miąższu. .. Tak, zdecydowanie grzechem byłoby je tam zostawić.

Już po chwili znalazła się w ogrodzie Nasha. Wszystko wyglądało teraz zupełnie inaczej, niż kiedy była tu po raz ostatni.

To był ogród, jaki pamiętała z czasów jego świetności, kiedy jeszcze Archie miał dość sił, by o niego dbać.

Przystrzyżona trawa, wyrównane alejki, poprzycinane gałęzie drzew...

Co tu się, do diabła, dzieje? Po co to wszystko, skoro już wkrótce na terenie pojawią się buldożery i zrównają wszystko z ziemią?!

Kompletne zaskoczenie nie przeszkodziło jej jednak zauważyć krzaczka czarnej porzeczki nieopodal. Wyszukawszy wzrokiem największą chyba kiść, zerwała ją i podniosła do ust.

Wielkie nieba, co za woń! Tak, jednego naprawdę będzie jej żal - owoców, których smaku z niczym innym nie dało się porównać.

Stacey sięgnęła po kolejną kiść.

O, a to co? Teraz dopiero zauważyła, jak barwnie prezentują się jej dłonie na tle soczystej zieleni krzaczka. Ciemnofioletowe plamy na rękach i paznokciach nie wyglądały, jakby miały za chwilę zniknąć.

Cóż, najwyżej Lawrence Fordham pomyśli sobie jutro, że ma do czynienia z kompletną idiotką i będzie błagał Dee o odwołanie sobotniej kolacji. W pewnym sensie było jej to nawet na rękę.

Najedzona i objuczona owocami wszelkiego rodzaju, wróciła do domu.

Położyła dziewczynki nieco wcześniej niż zwykle, sama również umościła się w łóżku.

Ciepła letnia noc lub może raczej nadmiar wrażeń ostatnich dni spowodowały, że chwilę potem zasnęła.

Od kilku ładnych godzin Nash był na nogach, szukając we wszystkich okolicznych rowach i kępach traw śladów kocicy.

To prawda, mogła nie żyć. Ale co, jeśli leżała gdzieś ranna i cierpiąca?

Powoli zapadał zmierzch.

Właściwie Nash tracił już nadzieję, kiedy nagle, pod niewysokim drzewkiem, zobaczył odbłask kocich oczu. To była ona.

Pomiauując cichutko, potłuczona i obolała, leżała unieruchomiona szczękami czyichś sideł.

Stacey otworzyła powieki. Zdawało się jej, czy rzeczywiście usłyszała przed chwilą jakiś hałas?

Coś uderzyło o szybę. Poderwała się z łóżka.

- Nash?

- Stacey, otwórz! - usłyszała jego głos. - Przyniosłem kotkę.

- Żyje?

- A jak myślisz? - Czy naprawdę sądziła, że mogłby przynieść jej martwego kota? - Stacey, otwórz!

Dopiero teraz dotarło do niej, co się dzieje. Zbiegła po schodach, starając się przy tym nie obudzić dziewczynek.

- Lekarz powiedział, że trzeba dać jej trochę mleka i zaaplikować antybiotyk. Mam go tu ze sobą - odezwał się Nash, kiedy otwierała przed nim drzwi wejściowe.
- Powiedział, że lepiej będzie, jeśli kotka od razu znajdzie się w pobliżu swoich dzieci i upewni się, że są bezpieczne.

Stacey przerzuciła wzrok z Nasha na zawiniątko w jego dłoniach. Zwierzę wyglądało jak siedem nieszczęść.

- Jak udało ci się ją znaleźć?
- Była w miasteczku, koło kościoła.
- To przecież kilka ładnych kilometrów stąd! - zawołała Stacey z podziwem w głosie. Nash nie był tylko pewien, czy to uznanie należy się jemu, czy raczej dzielnej kotce.

- Złapała się w czyjeś wnyki, biedactwo. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdybym jej dzisiaj nie odnalazł. No nic...

Dopiero teraz Stacey dojrzała na jego dłoniach dość głębokie ślady zadrapań.

- Zdaje się, że i tobie się oberwało? - Chwyliła go za rękę. - Boli?

- A, to... Skąd, nawet nie zauważyłem - skłamał.

Stacey sięgnęła do kredensu, wyciągając z niego niewielką apteczkę. Ze środka wyjęła wodę utlenioną i kilka opatrunków.

- Jak podejrzewam, nie zdezynfekowałeś jeszcze niczym tych ran?

- Po co? Sidła wydawały się być całkiem czyste - próbował żartować.

Dotknęła rany nasączonym wacikiem.

- Musi trochę poszczypać... - W jej spojrzeniu było coś takiego, że Nash gotów był co wieczór wyruszać na poszukiwanie zaginionych zwierząt.

- Co tam, do wesela się zagoi... - Zacisnął zęby, by nie syknąć z bólu.

Czując dotyk jej chłodnych palców na swych nadgarstkach, potrafiłby znieść o wiele więcej.

Stacey odrzuciła do tyłu niesfornie opadające na twarz włosy. Przez jeden krótki ułamek sekundy jej miękkie pukle musnęły jego policzek. Pachniała mydłem i pastą do zębów i mógłby przysiąc, że nigdy w życiu nie czuł bardziej podniecającego zapachu.

- Jesteś głodny? - Oczywiście, że był. Jeszcze nigdy, przenigdy nie czuł się tak głodny, jak teraz. Ale to nie jedzenie było tym, czego potrzebował. Pragnął Stacey. Tu i teraz, natychmiast. - Jadłeś coś?

- Stacey...

- Może usmażyć jajecznicę? - Mówiła za dużo, wiedziała o tym. Zawsze, ilekroć była zdenerwowana, zachowywała się w ten właśnie sposób. Jedyne, czego teraz była pewna, to to, że na wszelkie sposoby musi go przy sobie zatrzymać.

- Stacey, pójdę już, jest późno...

Kucnął nad pudełkiem ze śpiącymi w środku kotkami. Po chwili i ona znalazła się tuż obok.

- Stacey... - Zamierzał powiedzieć jej o czwartkowym wyjeździe, ale kiedy obróciła się w jego kierunku,



słowa zamarzyły mu na ustach. Położył dłoń na gorącym policzku Stacey.

- Stacey... -powtórzył.

- Dee! - usłyszał w odpowiedzi. - A co ty tu robisz?!

W drzwiach wejściowych stała niska kobieta.

- Przeprowadziłam samochód - odparła, najwyraźniej zaskoczona nie mniej od nich obojga. - Chciałam wrzucić kluczyki pod wycieraczkę, ale kiedy zobaczyłam światło, pomyślałam, że coś się stało.

- Skądże. - Stacey czuła się jak nastolatka przyłapaną przez matkę na sekretnym pocałunku z chłopakiem z sąsiedztwa. - Nie, wszystko w porządku. To z powodu kota.

- Kota? - Dee nie spuszczała wzroku z Nasha. - Przecież ty nie masz kota.

- To kotka z ogrodu Archiego. Ma małe. - Stacey czuła, że to tłumaczenie może wydawać się nieco pokrętnie. - Chcesz jednego? Harry by się ucieszył.

- Nie, dziękuję - odparła Dee z grobową miną. Nawet nie zerknęła w stronę pudełka. - A od kiedy to kotka z małymi, założywszy nawet, że to prawda, wymaga budzenia całego domu w środku nocy?

- To był szczególny wypadek. - Tym razem do akcji wkroczył Nash.

- A pan jest... - Dee obrzuciła go chłodnym, badawczym spojrzeniem.

- Nash Gallagher - przedstawił się, wyciągając rękę w jej kierunku. Gest został zignorowany.

- Nash pracuje w ogrodzie Archiego. - Stacey starała

się jeszcze uratować sytuację. - Pilnuje terenu przed przyjazdem koparek.

- Chcesz powiedzieć, że jest po prostu stróżem?

- Dee!

- W porządku, Stacey. - Dotknął jej ramienia, chcąc ją uspokoić. I zwracając się do Dee, dodał: - To nie jest nic, czego musiałbym się wstydzić. Tak, proszę pani. Pracuję jako robotnik w ogrodzie Archiego Baldwina. A Stacey była na tyle miła, że zgodziła się zająć biednymi kociakami.

- Nie wątpię. Odkąd pamiętam, zawsze miała słabość do pokrzywdzonych zwierząt i dobrze umięśnionych mężczyzn bez mózgu.

Nie do wiary, Stacey miała wrażenie, że słyszy własną matkę. Ze swą srogą miną i lodowatym spojrzeniem, Dee nawet wyglądała jak szacowna matrona.

- Pozwól, Nash, że ci przedstawię. To moja starsza siostra, Dee Harrington. Jest właśnie w drodze na lotnisko.

- Miło mi, pani Harrington - odezwał się, lecz widząc zniesmaczoną minę Dee, skierował się do wyjścia. - Pójdę już, Stacey.

- Ale... miałam nadzieję, że może zostaniesz na śniadaniu? - Odwróciła się, jakby chciała go zatrzymać.

- Innym razem. - W towarzystwie przemiłej pani Harrington nie mógłby przełknąć ani kęsa. - W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać.

- Czyli gdzie? - syknęła Dee, gdy tylko drzwi zamknęły się za Nashem.

- Mówiłam ci, że pracuje w ogrodzie za murem.
- Nie pytam, gdzie pracuje, tylko gdzie sypia...
- Nocuje w namiocie, który rozstawił w ogrodzie, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć.

- I zwyczajem stało się, że wpada do ciebie nad ranem na śniadanie?

- Dee, proszę cię, przestań. Oczywiście, że nie. To nie jest tak, jak myślisz.

- Więc jak, wytłumacz mi, proszę. - Dee najwyraźniej postanowiła polecieć następnym samolotem.

- Nash znalazł w ogrodzie małe kotki. Przyniósł je do mnie. Spędził całe godziny na poszukiwaniu ich matki, a kiedy ją odnalazł, przyniósł najszybciej, jak to możliwe. To wszystko.

- Moja biedna, mała siostrzyczka... Czy ty się naprawdę nigdy niczego nie nauczysz? - Przerwała dla zaczerpnięcia oddechu. - Nie mogę w to uwierzyć! Przecież on jest dokładnie taki jak Mike. Kulturysta pozbawiony mózgu. Wtedy przynajmniej usprawiedliwiało cię to, że byłaś młoda, ale teraz?

- Dee, posuwasz się za daleko!

- Daj spokój, do diabła! Widziałam, jak na niego patrzyłaś. Widziałam, jak on patrzył na ciebie! Tylko nie mów mi później, że cię nie ostrzegałam.

Stacey spuściła głowę. Nie miała już sił walczyć ze swoją siostrą.

- Nie rozumiesz? Dla niego byłaby to tylko zabawa. Wakacyjna przygoda, jeśli wolisz. - Dee najwyraźniej nie

zamierzała bawić się w dyplomację. - Skończy się praca, on wyjedzie, a ty zostaniesz ze złamanym sercem. I nie zaprzeczaj, znam cię.

Przez chwilę obie milczały, każda zajęta swoimi ponurymi myślami.

- Nie zapominaj Stacey, że jesteś matką. Musisz być odpowiedzialna - Dee odezwała się ponownie. - A nawet jeśli on postanowiłby zostać, to co? Jaka przyszłość mógłby ktoś taki zapewnić tobie i dziewczynkom? Znalazłabyś się w tym samym punkcie wyjścia, co z Mikiem w dniu ślubu. Ale nie zapominaj, że teraz masz już trzydzieści lat.

- Dwadzieścia osiem - uściśliła Stacey. Przynajmniej jeszcze przez najbliższe dwa tygodnie. - Dee, uspokój się. Nash wyjeżdża za dzień czy dwa, a ja wybieram się na spotkanie z Lawrence'em, pamiętasz? Dzisiaj wieczorem.

- W porządku. - Dee jakby odetchnęła z ulgą. - Proszę cię jeszcze o jedno, siostrzyczko. Połóż się spać. Odpocznij. Nie możesz przecież wyglądać jutro jak zdjęta z krzyża.

- W porządku, Dee. Zrobię, jak mówisz. Do zobaczenia po powrocie. I miłej zabawy w Paryżu!

O dwa słowa za dużo...

- Ja nie jadę tam się bawić! - Dee nie posiadała się z oburzenia. - Jadę pracować. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, traktuję życie poważnie. I ciebie też gorąco do tego namawiam.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Stacey czuła się nieludzko zmęczona. W głowie aż huczało jej od natrętnych myśli, a jedna była dziwaczniejsza od drugiej.

Nie poddawaj się, Stacey, nie pozwól umrzeć swoim snom... Weź się w garść, powinnaś być odpowiedzialna... Czuła, że jeszcze chwila, a zwariuje.

Wstała z łóżka i, chociaż wcale nie zamierzała tego zrobić, odsłoniła zasłonkę, szukając w ciemności odblasku światła po drugiej stronie muru.

Za dzień, dwa, Nash odejdzie tam, skąd przyszedł. Może i ona powinna zrobić to samo?

A może, wzorem swej starszej siostry, powinna teraz usiąść nad kartką papieru i sporządzić listę? Dee byłaby z niej na pewno dumna...

Listę tego, co chce osiągnąć w życiu, co naprawdę jest dla niej ważne, poczynając od rzeczy najważniejszych, poprzez te mniej ważne, a skończywszy na kompletnych głupotach, jak... Jak co, na przykład?

Sięgnęła ręką po swój stary notes, leżący na nocnym stoliku, tuż obok łóżka. Wyrwała jedną z kartek. Szybkim ruchem nakreśliła na niej kilka słów i aż uśmiechnęła się sama do siebie, czytając je ponownie.

- Plan życia Stacey O'Neill - usłyszała swój własny głos. - Przespać się z Nashem Gallagherem, zanim stąd wyjedzie.

W porządku, pomyślała. Ten punkt należy zaliczyć raczej do kategorii kompletnych głupot, nie mniej jednak była to pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy.

- Nie stracić domu - brzmiał kolejny punkt. - Skończyć remont łazienki, by móc wynająć pokój. Poślubić Lawrence'a Fordhama, ale tylko wtedy, kiedy oznaczałoby to, że dzięki niemu uda się zatrzymać dom. I ostatnia rzecz, założyć własną szkółkę roślin egzotycznych.

Zamyśliła się. Właściwie od razu mogłaby wykreślić punkty, które są kompletnie bez sensu i te, które są zupełnie nierealne. Po co niepotrzebnie rozbudzać nadzieje?

Pod punktem pierwszym i piątym narysowała grubą, czerwoną linię.

- Od razu lepiej - powiedziała cicho sama do siebie. W jej głosie pobrzmiwał smutek.

- Nic mi nie grozi, jeśli wejdem?

Stacey szybko zamknęła notes. Pomijając treść zapisów, już samo zajmowanie się czymś takim w słoneczne letnie przedpołudnie mogło być odebrane jako szaleństwo.

A przecież od tej chwili postanowiła być zrównoważoną, odpowiedzialną i pewną siebie kobietą. Kobieta, która twardo stąpa po ziemi.

Uniosła głowę. Jedno spojrzenie jego niebieskich oczu i... i ponownie musiała wczepić się w tę ziemię pazurami.

To zresztą pewnie z powodu lekkiego porannego chłodu poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła, a całe ciało przenika elektryzujący dreszcz.

- Grozi? A to z jakiego powodu? - Starła się, by jej głos brzmiał spokojnie i obojętnie.

Nash poprawił dłonią włosy, które niesfornie opadły mu na czoło, wystawiając tym samym silną wolę Stacey na najcięższą próbę.

- Twoja siostra nie pochwała, zdaje się, moich nocnych wizyt - odezwał się z uśmiechem. Stacey również roześmiała się. - Myślałem, że może na straży twego honoru postawiła jakiegoś tresowanego wilczura.

- Myślę, że Dee nie miała na myśli tylko nocnych wizyt. - I trudno odmówić jej racji, dodała w duchu. Nash Gallagher, od chwili, kiedy tylko się pojawił, oznaczał same kłopoty. - Ale nie, nie martw się. Dee jest w drodze do Paryża.

- Ach tak? Czy to jakiś dłuższy wyjazd? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Przykro mi, wraca jutro rano. Pojechała w interesach. - Jego brwi uniosły się wysoko. - Dee jest dyrektorem sprzedaży w sieci sklepów spożywczych Lawrance'a Fordhama.

- Ach tak? Właściwie nie mogę powiedzieć, żeby mnie to zaskoczyło.

- Tu są klucze. - Podała mu je ostrożnie, jakby bojąc się, że jakikolwiek dotyk z jego strony może grozić alergią. Mimo to ich dłonie zetknęły się i przez jeden krótki ułamek sekundy Stacey poczuła się jak w niebie.

- Przeniosłam koty do salonu. Chciałam, żeby czuły się... swobodniej. Zanim dziewczynki wrócą ze szkoły, powinnam już być z powrotem.

- Nie będzie cię cały dzień? - W jego głosie słychać było coś więcej niż tylko zwykłe zdziwienie.

- Nie co dzień mam do dyspozycji samochód. Muszę załatwić kilka pilnych spraw. A o co chodzi?

- Nie, nic. Miałem nadzieję, że zjemy razem obiecaną jajecznicę.

- Niestety. Właściwie już jestem spóźniona. - Sięgnęła po torebkę leżącą na sofie. - Ale ty sobie nie przeszkadzaj. Jajka są w lodówce.

Wiedziała co prawda doskonale, że pewnie nie to miał na myśli, ale w świetle rześkiego poranka wszystko wydawało się o wiele prostsze. Poza tym czeka ją dzisiaj obiecujące spotkanie z szefem siostry i doprawdy, nie może zwracać sobie teraz głowy Nashem.

- W czajniczku jest świeżo zaparzona herbata, jeśli miałbyś ochotę - rzuciła jeszcze, prawie biegnąc do drzwi.

- Stacey! - A wydawało się, że jest już bezpieczna, odporna na urok tego faceta. - Skoro masz zajęty cały dzień, to może moglibyśmy spotkać się później? Powiedzmy wieczorem po kolacji, kiedy już położysz dziewczynki?

Zycie było naprawdę ciężkie.

- Nie, Nash, to wykluczone. Dzisiaj wieczorem jestem już umówiona. - Czy naprawdę to powiedziała?

- Ach tak?



- To nic wielkiego, festyn w mieście. Obiecałam, że będę. - Stacey uśmiechnęła się niepewnie. - Może następnym razem...

Oboje wiedzieli doskonale, że ten „następny raz” nigdy się nie zdarzy.

Ponownie odwróciła się w stronę drzwi. Chciała wyjść jak najszybciej, zanim na dobre uświadomi sobie, co traci.

- Miałem tylko zamiar odwdzińczyć się za wczorajszą fachową pomoc lekarską - dobiegł ją głos Nasha.

- Drobiazg. Dla każdego innego zrobiłabym to samo.

- To nie zabrzmiało zbyt miło, wiedziała o tym. Ale, do diabła, ona sama również nie była w miłym, pogodnym nastroju! Była samotną matką dwóch dorastających córek i próbowała jakoś ułożyć sobie życie na nowo. To wszystko. A pan Gallagher nie pasował do żadnego z punktów w jej planie na życie.

- Na stole stoi ciasto brzoskwińowe. Częstuj się, kiedy będziesz miał ochotę.

Spojrzał na nią poważnie.

- Stacey... Czy wczoraj zrobiłem coś nie tak?

- Nie, dlaczego? Po prostu wczoraj... było wczoraj.

- Spojrzała na zegarek, bardziej po to, by uniknąć wzroku Nasha, niż po to, by rzeczywiście sprawdzić godzinę. - Naprawdę muszę już lecieć.

I szybko zamknęła za sobą drzwi.

Nash odprowadził ją wzrokiem. Kiedy wsiadła do samochodu i po chwili zniknęła za zakrętem, odszedł od okna.

Zajrzał do kotów. Właściwie wszystko wydawało się być w porządku. Zjadł więc jajecznicę, wypił filiżankę herbaty, a na deser spróbował kawałek ciasta.

Kiedy już pozmywał naczynia i zaczął zbierać się do wyjścia, w drzwiach wejściowych odezwał się dzwonek.

- Czy dobrze trafiłam? - W progu stała śliczna, młoda, dwudziestoletnia może dziewczyna. - Przeczytałam ogłoszenie o pokojach do wynajęcia. Czy to tutaj?

Jeszcze jakiś tydzień temu Nash byłby wniebowzięty, że może wyświadczyć przysługę kobiecie o urodzie greckiej bogini. Była jak najbardziej w jego typie. Ale on pragnął Stacey. I tylko jej.

- Owszem, wprawdzie trafiła pani pod właściwy adres, ale niestety, nie mogę pani pomóc. - Miał wrażenie, że on również wpadł jej w oko. - Musi pani pofatygować się jeszcze raz. Właścicielka domu powinna wrócić koło czwartej.

- Czy w takim razie mogę liczyć na telefon, jeśli zostawię panu swój numer? - odezwała się zalotnie, mrużąc przy tym oczy. Nash nie dałby głowy, czy aby na pewno miała na myśli wynajęcie pokoju.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał bez entuzjazmu.

Stacey wyszła od fryzjera całkiem zadowolona. W końcu nie codziennie miała okazję czuć się jak królowa angielska. Ułożona fryzura, manicure,, delikatny i twarzowy makijaż...

Z salonu fryzjerskiego udała się prosto do banku.

Chciała dowiedzieć się, jakie są szanse uzyskania kredytu na założenie szkółki roślin egzotycznych.

Nie była do końca pewna, czy to fryzura, makijaż, czy może raczej coś zupełnie innego sprawiło, iż nie wysłmano jej tam od razu. Co więcej, urzędnik w banku był na tyle miły, że poprosił, by wróciła za kilka dni, gdy już będzie miała gotowy biznesplan. Plan na życie, jak widać, nie wystarczał.

Prosto z banku pojechała do szpitala, odwiedzić Archiego Baldwina. Staruszek nie wyglądał najlepiej, ale wyraźnie ucieszył się na jej widok.

- Widzę, że twoja sytuacja finansowa uległa poprawie, mam rację?

- Dlaczego? - zapytała nieco zaskoczona, całując go serdecznie w policzek.

- Nie przyjechałaś tu przecież rowerem. Przynajmniej nie sprawiasz takiego wrażenia.

- Ach, to... - zaśmiała się. - Pożyczyłam samochód od siostry.

- A ja już miałem nadzieję, że może w twoim życiu pojawił się jakiś nowy mężczyzna.

- W takim razie przykro mi, że cię rozczarowałam.

- Gdybym tylko miał kilka lat mniej... Nie pozwoliłbym tak uroczej, młodej wdowie jak ty, umartwiać się w samotności. - Roześmiał się, lecz po chwili jego śmiech przeszedł w suchy kaszel. - No, ale powiedz lepiej, jak tam ogród.

- Prawdę mówiąc, doskonale. Archie, co się dzieje?

Najpierw słyszę, że w ogrodzie niedługo ma się rozpocząć budowa, a potem ktoś stara się przywrócić mu jego dawną świetność, pieląc grządki, kosząc trawę i przycinając drzewa. Przecież to kompletnie nie ma sensu.

- Co ty powiesz? Rzeczywiście ktoś się tym wszystkim zajął? - Na twarzy starszego pana pojawił się promienny uśmiech. - No, no, no...

- Zamierzam ruszyć ze swoją szkółką roślin egzotycznych. Pamiętasz, opowiadałam ci o tym. Muszę wiedzieć, co zamierzasz.

- Wreszcie się zdecydowałaś? To doskonale. A jeśli chodzi o ogród, musisz rozmawiać z tym, kto się nim teraz zajmuje. Jak mu na imię?

- Nash. Nash Gallagher. - Patrzyła uważnie, ale na dźwięk tego nazwiska na twarzy Archiego nie pojawiło się absolutnie nic. - Mogę cię o coś spytać, Archie? Komu sprzedałeś ogród? Może tam dowiem się czegoś więcej?

Na twarzy starca pojawił się tajemniczy uśmiech.

- Nie sprzedałem ogrodu, Stacey.

- Więc?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich korpulentna salowa.

- Czas już kończyć odwiedziny, panie Baldwin. Zaraz będzie obchód.

Kobieta wyglądała na osobę, której lepiej się nie sprzeciwiać. Stacey posłusznie wstała z miejsca.

- Porozmawiaj jeszcze raz z tym, jak mu tam, Galla-

gherem. Dowiedz się, co zamierza. A potem przyjdź i opowiedz mi o wszystkim! - zdążył jeszcze zawołać Archie, zanim salowa zamknęła drzwi za Stacey.

Nie sprzedał ogrodu? Więc co się tu, do diabła, dzieje?

Zdaje się, że biedny Archie wiedział na ten temat nie więcej niż ona.

Na twarzy Nasha pojawił się czuły uśmiech, kiedy usłyszał podekscytowane głosy dziewczynek. Wracały właśnie ze szkoły. Spieszyły się, by sprawdzić, co słychać u kocie rodziny.

Już prawie kończył. Sięgnął po butelkę z wodą i wypił kilka łyków, resztę wylewając na spocony kark. Dzień był naprawdę gorący.

- Mamusiu, czy Nash przyjdzie do nas dzisiaj wieczorem? - Stacey usłyszała głos Rosie.

Zadziwiająco, jak szybko go zaakceptowały i polubiły. Zadziwiająco i przerażająco zarazem.

- Dzisiaj wieczorem wychodzę, pamiętacie? Vera przyjdzie was popilnować. Obiecała, że przyniesie wam jakieś nowe kreskówki. Z całą pewnością będziecie się dobrze bawić.

Vera była miłą, młodą dziewczyną z naprzeciwka, która zawsze chętnie godziła się zostawać z dziewczynkami, ilekroć Stacey ją o to poprosiła. Współpraca może dlatego układała się tak dobrze, że takie sytuacje zdarzały się na szczęście bardzo rzadko.

Na szczęście albo raczej niestety, dopowiedziała sobie w duchu Stacey.

- A może Nash także mógłby przyjść i pooglądać z nami? - Rosie nie dawała za wygraną.

Cóż, Verze pewnie również spodobałby się ten pomysł. Nie mówiąc już o Nashu, pomyślała ponuro.

Robiło się późno. Stacey w biegu ściągnęła dzinsy.

Gdzie się, do cholery, podziała ta przekłeta sukienka?! Otworzyła gwałtownie drzwi łazienki i... zamarła.

Calusieńka łazienka, od podłogi, aż po sufit pomalowana była na piękny, słoneczny, żółty kolor.

Zupełnie, jak pole słoneczników, przebiegło jej przez myśl. Takich samych, jakie były w bukietcie od Nasha, który zresztą stał właśnie pośrodku, z pędzlem w ręku.

- Nash... Nash... - powtórzyła, jakby nie potrafiąc wykrztusić z siebie nic więcej. - Nie musiałeś...

- Wiem - odpowiedział. - Ale twoje ciasto z pewnością było tego warte.

- Naprawdę? - Więc próbował! - To znaczy, chciałam powiedzieć... Pewnie jesteś nieludzko zmęczony?

- Miałem nadzieję, że zdążę przed twoim przyjściem, ale w takim układzie dokończę jutro. - Zebrał pędzle i zamknął puszkę z farbą. - Zaraz będziesz mogła zacząć się szykować, chociaż moim zdaniem, i tak wyglądasz świetnie.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że przed chwilą zdjęła dzinsy.

Nash naprawdę był bardzo zmęczony. Najpierw ta nieprzespana noc, później całkiem pracowite popołudnie...

Przypomniał sobie minę Stacey. Już dawno nie był z siebie tak dumny, jak dzisiaj, widząc jej zachwycone spojrzenie, kiedy otworzyła drzwi łazienki.

Miał nadzieję, że ilekroć ponownie spojrzy na świeżo pomalowane ściany, przypomni sobie jego. Jego i chwilę, kiedy się pierwszy raz pocałowali.

Pierwszy i ostatni, skwitował gorzko w duchu.

Zresztą, to nie było tylko to. Równie ważna, a może nawet ważniejsza była troska, z jaką zawsze myślał o Stacey i jej dwóch małych córeczkach. Tak bardzo pragnął się nimi opiekować, dodawać im otuchy i pilnować, by nigdy, przenigdy nie pozwoliły umrzeć swym, najskrytszym nawet, marzeniom. Pragnął przy nich być.

Odkręcił butelkę. Może łyk zimnej wody pomoże mu dojść do siebie, ostudzić rozpalone serce? A może chociaż powinien dać zajęcie dłoniom, które nie mogą zapomnieć dotyku gładkiej, jedwabistej skóry pewnej kobiety...

Przejechał obiema rękoma po włosach, zaczesując je gładko do tyłu. Przez chwilę trzymał dłonie splecione na karku, jakby zastanawiając się, co właściwie mógłby ze sobą teraz począć, kiedy jakaś myśl, jak olśnienie, pojawiła się nagle w jego głowie.

Studentka! Dziewczyna, która przyszła dzisiaj przed południem w sprawie wynajmu pokoju.

Zupełnie, ale to zupełnie zapomniał o tym wspomnieć Stacey, a przecież mogło to być dla niej bardzo ważne!

Może nawet tak ważne, że powinien natychmiast, nie tracąc ani chwili, wrócić do niej do domu, złapać ją jeszcze przed wyjściem i... o wszystkim, począwszy od studentki, opowiedzieć?!

Stacey nie była do końca przekonana co do jedwabnego żakietu, który zostawiła jej siostra. To samo zresztą dotyczyło nowej fryzury, którą rano wyczarował na jej głowie fryzjer. W tym wszystkim po prostu nie była sobą.

Zdaje się jednak, że Lawrance Fordham mógłby poczuć się obrażony, gdyby na festynie pojawiła się w swojej najnowszej sukience z indiańskimi aplikacjami i z włosami związanymi z tyłu głowy zwykłą wstążką.

Okręciła się jeszcze parę razy wokół własnej osi, jakby chcąc oswoić się z nowym wyglądem. Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Stukając wysokimi obcasami, ostrożnie i nieco chwiejnie podbiegła do drzwi. W progu stał Lawrance.

- Och, dziękuję! - zawołała, na widok bukietu czerwonych róż. Była pewna, że to robota Dee.

- Drobiazg - odezwał się mężczyzna, zadowolony, że pozbył się kwiatów, nie musząc jednocześnie wygłaszać przy tym jakiejś miłej formułki. Tak, jak to pewnie sugerowała mu Dee.

- Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie, Lawrance. Opiekunka do dzieci jeszcze się nie pojawiła.

- Przepraszam, ale nie byłem pewien, gdzie mieszkasz. Wolałem się nie spóźnić. Uroczystość zaczyna się o siódmej. Cenię punktualność.



- Jednak mamy jeszcze mnóstwo czasu. - Stacey spojrziała na zegarek. - Poznaj moje córki. Clover i Rosie, podejdźcie tu, proszę.

- Clover i Rosie... Jak słodko. - Zdobył się na uprzejmość Lawrence.

Dziewczynki spojrzały po sobie wiele mówiącym spojrzeniem.

- Rozgość się, proszę. Zajmę się tylko kwiatami i zaraz wracam. - Stacey ukradkiem pogroziła palcem obu córkom i zniknęła w kuchni.

Otworzyła kredens, wyjęła wazon i odkręciła kran z zimną wodą.

- Zupełnie nie musiałeś tego ro... - zawołała, odwracając się w stronę salonu. Nagle słowa zamarły jej na ustach. W drzwiach wejściowych stał Nash.

W rozciągniętym podkoszulku, ze śladami farby na dłoniach i z rozwichrzonymi, stale opadającymi na czoło włosami wyglądał jak mały, nieporadny chłopczyk. Kompletne przeciwieństwo sztywnego i uroczego pana Fordhama, odzianego w elegancki garnitur i nieskazitelnie białą, aż sztywną od krochmalu koszulę.

Obaj panowie mierzyli się przez chwilę spojrzeniami.

- Och, Nash... - z trudnością wykrztusiła Stacey. - Przyszedłeś sprawdzić, co u kotów? Zdaje się, że wszystko w porządku.

- Ładny bukiet. - Słysząc było, że i on ma pewne kłopoty z głosem. - I ładna fryzura. Jakoś nie zauważyłem jej wcześniej. Pewnie z powodu tego malowania.

Policzki Stacey zrobiły się czerwone.

Widząc to, Lawrence podszedł i uspokajająco dotknął jej ramienia, jakby podświadomie starając się zasygnalizować otoczeniu: „ta pani jest ze mną”.

Stacey cofnęła rękę.

- Więc o co chodzi, Nash? - odezwała się ponownie, tym razem jakby nieco ostrzej.

- O nic - odpowiedział, wręczając jej jednocześnie jakiś zwitek papieru. Jego głos zabrzmiał chłodno i nieprzyjemnie. - Dzisiaj rano był tu ktoś w sprawie pokoju do wynajęcia. Zapomniałem powiedzieć ci o tym wcześniej. Proszę.

Mówiąc to, podszedł do niej i otwierając jej dłoń, położył na niej kartkę papieru.

Stacey stała jak sparaliżowana. Gdy zbliżył się, poczuła jego zapach. Była to zmysłowa mieszanina woni ziemi, trawy, słońca i czegoś, czego nie potrafiła nazwać. Jedyne, o czym teraz marzyła, to przyłgnąć do niego mocno całym ciałem i pozwolić się całować, całować, całować...

- To była jakaś studentka. Zostawiła swoje nazwisko i numer telefonu - dobiegł jej uszu głos Nasha.

- Nash... - odezwała się. Jak miała mu teraz wytłumaczyć, że nie wspomniała mu o wolnych pokojach na górze nie dlatego, że nie chciała go widywać, ale z zupełnie innego powodu... - To nie jest tak, jak ci się wydaje. Myślałam po prostu o kimś na stałe. Ty zamierzałeś przecież niedługo wyjechać, więc...

- Nie ma potrzeby, byś się tłumaczyła - przerwał jej

lodowato. I spoglądając na Lawrence'a, dodał: - Rozumiem doskonale, o co chodzi. Pomyliłem się, to wszystko.

Jakby nagle coś sobie przypominając, sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął z niej klucz.

- Proszę, to również należy do ciebie.

- Ależ Nash...

- Niestety, nie będę mógł jutro zaopiekować się kotami. - Po tych słowach odwrócił się i nie patrząc na nikogo, zniknął za drzwiami.

- Nash! - Zrobiła kilka kroków, jakby chciała go gończyć. Po chwili jednak zatrzymała się. Nash nie obejrzał się za siebie.

Kompletnie zaskoczony rozwojem sytuacji Lawrence rzucał zdezorientowane spojrzenia to na Stacey, to na drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Nash.

- Nash... - Tym razem z ust Stacey dobyło się już tylko żałosne westchnienie. Było jej najzupełniej obojętne, co sobie pomyśli o tym wszystkim ten wymuskany dyrektor z gładko zaczesaną grzywką. Prawdę mówiąc, w ogóle jej nie obchodził. Jedyne, co w tej chwili widziała, to malejąca z każdą sekundą sylwetka Nasha.

Więc dobrze, pozwoli mu odejść. Nie ma czasu, żeby mu teraz cokolwiek wyjaśniać. Jest umówiona. Obiecała. Ale niech no tylko spotka go jutro na swojej drodze! Wtedy będzie musiał wysłuchać tego, co ma mu do powiedzenia, już ona tego dopilnuje!

Na ścieżce pojawiła się Vera.

Stacey zerknęła na zegarek.

- Więc jak, idziemy? - rzuciła, roztrzęsiona jeszcze, w stronę Lawrance'a.

Przepuścił ją w drzwiach, po czym pokierował do zaparkowanego na podjeździe samochodu. Pewnym ruchem człowieka sukcesu otworzył przed nią drzwi czerwonego mercedesa.

Prawdopodobnie powinna być pod wrażeniem. Nie była. Prawdę mówiąc, na widok tego wysmakowanego luksusu zaczynała ją już powoli mdlić.

Stokroć, tysiąckroć bardziej wolałaby iść teraz dokądkolwiek na piechotę z Nashem, niż jechać tym czerwonym cackiem z gogusiowatym szefem swej siostry.

Co gorsza, najprawdopodobniej Nash był teraz przekonany, że randki z łysiejącymi milionerami są pewnie stałym punktem jej codziennych zajęć i że wszystko, co do tej pory o niej wiedział, należało poddać rewizji.

- Wygląda na to, że upały potrwają jeszcze jakiś czas.  
- Oczywiście, pogoda! Lawrance był zbyt dobrze wychowany, by pytać ją o Nasha. Chociaż z całą pewnością aż skręcało go z ciekawości, kim też mógł być mężczyzna, który otwiera sobie drzwi domu bez pukania, zwraca się do niej po imieniu i na dodatek, niczym obrażony kochanek, zwraca jej pęk kluczy.

- Nie mam pojęcia, nie słuchałam ostatnio żadnych prognoz - odparła beznamiętnie.

Ale z pewnością postaram się nadrobić ten brak do soboty, dodała w duchu. Wtedy przynajmniej część wieczoru powinna być udana.

- Miałbyś coś przeciwko, gdybym otworzyła okno?
- Nie ma potrzeby - odezwał się z dumą w głosie, naciskając jednocześnie jakiś guzik pod kierownicą. - Klimatyzacja. .. Dobrze wiem, jak wy, kobiety nie znosicie potarganych fryzur.

Wy, kobiety... Stacey omal nie prychnęła kpiąco.

Nie wiedział nic, absolutnie nic! Ale nawet nie starała się wytłumaczyć temu Casanovie, że zamiast jego bezdusznej klimatyzacji, stokroć bardziej wolałaby poczuć we włosach podmuch świeżego powietrza, a na twarzy, zamiast warstwy pudru, krople ciepłego, letniego deszczu.

Nie starała się, bo to nie Lawrence Fordham był tym, na którym jej zależało.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie minęła chwila, jak Nash znalazł się pod starym murem, oddzielającym posiadłość Satcey od ogrodu Archiego. Był zbyt roztrzęsiony, by robić teraz coś sensownego. Dlatego po prostu oparł się plecami o mur, próbując pozbierać rozgorączkowane myśli. A miał o czym myśleć.

Całe szczęście, że zdążył się w porę opanować i nie strzelił tego bezczelnego elegancika prosto w szczękę, kiedy tamten chwycił Stacey za ramię. A on sam chyba tylko wie, jak wielką miał na to ochotę.

Gdyby nie okazał się takim tchórzem, wykazał się odrobina odwagi, powiedziała by Stacey, co myśli o tym wszystkim. O tej misternej fryzurze, starannym makijażu i eleganckich ciuchach.

Czy ona naprawdę nie widzi tego, że jest piękna? I żeby to podkreślić, nie potrzebuje niczego, absolutnie niczego. Czy nie wie, że najładniej jest jej w zwykłym podkoszulku, dżinsach i z włosami związanymi z tyłu w prosty węzeł? A ślady farby na smukłych, delikatnych dłoniach nie tylko nie ujmują, lecz wręcz dodają jej wdzięku...

Musi chyba bardzo jej zależeć na tym panu eleganciku, skoro dla niego gotowa była na tak wiele...

Przecież on jest od niej przynajmniej dziesięć lat star-

szy. I pewnie z piętnaście razy bogatszy od nas obojga razem wziętych, pomyślał z gorzką ironią.

Właściwie to nawet rozumiał Stacey. Marzyła pewnie o tym, żeby Clover i Rosie niczego nie zabrakło. Sama z pewnością też już miała dosyć tych wiecznych długów i przeciągającego się remontu. Co więcej, dysponując zasobnym portfelem, pan elegancik byłby w stanie spełnić każde jej marzenie, a wśród nich również i to o szkółce roślin egzotycznych...

Jego dłonie same zacisnęły się w pięści. Podniósł je do góry i w bezsilnej złości uderzył kilkakrotnie o mur.

Nie czuł bólu. Jedyne, co do niego docierało, to przeraźliwy chłód w sercu. I jakaś tkliwość, która nie opuszczała go, odkąd po raz pierwszy ujrzał Stacey.

Musi koniecznie jak najszybciej stąd wyjechać, uciec z tego przekłętą miasta! Zapomnieć.

Wyjedzie jutro, zaraz po wykładzie. Wcześniej zajrzy jeszcze do Archiego. Niech staruszek robi sobie z ogrodem, na co tylko przyjdzie mu ochota. Jemu jest to najzupełniej obojętne. Zwłaszcza odkąd okazało się, że Stacey ma co do swojej przyszłości bardzo sprecyzowane plany.

Mimo wszystko odetchnął z ulgą.

Stacey rozejrzała się po sali. Wieczór był dużo przyjemniejszy, niż się tego spodziewała. Nie było w tym co prawda zasługi Lawrance'a Fordhama, który zaraz na początku wdał się w niezwykle interesującą dyskusję na temat hodowli kultur bakteryjnych w jogurtach z gościem

z Belgii, żeńskim odpowiednikiem samego siebie, jednak Stacey nie nudziła się.

Wręcz przeciwnie.

Dużą rolę odegrał niewątpliwie doskonale zaopatrzony bufet, pełen wszelkiego rodzaju przekąsek i drinków. Na samym ich próbowaniu upłynęła jej spora część wieczoru. Co więcej, częste wizyty przy barku zaowocowały nieoczekiwaną rozmową z, jak się później okazało, naczelną redaktorką „Maybridge Gazette”, sporego lokalnego czasopisma. Gdy pani redaktor usłyszała o planach Stacey odnośnie założenia szkółki roślin egzotycznych, obiecała jej pomoc.

Jednak pomimo natłoku wrażeń, czy może właśnie dzięki nim, w pewnym momencie Stacey poczuła, że pada z nóg. Nieprzespana noc i przygody z kocią rodziną również zrobiły swoje. Zdecydowała się podejść do Lawrance'a i dyskretnie przerwać mu rozmowę.

- Już? - zapytał, w połowie zdania przerywając wypowiedź na temat ubocznych skutków działania zbyt wysokiej temperatury w procesie dojrzewania serów. Jego towarzyszką przyjrzała się Stacey krytycznie. Rzeczywiście, wyglądało na to, że większość gości nawet jeszcze nie pomyślała o powrocie do domu.

- Nie przeszkadzaj sobie, Lawrance - rzuciła szybko Stacey, tłumiąc ziewanie. - Poradzę sobie.

Cóż, Dee nie będzie chyba miała powodów do narzekania. Wszystko poszło tak, jak sobie tego życzyła. Lawrance pojawił się na przyjęciu. A za niepowodzenie pozostawiając.



stałych planów kochanej siostrzyczki Stacey nie mogła przecież ponosić odpowiedzialności.

Poza tym musiała przemyśleć parę spraw. Jak na przykład tę... przygodę z Nashem. Ale tym zajmie się najwcześniej jutro z samego rana.

Teraz jedyne, czego jej potrzeba, to sen.

Nash wyprostował ramiona. Miał nadzieję, że pod gołym niebem będzie mu chociaż odrobinę chłodniej, ale niestety, przeliczył się. Pod głową miał miękką zieloną trawę, a w nozdrzach parny zapach lata. Stał z czoła krople potu.

Nagle na podjeździe od strony domu Stacey usłyszał warkot silnika samochodowego.

Nadstawił ucha. Kroki na ścieżce, skrzypnięcie drzwi - i w salonie na dole pojawiło się światło. Po dziesięciu minutach wszystko ucichło.

Uspokojony przymknął powieki. Była już w domu. Bezpieczna i... sama.

Nie wiedział, jak długo spał, kiedy nagle obudził go jakiś hałas. Poderwał się gwałtownie na równe nogi.

To namiot, szarpany silnym podmuchem wiatru, wywrócił się do góry nogami. Nash przecierał właśnie dłonią zaspane powieki, kiedy nagle na nagim karku poczuł grube, ciężkie krople deszczu. Błysnęło.

Stacey zerwała się z łóżka. Potężne, donośne uderzenie pioruna odbijało się jeszcze echem po okolicy. Za oknem szalała burza.

Podbiegła do okna.

W strugach deszczu i w kompletnych ciemnościach, od czasu do czasu tylko rozświetlanych blaskiem błyskawic, wszystko wyglądało dosyć przerażająco. Aż wzdrygnęła się na myśl, że mogłaby się teraz nagle jakimś cudem znaleźć na zewnątrz, zamiast we własnym suchym domu. Najgorszemu wrogowi nie życzyłaby noclegu pod gołym niebem.

Kolejna błyskawica rozcięła gwałtownym błyskiem ciemne, nocne niebo. Na ułamek sekundy, za rozszalałymi na wietrze koronami drzew, Stacey dojrzała zgarbioną męską postać. Nash!

Jak mogła o nim zapomnieć?!

Szybko narzuciła bluzę od dresu i niemal w biegu wsunęła adidas. Nie czas teraz na wykopywanie toporka wojennego, mogą z tym poczekać przynajmniej do jutrzejszego poranka.

Starając się nie zbudzić dziewczynek, ostrożnie uchyliła drzwi ich pokoju.

Rosie spała twardym, dziecięcym snem. Clover uniosła się na przedramieniu.

- Co to za hałas, mamusiu? - zapytała, przecierając powieki.

- Nic, nic, kochanie, to tylko burza. Wyjdę sprawdzić, czy z Nashem wszystko w porządku. Postaraj się znowu zasnąć.

Dziewczynka obróciła się na drugi bok. Po chwili Stacey usłyszała jej spokojny, miarowy oddech.

Wybiegła z domu, w ostatniej chwili zabierając z holu niewielką, podręczną latarkę.

Kątem oka dostrzegła, jak ścieżka przed domem powoli zamienia się w mały, bystry potok, ale nie dbała teraz o to. Co sił w nogach biegła przed siebie, w kierunku starego muru na końcu ogrodu.

Czuła, jak grube krople deszczu spływały lodowatym strumieniem po jej starannie ułożonej fryzurze wprost na kark. Przemoknięte do suchej nitki ubranie oblepiało ją niczym druga skóra.

- Nash! Nash! - Głos Stacey niknął w strugach deszczu. Jedyłą odpowiedzią było przeciągłe, złowróżbne zawroźwienie wiatru.

W końcu dobiegła pod mur. Spróbowała podskoczyć, by wspiąć się na wysoką ceglana ścianę, ale stopy ześlizgnęły się tylko z mokrej, omszałej powierzchni.

Po chwili udało jej się wspiąć się na yle, że przytrzymując się jedną ręką i nie wypuszczając latarki z drugiej, mogła wreszcie zajrzeć do ogrodu. Włączyła latarkę i skierowała promień światła w kierunku, gdzie jeszcze wczoraj stał namiot Nasha.

I nic. Ani śladu po namiocie, a tym bardziej po jego właścicielu.

- Nash! Nash! - Starła się oświetlić latarką jak największą przestrzeń.

Cisza. Niemożliwe przecież, żeby spał. Nie w tym huk. Musi widzieć ją albo przynajmniej światło latarki. Wysunęła ramię, żeby oświetlić jeszcze większą prze-

strzeń, lecz zanim zdążyła zorientować się, co się dzieje, ogarnęła ją ciemność.

Karetka podjeżdżała właśnie pod budynek szpitala.

Stacey jęknęła cichutko, próbując podźwignąć się na lewym łokciu.

Nash otarł dłonią zabłocone czoło. Na całym ubraniu miał świeże ślady ziemi.

- Jak to się mogło stać? Czy... czy to oznacza, że martwiłaś się o mnie?

- Jasne, że się martwiłam - odpowiedziała, lecz nie chcąc, by zabrzmiało to jak deklaracja uczuć, dodała:

- Obiecałeś przecież dokończyć malowanie łazienki, pamiętasz?

Zrobiła ruch, jakby zamierzała wstać, lecz natychmiast opadła z jękiem na plecy.

- Proszę leżeć spokojnie, pani O'Neill - upomniał ją sanitariusz. - Przynajmniej do czasu, aż nie stwierdzimy, co tak naprawdę jest złamane.

Złamane?! Więc to dlatego tak piekielnie boli?

- Co z Clover i Rosie?! - zawołała, tym razem nie próbując już wstawać.

- Vera jest z nimi - uspokoił ją Nash. - To ona wezwwała karetkę. Ją też obudziła burza. Stała akurat w oknie, kiedy wybiegałaś z domu. Widziała, jak spadałaś z muru.

- Ach tak? - Stacey usiłowała poskładać w całość to, co przed chwilą usłyszała. - Jak wrócę do domu, upiekę dla niej zapas ciasteczek na najbliższe dwa, trzy lata.

- Jak wrócisz do domu, to przez najbliższe dwa, trzy tygodnie będziesz wyłącznie leżeć - wszedł jej w słowo Nash. - Nie muszę oglądać zdjęcia rentgenowskiego, żeby stwierdzić, że masz złamaną rękę.

- Oj, niedobrze - Stacey jęknęła żałośnie. - Byłam umówiona z Lawrence'em na sobotni wieczór.

- Przykro mi - powiedział, choć z tonu jego głosu można było wywnioskować coś wręcz przeciwnego. - Może chcesz, żebym do niego zadzwonił?

- Nie, nie, nie trzeba - odparła. - Dee pomyśli sobie pewnie, że specjalnie złamałam rękę...

Z serdecznego, czułego niemal dotyku Nasha promieniowało ciepło i bezpieczeństwo. Stacey przymknęła powieki.

- Czy twoja siostra nie powinna wiedzieć?

- O czym? - zaśmiała się Stacey. - O tym, że dzisiejsza noc okazała się jeszcze ciekawsza od poprzedniej? Więc mówisz, że to ręka?

- Mogło być gorzej, Stacey. - Położył delikatnie dłoń na jej rozgrzanych policzkach.

Mogło być dużo gorzej, powtórzył w myślach. Jak to się, do diabła, stało? Jednego był pewien. To była jego wina i nigdy, przenigdy sobie tego nie wybaczy...

Karetką zatrzymała się na podjeździe.

- Jak myślisz, na długo mnie tu zatrzymają? - Spojrzała mu bezradnie w oczy. - Co wtedy stanie się z dziewczynkami? I z kotami?

- O nic się nie martw - uspokoił ją. - Ja się wszystkim zajmę.

O nic się martw, powtórzył w myślach. Zaufaj mi.

Stacey zniknęła za drzwiami izby przyjęć.

Miał nieodparte wrażenie, że minęły wieki, zanim uj-  
rzał ją ponownie.

- Złamanie na wysokości ramienia - oznajmiła idąca  
za nią pielęgniarka. - Będzie musiała pani spędzić u nas  
kilka dni, pani O'Neill. Spróbuję znaleźć dla pani jakieś  
miejsce. Ostatnio zrobiło się u nas trochę tłoczno.

- A czy nie mogłabym wrócić do domu?

- Ma pani kogoś, kto się panią zaopiekuje? - Pielęg-  
niarka zerknęła do karty Stacey.

- Na pewno uda mi się kogoś znaleźć.

- Proszę się nie martwić, siostró - odezwał się Nash.

- Będę przy niej do czasu, aż nie wróci całkowicie do  
zdrowia.

- Ależ... - próbowała zaprotestować Stacey.

- Nic nie mów. - Nie dał jej dokończyć. - Jestem ci  
to winien. Gdyby nie ja, nigdy by do tego nie doszło.

- A gdzie ty się właściwie podziałeś, kiedy rozpętała  
się burza?

- Byłem w altance. Zdażyłem przenieść tam namiot  
i resztę rzeczy.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że niepotrzebnie się  
o ciebie martwiłam?

Pytanie wydało mu się tak bezsensowne, że nawet nie  
zamierzał na nie odpowiadać.

- A może zgodzisz się wreszcie, że bym wynajął u cie-  
bie pokój? - spytał bez ogródek. - Mógłbym na przykład

zamieszkać z tą studentką, która zgłosiła się wczoraj rano, co ty na to?

- Idiota... - mruknęła niewyraźnie pod nosem.

- Rozumiem, że to oznacza zgodę. - Nash zwrócił się do siostry. - Gdzie moglibyśmy znaleźć jakiś środek transportu?

Pielegniarka wskazała głową kierunek.

Nash spojrział na Stacey. W jej oczach odbijał się nikły, jakby nieśmiały jeszcze cień cichej radości.

Stacey, leżąc wygodnie na sofie w salonie, odnosiła właśnie wrażenie, że dzisiejszego ranka cały świat nagle wywrócił się do góry nogami.

- Mamo, nie wiesz, gdzie są moje szorty? Dzisiaj mamy KF! - dobiegło jej uszu wołanie Rosie.

- Poszukaj w garderobie, w koszu z nie uprasowaną bielizną! - odkrzyknęła.

- Chcesz powiedzieć, że nie są jeszcze uprasowane?!

- W drzwiach pojawiła się przerażona twarz jej młodszej córki. - Nash, potrafisz prasować?

- Rosie, nie zwracaj Nashowi głowy. Jestem pewna, że poradzisz sobie sama - próbowała oponować Stacey.

Na schodach werandy zabrzmiał nagle czyjś znajomy głos. To Dee właśnie przyjechała po swój samochód.

Stacey westchnęła ciężko. W pierwszej chwili postanowiła udawać, że śpi, ale zdaje się, że nie na wiele by się to zdało.

- Stacey, czy możesz wytłumaczyć mi, co tu się wła-

ściwie dzieje?! - Dee pojawiła się w progu salonu. - Ten mężczyzna twierdzi, że złamałaś rękę. Co to za bzdury? I dlaczego, do diabła, on zajmuje się prasowaniem dziewczęcych szortów?!

- Mówiłam mu, że nie musi...

Dee, uznając, że sytuacja rzeczywiście jest poważna, przysiadła na brzegu łóżka.

- Opowiadaj. Co to wszystko ma, do diabła, znaczyć?  
- zapytała.

- Nic takiego, po prostu, miałam mały wypadek w poniedziałkową noc.

- W poniedziałek? Wystarczy, że nie ma mnie kilka godzin, a już wszystko się wali?

- Nie wszystko. Zawalił się tylko mur - zaproponowała Stacey. - Dojdę do siebie za dzień czy dwa.

- Nie wydaje mi się. - Dee przyjrzała się jej krytycznie. - Nie z taką wielką, brunatną śliwą pod okiem.

- Dzięki, Dee. Zawsze wiedziałas, jak dodać mi otuchy. - Od przyjazdu ze szpitala nie miała jeszcze okazji, żeby przyjrzeć się w lustrze swemu odbiciu. Teraz nie było już właściwie takiej potrzeby.

- Czy ty nie powinnaś być przypadkiem jeszcze w szpitalu?

- Nie mieli wolnych łóżek. Gdyby nie pomoc Nasha, wylądowałabym na połówce na szpitalnym korytarzu.

- Powinnaś była zawiadomić Tima - Dee udała, że nie usłyszała ostatnich słów. - Zresztą nadal nie jest na to za późno. Ty i dziewczynki pojedziecie ze mną.



- Nie trzeba, Dee...

- Bądź rozsądna, kochanie - Dee odezwała się kategori-  
cznym tonem starszej siostry.

- Nic z tego, Dee - Stacey ze zdziwieniem usłyszała  
swoją własną głosem. - Nash nam pomaga. I, muszę przyznać,  
wychodzi mu to całkiem nieźle.

- Ten mężczyzna... - zaczęła Dee.

- Ma na imię Nash - weszła jej w słowo Stacey. -  
Nash Gallagher. Kluczyki leżą na kredensie w kuchni.

Dee zatrzepotała bezradnie rękami, jakby nie wierząc  
własnym uszom.

- Pójdę już - zaczęła, nie ruszając się z miejsca - ale  
niedługo wrócę. Czy coś ci przynieść?

- Parę pomarańczy, jeśli nie sprawi to kłopotu.

- Jesteś pewna, że to wszystko? - zapytała Dee, nie-  
chętnie odwracając się w kierunku drzwi. Jednak po kilku  
krokach, jakby zdobywszy się w końcu na odwagę, zapy-  
tała: - Stacey, czy to zdarzyło się przed... czy po przy-  
jęciu?

- Nie martw się, Dee - Stacey roześmiała się. - Do-  
trzymałam umowy. I, muszę przyznać, wieczór był uroczy.

- Uroczy?

- W pewnym sensie... - uściśliła Stacey. - Myślę, że  
Lawrance również nie ma powodów do narzekań.

- W porządku. - Dee, nieco już spokojniejsza, za-  
mknęła za sobą drzwi. Nie minęła jednak chwila, jak po-  
nownie się w nich pojawiła. Tym razem z telefonem ko-  
mórkowym w ręku. - Masz. Na wszelki wypadek.

Stacey już, już miała na końcu języka pytanie, na wypadek czego, jednak w porę powstrzymała się. Mogła przysiąc, że doskonale znała odpowiedź.

- Daj spokój, Dee - próbowała zażartować. - Nie mam zamiaru przez cały dzisiejszy ranek odbierać telefonów do ciebie. Poza tym nie ma takiej potrzeby. Nash zostawił mi swój.

Zdrową ręką wskazała leżący na stolicku telefon, który Nash zostawił jej dzisiaj rano. Na wszelki wypadek.

- Więc jak? W czym mogę ci pomóc? - Nash stanął przy sofie.

- Pomóż mi wstać z tego przekłętą łóżka - Stacey odezwała się błagalnym tonem. - Muszę się odświeżyć.

- W porządku. Chwyć się mocno mojego ramienia. - Schylił się, by pomóc jej się podźwignąć.

Stacey oparła się na nim całym ciężarem ciała. Z jej ust posypał się szereg dźwięcznych, choć dosyć niecenzuralnych epitetów.

- No, no! Niezła jesteś! - zawołał Nash ze śmiechem.

- Lepiej sobie teraz ze mnie nie żartuj! - ostrzegła go Stacey.

- Nie musisz się tak złościć. Złość piękności szkodzi. Chociaż wypada wspomnieć, że ten siniak pod okiem, barwy dojrzałej śliwki, również ci jej nie dodaje.

Stacey wykonała ruch, jakby chciała w niego rzucić stojącą na stoliku lampką, ale zamiast tego jęknęła tylko cicho.

Nash zacisnął mocno ramię na jej tali. Zrobili razem kilka kroków do przodu. Od czasu do czasu z ust Stacey dobywało się bolesne westchnienie. Prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, że jest z nią aż tak źle.

W końcu udało im się dojść do łazienki. Nash delikatnie posadził Stacey na stojącym pod umywalką krzeselku.

- Ostrożnie - ostrzegł z troską.

Odkręcił kran i zanurzył brzeg ręcznika w ciepłej wodzie, po czym namydlił go.

- Mogę? - zapytał. - Chyba że chcesz dzwonić po siostrę.

W odpowiedzi uśmiechnęła się tylko. Wilgotnym ręcznikiem dotknął jej twarzy.

Przymknęła powieki. Dziwne, ale nie czuła skrępowania. Właściwie było tak, jakby go znała od lat. Czuła się jak mała bezbronna dziewczynka, którą nieoczekiwanie ktoś się zaopiekował.

Przemył jej twarz ciepłą wodą. Ponownie zamoczył pod kranem brzeg ręcznika i odgarnął dłonią włosy z jej karku. Zdziwił się, jak były miękkie i delikatne. Przejechał wilgotnym ręcznikiem po długiej smukłej szyi, a następnie obmył jej nagie ramiona. Czuł się tak, jakby nagle dostał pod opiekę małą bezbronną dziewczynkę.

Kiedy skończyli, podał jej czystą koszulę.

Mimo że początkowo upierała się, że posiedzi trochę na ławce, w cieniu werandy, z ulgą wróciła do łóżka. Niemal bez sił opadła na poduszki.

- Rozczesać ci włosy? - zaproponował, jakby była to jedna z najbardziej naturalnych rzeczy na świecie.

- Proszę - odpowiedziała równie naturalnie. - W szufladzie kredensu powinieneś znaleźć jakiś grzebień.

Wśród całego bogactwa przeróżnych spinek i wstążek, z których przynajmniej połowa musiała należeć do Rosie, na dnie szuflady odnalazł nieoczekiwanie jakieś zdjęcie.

- To pewnie twój mąż? - Z fotografii spoglądał na niego przystojny, dobrze zbudowany mężczyzna.

- Tak, to Mike - odpowiedziała.

- Musi ci go bardzo brakować... - Zapadła długa chwila ciszy. - Przepraszam, pewnie nie masz ochoty o tym mówić.

- Nie, nie, w porządku - odezwała się w końcu. - Potrafię sobie z tym poradzić. Co innego dziewczynki... Poza mną nie mają nikogo.

- Wiem, jak to jest, kiedy tęskni się za rodzicami. Moi nigdy mnie właściwie nie zauważali. Jedyne, co ich interesowało, to pieniądze.

- Przykro mi...

- Niepotrzebnie. Na szczęście miałem wspaniałego dziadka.

Nash schował fotografię ponownie na dno szuflady, wyciągając z niej jednocześnie kilka dziecięcych spinek.

- No, nareszcie znalazłem coś odpowiedniego. Życzysz sobie różyczki czy stokrotki?

- Poproszę stokrotki - uśmiechnęła się.

- A na śniadanie?

- Nie pamiętam już, kiedy ostatnio ktoś proponował mi śniadanie do łóżka!

- Więc? Myślę, że jajecznicą z dwóch jaj będzie w sam raz, co ty na to?

- Wspaniale!

Nash zebrał starannie jej włosy z tyłu głowy i, ostrożnie, by nie sprawić jej bólu, spiął spinką. Ujarzmione, ponownie opuścił na kark.

Rzeczywiście, wspaniale...

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Stacey przebudziła się. Widocznie zaraz po śniadaniu musiała zapaść w dość długą drzemkę, bo kiedy teraz zerknęła przez okno, słońce stało już całkiem wysoko na niebie. Przeciagnęła się.

Dopiero teraz jej wzrok zatrzymał się na ogromnym, starannie ułożonym bukietcie czerwonych róż, stojącym na stoliczku przy sofie. Z jednej z gałązek zwisał mały, prostokątny bilecik. Nie musiała nawet wyciągać po niego ręki, by wiedzieć, kto przysłał kwiaty.

*Z życzeniami jak najszybszego powrotu do zdrowia, Lawrance.*

Mogłaby przysiąc, że pismo należało do jej siostry. Widocznie biedna Dee uznała, że cel uświęca środki.

- Nash!

- Tak? - Pojawił się tak szybko, jakby, czekając na jej przebudzenie, stał za drzwiami.

- Mógłbyś to stąd zabrać? - zapytała, wskazując ręką bukiet. - Pachną tak intensywnie, że aż rozboleła mnie głowa.

- Co tylko sobie życzysz. - Zdjął wazon ze stolika.

- Co powiesz na miejsce na kuchennym stole?

- Zgoda - uśmiechnęła się. - Ale gdyby Lawrance

zdecydował się mnie odwiedzić, będę mogła liczyć na twoją pomoc w zatarciu śladów?

Znając Dee i jej pomysłowość, była pewna, że trzeba spodziewać się wizyty ich obojga jeszcze dzisiaj.

Nash przytaknął energicznie.

W czarnym, bawełnianym podkoszulku wyglądała wspaniale. O wiele za przystojnie jak dla kobiety, która ze wszystkich sił próbuje zachować rozsądek i której, co tu ukrywać, przychodzi to z coraz większym trudem.

- Co takiego? - Poczuli na sobie jej wzrok.

- Nie, nic. - Potrząsnęła gwałtownie głową. - Wydawało mi się, że masz coś we włosach.

Może jednak powinna wezwać Dee na pomoc? Może siostra miała rację, mówiąc, że Stacey właśnie na własne życzenie pakuje się w kolejne kłopoty.

- Masz ochotę na coś do jedzenia czy poczekaś na dziewczynki? - Głos Nasha przywołał ją do rzeczywistości. - Myślałem o pizzy, ale jeśli masz inne życzenie...

Nagły dźwięk dzwonka telefonu przestraszył ich oboje.

- To do ciebie. - Stacey podała Nashowi aparat komórkowy.

- Tak, słucham? - odezwał się.

- Doktor Gallagher? - W słuchawce rozległ się miły kobiecy głos.

- Przy telefonie.

- Mówi Jannie Taylor z Towarzystwa Botanicznego. Dostaliśmy pana wiadomość z prośbą o przełożenie daty powrotu do bazy. Czy koniec miesiąca pana zadowala?

Nash spojrział na Stacey. W jej oczach zobaczył niemy znak zapytania.

Koniec miesiąca był już za dziesięć dni. Pozostałoby o wiele za mało czasu, by pomóc Stacey stanąć na nogi. O wiele za dużo jednak na bicie się z myślami...

- Obawiam się, że będziecie musieli poszukać kogoś na moje miejsce - odezwał się w końcu.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła chwila ciszy.

Nash nie spuszczał wzroku z twarzy Stacey, sam właściwie nie do końca wierząc w to, co powiedział.

- Przekażę pana sugestie zarządowi i postaram się odzwonić. - Nash usłyszał dźwięk odkładanej słuchawki.

Stacey patrzyła na niego badawczo, jakby usiłując z jego oczu wyczytać wszystko, czego nie mogła się domyślić.

Tak właśnie nauczyła się postępować z Mikiem, kiedy nie znajdowała już innego sposobu na poznanie ścieżek, którymi chadzał. Ale z Mikiem to było łatwe, nie to, co z Nashem.

- To z Towarzystwa Botanicznego w Peru. - Nash odłożył telefon na stół. - Chcą, żebym poprowadził najbliższą ekspedycję.

- Z Towarzystwa Botanicznego?! - wykrzyknęła. Do tej pory jakoś nie do końca wierzyła w tę jego karierę naukową. - I... odmówiłeś im?

- Tak - odparł krótko. - Ty potrzebujesz mnie teraz bardziej.

- Jasne, świetnie! - zachnęła się. - Nie widzisz, że ze mną jest już całkiem niezłe?



Nie odpowiedział.

- Muszę iść do toalety. - Spróbowała się podnieść.

Musiała czuć się rzeczywiście o wiele lepiej, bo niemal bez wysiłku oparła się na zdrowym przedramieniu.

Pochylił się nad nią, by mogła położyć rękę na jego barku. Sam mocno objął ją w pasie i podźwignął do góry.

Musnęła niechcący policzkiem jego twarz. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że dotyka jedwabiu.

Podniosła wzrok. W jej spojrzeniu błąkał się uśmiech.

Jego oczy były poważne, jakby skupione. Nie odpowiedział uśmiechem na jej uśmiech. Zamiast tego powoli zbliżył usta do czoła Stacy i delikatnie ucałował.

- Nie przesadzaj z tą samodzielnością - odezwał się ciepło. I, nie pytając o pozwolenie, chwycił ją na ręce i zaniósł do łazienki.

Niemal nie wierzyła własnym oczom, kiedy otworzył drzwi i zatrzymał się w progu, wciąż nie wypuszczając jej z rąk.

Wnętrze jaśniało niczym ukwiecona łąka w upalne, letnie popołudnie. Wszystko było całkowicie odnowione. Działał nawet ten wiecznie zepsuty kinkiet nad lustrem, o którym Stacey myślała, że nadaje się już jedynie do wyrzucenia. Na parapecie pod oknem stał niewielki bukiecik stokrotek.

- Nash! Wszystko jest... przepiękne!

Uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony i dumny z siebie jak paw.

Postawił ją ostrożnie na ziemi, pilnując, by złapała równowagę. Dla pewności przytrzymała się jego ramienia.

Rozglądała się, jakby odrobinę niepewnie, z niedowierzaniem, ale widać było, że jest szczęśliwa.

Przez otwarte okno dolatywały do nich jakieś odgłosy z końca ogrodu. Jej wzrok podążył w tym kierunku.

- A to co? - Przy na wpół rozebrany murze pracowała grupka mężczyzn. - Skąd oni się wzięli?

- A, to... Zapewne nowy właściciel postanowił naprawić szkody. Należy ci się zresztą od niego odszkodowanie.

- Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. - Powinnaś dostać je w ciągu kilku dni.

- Odszkodowanie?! - Stacey nie wierzyła własnym uszom. - Przecież to była moja wina.

- Mur był w katastrofalnym stanie. Całe szczęście, że wypadek nie przydarzył się Clover albo Rosie. Wszystko mogłoby się wtedy skończyć o wiele gorzej.

- Gdybym nie wspinała się na mur, nic by mi się nie przytrafiło. Dziewczynkom również zabroniłam się do niego zbliżać. To była moja wina - powtórzyła z przekonaniem. - Więc mówisz, że nowy właściciel wkroczył już na teren ogrodu. Szkoda.

Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał poważnie w oczy.

- Stacey, nie musisz się wyprowadzać, jeśli nie chcesz.

Pokręciła przecząco głową.

- Po poniedziałkowej nocy podjęłam parę ważnych decyzji.

- Rozumiem...

Nash otworzył drzwi kuchni. Za stołem siedziała Dee Harrington.

- O, dzień dobry. Nie słyszałem, żeby ktoś otwierał drzwi - odezwał się, nie kryjąc zaskoczenia. - Stacey jest właśnie w łazience na górze. Zawołać ją?

- Nie przyjechałam tu rozmawiać ze Stacey. Przyjechałam pomówić z tobą - odpowiedziała twardo. - Możemy mówić sobie po imieniu?

- Jasne, na imię mi Nash. - Ukłonił się jej. - A czy ja mogę zaproponować ci filiżankę... czegokolwiek?

- Proszę, oszczędź sobie tych podchodów - odezwała się sarkastycznie. - Ja nie jestem Stacey, a ty nie jesteś w moim typie.

Nash odsunął sobie jedno z krzeseł i usiadł naprzeciwko Dee.

- Możesz mi powiedzieć, co cię właściwie tak wrogo nastraja? - Oparł obie ręce o stół.

- Co? Pan, panie Gallagher, pan - odparła bez namysłu. - Stacey miała już raz złamane serce. Ledwo się wtedy pozbierała. Nie chciałabym, żeby musiała przechodzić przez coś takiego po raz drugi.

- A dlaczego właściwie myślisz, że ja mógłbym złamać jej serce?

- Zbyt jesteś podobny do Mike'a, żeby miało być inaczej. Te same jasne, lekko falujące włosy, ten sam kolor oczu, nawet ta sama figura. I, jak przypuszczam, to samo lekkomyślne podejście do życia. Pewnie lubisz również wszystkie te zabawki dużych chłopców, a w szczególności

motocykle, co? - Przerwała na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu. - Stacey była dobrą żoną. Długo opłakiwała śmierć Mike'a. Tym razem zasługuje na coś lepszego.

- I ty zrobisz wszystko, żeby jej to zapewnić, tak?

- A ty stałbyś beczynnienie, gdyby to chodziło o twoją siostrę? - odpowiedziała zaczepnie. - Lawrence Fordham jest dobrym człowiekiem. Mógłby zapewnić jej i dziewczynom godziwą przyszłość. Ale nie wtedy, kiedy ty będziesz w pobliżu. Stacey potrzebuje kogoś, kto pomógłby jej rozwinąć skrzydła. Nie jesteś odpowiednim facetem, uwierz mi...

- Rozumiem pani troskę o siostrę, pani Harrington. Ale teraz wybaczy pani... - podniósł się z miej sca - ... muszę zająć się paroma sprawami, zanim dziewczynki wrócą ze szkoły. Powiadomić Stacey o pani wizycie czy raczej wołałaby pani, żeby to pozostało między nami?

Dee odsunęła krzesło i wstała od stołu. Na jej twarzy pojawił się nieprzyjemny grymas.

- Widzę, że jesteś bardzo pewny siebie - niemal warknęła. - Wydaje ci się, że jesteś niezwykle sprytny, co? Samotna wdowa z własnym domem... Może i udało ci się zawrócić w głowie biednej Stacey, ale jednego możesz być pewien - ze mną na pewno nie pójdzie ci tak łatwo.

Zrobiła parę kroków w kierunku drzwi, ale od progu krzyknęła jeszcze:

- Dobrze panu radzę, panie Gallagher, niech się pan stąd zabiera najbliższym pociągiem i nigdy więcej nie

wraca. Bo jeśli ma pan cokolwiek do ukrycia, może być pan pewien, że ja się o tym dowiem!

- W porządku. Tylko kto wtedy zajmie się Stacey?

- Słysząc było, że i on powoli traci cierpliwość. - Ty czy może szanowny pan Lawrence?

- Zabiorę Stacey do siebie. Jest mnóstwo ludzi, którzy mogliby się nią tam zająć.

Na piętrze rozległo się skrzypnięcie drzwi. Stacey wychodziła z łazienki.

- Nash! - rozległo się jej wołanie. - Nash! Możesz pomóc mi zejść?

- Już idę, Stacey. Masz gościa! - odrzyknął Nash, uśmiechając się przy tym zagadkowo do Dee. - Pokaż się, żeby udowodnić, że nie zrobiłem ci, jak dotąd, żadnej krzywdy.

- Lawrence, niepotrzebnie się fatygowałeś. Wystarczyłyby kwiaty. - I, na wypadek, gdyby zaczął się zastanawiać, gdzie właściwie stoją, dodała szybko: - Są w kuchni na stole. Tak ładnie wyglądają w tym dużym wazonie po babci...

Stacey leżała na sofie, z nogami ułożonymi wygodnie na oparciu. Lawrence stał tuż obok. W powietrzu unosiło się silne, niemal wyczuwalne napięcie.

- Gdzie jest Nash? - Stacey odwróciła się w kierunku Clover i Rosie, zajętych właśnie oglądaniem kreskówek w telewizji.

- Jest w ogrodzie. Powiedział, że jeśli damy mu pół

godziny, przyszykuje jakąś niespodziankę - odpowiedziała jednym tchem starsza z dziewczynek. - I to jeszcze przed kolacją.

- Ach tak? - Stacey odwróciła się ponownie w kierunku Lawrence'a. - Jeszcze raz dziękuję za kwiaty. Są naprawdę piękne.

- Rzeczywiście? Dee się wszystkim zajęła. Jest naprawdę dobra, jeśli chodzi o te sprawy.

- Ach tak? - Stacey odniosła wrażenie, że powtarza się jak stara, zacięta płyta.

- Dee zawiadomiła mnie o twoim wypadku - ponownie odezwał się Lawrence. - Ale nie miałem pojęcia, że to coś aż tak poważnego...

- Najgorsze, że chyba nie będę mogła towarzyszyć ci w sobotni wieczór - zaczęła z wahaniem.

- Och, o to się nie martw. Jak tylko dowiedziałem się o wypadku, zaraz zadzwoniłem do Cecile. Zgodziła się zastąpić cię.

- Doprawdy? - udała życzliwe zainteresowanie.

To dziwne, ale było jej trochę przykro, że Lawrence wcale nie wygląda na rozczarowanego lub zmartwionego z powodu takiego obrotu rzeczy. - A kto to jest Cecile?

- Poznałaś ją w poniedziałek na przyjęciu, pamiętasz? Zamieniłem z nią wtedy parę słów.

Ładne mi parę słów, zakpiła w duchu Stacey.

- A tak, przypominam sobie. Zdawało mi się tylko... czy Cecile rzeczywiście pochodzi z Belgii? - Lawrence

przytaknął. -I przeleci pół świata, żeby zjeść z tobą obiad w sobotni wieczór?!

- Hm, tak naprawdę zamierza zostać na cały weekend.

- Na policzkach Lawrance'a pojawił się ledwie widoczny rumieniec.

- Mówiłeś już Dee? - zapytała ostrożnie. Lawrance odwrócił spłoszony wzrok. - Odwagi, nie może przecież cię zabić. Jesteś w końcu jej szefem.

Nash przysiadł na niedużym pieńku. Jeszcze tylko parę pociągnąć papierem ściernym dla wyrównania wszystkich nierówności i laska będzie gotowa. Aż uśmiechnął się na myśl, jaką niespodziankę sprawi Stacey.

Był pewien, że Dee Harington potrzebowała nie więcej niż tydzień, żeby poznać całą prawdę o nim. Miał nadzieję, że nie więcej zajmie Stacey dokonanie wyboru między nim a Lawrance'em Fordhamem.

- Stacey, muszę jutro załatwić parę spraw w miasteczku. - Nash podszedł do sofy, na której leżała. - Będę o wiele spokojniejszy, jeśli ktoś przy tobie będzie przez ten czas. Zawiadomić Verę czy twoją siostrę?

- A jak myślisz? - Spojrzała na niego ze znaczącym uśmiechem.

- W porządku. Postaram się, by Vera przyszła z samego rana, jeszcze zanim dziewczynki wyjdą do szkoły.

- Nash, ja naprawdę czuję się już o wiele lepiej...

Szczególnie teraz, odkąd mam tę laskę. - Rzeczywiście, ćwiczyła chodzenie przez cały poranek.

- Na wszelki wypadek zostawię ci swój telefon.

- Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku, ale dziękuję - uśmiechnęła się. - Zresztą, muszę się przyzwyczajać. Kiedy stanę się już dumną właścicielką szkółki roślin egzotycznych, pewnie będę również musiała stać się nie mniej dumną posiadaczką telefonu komórkowego.

- Co takiego?

- Byłam nawet w tej sprawie w banku i, wyobraź sobie, nie wyśmiali mnie. Co więcej, powiedzieli, żebym sporządziła biznesplan. Wtedy będą mogli rozpatrzeć moje podanie. I wcale nie wyglądało na to, że żartują... - Sięgnęła po filiżankę świeżo zaparzonej herbaty, którą Nash postawił przed chwilą na stoliczku. - Archie też mówi, że to dobry pomysł. Według niego mam jednak trochę za mało terenu jak na tak ambitne przedsięwzięcie.

- Archie?

- Archie Baldwin, były właściciel ogrodu. Odwiedziłam go kilka dni temu w szpitalu. Miałam nadzieje, że będzie wiedział coś więcej na temat przyszłych losów ogrodu. Jak na przykład, dlaczego zająłeś się sprzątaniami terenu, skoro ma on zostać sprzedany pod budowę biurowców. - Spojrzała na niego badawczo, ale z jego twarzy nie można było wyczytać absolutnie nic. - Liczyłam też na to, że pomoże mi porozumieć się z nowym nabywcą. Może zgodziłby się odsprzedać mi kawałek gruntu po promocyjnych cenach.



- Czy to część planu?
- Yhm...
- I co Archie na to?
- Nic. Poradził mi, żebym porozmawiała z tobą.
- **I?**

- Och, wiesz, jak to było... Najpierw poniedziałkowy festyn, później ten wypadek, szpital... Zupełnie nie miałam do tego głowy. - A może po prostu bałam się usłyszeć twoją odpowiedź, dodała w duchu.

Podszedł do niej i chwycił za rękę.

- Przepraszam...
- Przepraszasz? Za co? - Jego głos brzmiał tak żałośnie, że spojrzała na niego wystraszona.

- Powinienem być ci powiedzieć. Właściwie sam nie wiem, dlaczego do tej pory tego nie zrobiłem.

- Powiedzieć? O czym? - Z wrażenia aż uniosła się na ramieniu.

- Archie Baldwin jest... moim dziadkiem.

- Archie? - Stacey nie posiadała się ze zdumienia. - Więc dlaczego mi nie powiedział? Myślałam, że jest moim przyjacielem. A ty tymczasem...

W odpowiedzi uniosł w górę jej dłoń i położył ją sobie na sercu, jakby chcąc w ten sposób przekazać wszystko, co teraz czuł.

- W tym ogrodzie spędziłem całe dzieciństwo. - Nie odważył się podnieść wzroku. - Czułem, że jestem tam... bezpieczny.

Na chwilę zapadła cisza, chociaż Stacey mogłaby przy-

siąc, że słyszy burzę myśli, która rozpętała się teraz w głowie Nasha.

- Dwadzieścia lat temu... - odezwał się ponownie - doszło do strasznej rodzinnej awantury. Miałem wtedy zaledwie trzynaście lat. Przy tej okazji padło wiele słów, które nigdy, przenigdy nie powinny być wypowiedziane. Wszystko się od tamtej pory zmieniło.

- Och, Nash, tak mi przykro - Stacey odezwała się cicho. - Zdarza mi się pokłócić czasami z Dee, ale wiem, że zawsze możemy na siebie liczyć.

- Kilka tygodni temu Archie wezwał mnie do siebie - kontynuował Nash. - Bałem się, że to może być ostatnie nasze spotkanie. Wiesz, jak bardzo jest chory.

- Wiem - poświadczyła cicho. - To ja znalazłam go w altance, kiedy stracił przytomność.

- Więc wiesz również, że uratowałaś mu życie... - Ucałował delikatnie koniuszki jej palców. - Jestem ci za to naprawdę wdzięczny. Nigdy bym sobie nie darował, gdyby...

- Już dobrze... - Z trudem powstrzymywała cisnące się do oczu łzy. - Już dobrze.

- Kiedy spojrzałem na ogród po tych wszystkich latach... - słysząc było, że i jemu wzruszenie odbiera głos - odnalazłem w nim siebie. Nigdy nie zapomnę, jak Arnie chwycił mnie pod pachy i Unosił wysoko w górę, bym zerwał pierwszy dojrzały owoc z drzewka brzoskwiniego. "

„Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się jeść brzoskwinie

prosto z drzewa?", przypomniało jej się pytanie, które usłyszała chwilę po tym, jak ją pocałował. Teraz rozumiała już, dlaczego je zadał.

Trzymając ją w ramionach, wspominał jednocześnie najszcześniejsze chwile swojego życia... Wspominał swoje dzieciństwo, poczucie bezpieczeństwa i miłość, jakiej wtedy zaznał... Stacey wierzchem dłoni otarła łzę, która pojawiła się nagle w kącie jej oka.

- A potem... Potem pojawiłaś się ty. Z chwilą, kiedy po raz pierwszy ujrzałem cię przeskakującą przez mur, poczułem się jak dawniej, jakbym się cofnął w czasie.

Może jest jeszcze za wcześnie na takie słowa? A może nigdy nie powinny one paść? Może rzeczywiście z Lawrence'em Fordhamem i jego pieniędzmi Stacey byłaby dużo szczęśliwsza?

Potrząsnął głową, jakby przekonując samego siebie. Taka była przecież prawda. I to od Stacey zależy teraz, jak potoczą się ich losy.

- Nash... - usłyszał jej szept. Kątem oka dostrzegł, jak odsłania kołdrę, ruchem ręki zapraszając go do środka.

- Stacey...

- Cii... nic nie mów. Po prostu chodź.

Koniuszkiem języka zwilżył spierzchnięte wargi. Pragnął tego, do diabła, pragnął tego ponad wszystko na świecie, lecz...

- Stacey, czy jesteś tego pewna?

- Nie bój się, chcę cię tylko przytulić.

Przytulić. Jasne. Ściągnął buty z nóg i położył się niepewnie obok niej.

Oparła głowę na jego ramieniu.

Promieniała ciepłem i jakąś niewysłowioną słodyczą, która sprawiała, że nie potrafił, nie chciał się jej oprzeć. Miał wrażenie, że jeszcze chwila, a jego rozpalone zmysły eksplodują, niszcząc wszystko, co jemu i Stacey udało się do tej pory wspólnie osiągnąć.

- Nash? - Zdaje się, że i Stacey przestraszyła się tak niespodziewanego obrotu spraw. - Czy nigdy nie masz zwyczaju ścierać skarpetek przed wejściem do łóżka?

A może jednak mylił się co do niej?

- Zwykle zdejmuję z siebie wszystko... - przerwał wyczekująco.

- Więc nie widzę powodu, dla którego teraz miałyby być inaczej. - W jej oczach zobaczył cień łobuzerskiego uśmiechu. - A skoro jesteś już na nogach, czy mógłbyś również wyłączyć światło?

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Mamusiu! Mamusiu, wstawaj, już późno...

Stacey otworzyła jedno oko.

Promienie słońca przedzierały się bezlitośnie przez zaciągnięte zasłony, jakby na dowód, że cały świat od dawna jest już na nogach. Tuż obok łóżka stała jej młodsza córka.

- Późno? Jak późno? - Stacey podniosła się na przedramieniu, przecierając zaspane powieki. - Clover, gdzie jest zegarek?

- Tutaj. - Dziewczynka okrążyła łóżko i podeszła do nocnego stoliczka, stojącego w rogu pokoju. - Cześć, Nash! Jest kwadrans po ósmej, spójrz, mamusiu.

Kwadrans po ósmej? To rzeczywiście dosyć późno...

Nash?!!! Co do diabła!

Stacey, niemal zapominając o bólu, zerwała się z łóżka. Jak, do diabła, wytłumaczy to teraz swoim córkom?!

- Mamusiu..? - A zdaje się, że przynajmniej starsza z nich nie zadowolili się byle jaką bajeczką. - Jeśli Nash śpi teraz z tobą, to czy ja mogę zająć pokój na dole? Jestem już za duża, żeby mieszkać z Rosie.

Stacey przełknęła głośno ślinę. Właściwie było gorzej, niż się spodziewała.

- Porozmawiamy o tym później, kochanie. A teraz idź i obudź Rosie. Zaraz przyszykuję wam śniadanie.

Clover odwróciła się posłusznie na pięcie i znikła za drzwiami.

Spod kołdry dobiegł cichy chichot Nasha.

- Nie rozumiem, co cię tak śmieszysz. - Stacey nawet nie próbowała ukryć pretensji w głosie.

- Nic - odpowiedział, nie przestając się uśmiechać.

- Nic, absolutnie nic. Może tego po mnie nie widać, ale jestem śmiertelnie poważny. Chyba nie masz powodów, żeby w to wątpić?

Niestety, była to jedna z rzeczy, w którą jakoś nie mogła uwierzyć.

Jedyne, czego teraz mogła być pewna, to to, że już dzisiaj cała szkoła dowie się, że Clover będzie miała nowego tatusia, a w niedługim czasie może i braciszka.

- Jeśli zaraz nie wstaniemy - zaczęła - to dziewczynki spóźnią się na zajęcia.

- W porządku, Stacey, ja się tym zajmę. - Nash podniósł się z łóżka, zasuwając jednocześnie suwak spodni i wciągając na plecy podkoszulek. - Nie ruszaj się z miejsca. Zaraz wracam.

I rzeczywiście. Po kilku minutach wrócił z filiżanką czarnej kawy, tostem i... szybkim buziakiem. To wszystko w dodatku zdążył zrobić, zanim jeszcze wyszedł odprowadzić dziewczynki do szkoły w miasteczku.

Z niemałym trudem, ale i z dużym samozaparciem Stacey zajęła się swoją poranną toaletą.

- Spotkałem Verę po drodze do miasteczka! - zawołał, kiedy tylko pojawił się ponownie w drzwiach. - Obiecała zajrzeć do ciebie, kiedy mnie nie będzie.

- Ależ Nash, mówiłam ci, to zupełnie niepotrzebne... Spójrz tylko, radzę sobie już całkiem nieźle.

Nie wyglądał na przekonanego.

- Nie powinnaś się teraz nadwyręzać - dobiegło ją z łazienki. - Poza tym nie jestem pewien, kiedy wrócę.

- Jak rozumiem, nie będzie cię tylko kilka godzin? - zapytała z niepokojem, otwierając drzwi łazienki. Nash golił się.

- Być może wszystko przeciągnie się do popołudnia - odpowiedział z namysłem. - Zamierzam odwiedzić Archiego.

Nie pamiętała już, kiedy po raz ostatni miała okazję obserwować golącego się mężczyznę. A była to jedna z najbardziej zmysłowych i męskich czynności, jaką kiedykolwiek widziała. Niebezpieczna, intymna i... niezmiernie podniecająca.

- Nash! - odwrócił się w jej kierunku. - Dziękuję za ostatnią noc.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedział znacząco. Schylił się, by przytulić ją delikatnie i ucałować, lecz zamiast tego zostawił tylko na jej czole mokry ślad piany. Wytarł go wierzchem dłoni. - Może dzisiaj ponownie spróbujemy?

- Chętnie - uśmiechnęła się zalotnie. - Ciekawe tylko, co na to Clover i Rosie?

- Zostaw to mnie. - Odwrócił się w stronę lustra, by dokończyć golenie. - Pomyśl lepiej, jak powiesz swojej siostrze, że zostaję.

- Zostajesz?

Ręka, w której Nash trzymał golarkę, zawisła w bezruchu. Spojrzał badawczo na odbicie Stacey w lustrze.

- A czy... chcesz tego? - zapytał tak cicho, że właściwie bardziej mogła się jego słów domyślić, niż je usłyszeć.

Tak, chciała. Prawdę mówiąc, pragnęła tego, jak niczego na świecie. Wiedziała jednak, że jeśli pozwoli mu zostać, w konsekwencji będzie oznaczało to tylko kolejne rozczarowanie. Nash odejdzie, a ona będzie cierpiała...

Zdaje się jednak, że oboje zaszli już za daleko, by teraz prowadzić jakieś głupie gierki.

- Tak - odpowiedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę łazienki. - Bardzo tego chcę. Ale powiedziałeś przecież kiedyś, że jesteś typem wiecznego wędrowcy, pamiętasz?

- Owszem, ale nawet wieczni wędrowcy dążą przecież do jakiegoś celu. Zdaje się, że właśnie odnalazłem swój.

Nie wiedziała, czy bardziej ma ochotę śmiać się, czy płakać. Wszystko nagle zaczęło wydawać się tak nierealne, że bała się, czy to nie sen, który dobiegnie końca, a ona znowu obudzi się w swoim wielkim łóżku sama i... samotna, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Przytulił ją do siebie mocno, jakby doskonale wiedząc, co dzieje się teraz w jej sercu.

- Nash?

- Tak?



- Czy mógłbyś pomóc mi dzisiaj w wieczornej kąpie-  
li? - Kąciki jej ust uniosły się wesoło ku górze. - Pocz-  
tałem się nagle dziwnie osłabiona.

Odsunął ją od siebie na odległość wyciągniętych ra-  
mion i zabawnie grożąc palcem, powiedział:

- Och, Stacey, zdaje się, że wiedziałabyś, jak usidlić  
nawet najbardziej zatwardziałego wiecznego wędrowca.

Zanim wyszedł, wziął ją jeszcze na chwilę w ramiona  
i przytulił mocno. Przez krótki moment zaczęła nawet  
obawiać się, czy nie oznacza to kolejnej rozłąki, ale w jego  
spojrzeniu odnalazła spokojną pewność.

- Będę chyba musiał zmienić swoje przyzwyczajenia  
- odezwał się, wkładając na głowę kask. - Czas pomyśleć  
o jakimś bezpieczniejszym pojeździe... i najlepiej dla  
czworga.

- Ależ Nash! - próbowała zaprotestować, ale z jej gło-  
su przebijała bezgraniczna wdzięczność. - Nie musisz ni-  
czego zmieniać. Nie chcę, żebyś się zmieniał.

- Samo poznanie ciebie odmieniło mnie, Stacey, czy  
tego chciałem, czy nie. Reszty dokonała miłość...

Miłość, miłość, miłość, powtórzyła w duchu kilkakrot-  
nie, jakby napawając się sensem tego magicznego słowa.  
Łatwiej było je wypowiedzieć, niż w nie uwierzyć.

Oprócz kilku fizycznych cech, które zafascynowały ją  
zaraz na początku, Nash w niczym nie przypominał prze-  
cież Mike'a.

Był dojrzały, odpowiedzialny, wiedziała, że może na nim polegać. Z Mikiem nigdy nie była pewna dnia ani godziny.

Przechadzając się leniwie po domu, z zadziwieniem odkrywała coraz to nowe ślady troskliwej opieki Nasha. Zreperowany zamek w drzwiach, działające światło w holu, półka w kuchni... rzeczy, na które Mikę jakoś nigdy nie potrafił znaleźć czasu.

Zdecydowanie nie byli do siebie podobni, on i Mikę. Dee nie miała racji.

Sposób, w jaki opiekował się domem, jak zajmował się nią, jak troszczył się o dziewczynki i jak... kochał się z nią wczorajszej nocy... Czule i delikatnie, bardziej chcąc dawać, niż brać.

- Stacey! - głos Very przywołał ją z powrotem do rzeczywistości. - Widziałaś?

- Wejź, proszę! - zawołała Stacey, przysiadając na oparciu sofy. - Co powiesz na filiżankę kawy?

Vera stanęła w progu. W rękę trzymała najnowszy numer „Maybridge Gazette”.

- A, to? Myślę, że nie warto nawet wspominać. - Stacey aż uśmiechnęła się na wspomnienie poniedziałkowego festynu.

Zza okna ich uszu dobiegł odgłos silnika. Na podjeździe pojawił się czerwony wóz Dee. Sama Dee zjawiła się pod drzwiami w ułamku sekundy.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?! - zawołała od progu. W rękę trzymała ten sam numer „Maybridge Ga-

zette", którym przed chwilą wymachiwała Vera. Zdaje się, że cieszył się on dziś wyjątkowo dużym zainteresowaniem w miasteczku.

- Ale, o co chodzi? - Stacey nie była pewna, którą z rewelacji może mieć na myśli jej starsza siostra.

- O Nashu Gallagherze, oczywiście.

Czyżby pisały o tym wszystkie dzisiejsze gazety?! Stacey poczuła na całym ciele dziwne mrowienie.

Dee szybkim ruchem rzuciła pismo na stolik przy sofie. Na pierwszej stronie, tuż obok zdjęcia Nasha, widniał spory tytuł:

„Młody Baldwin daje wykład na miejscowym uniwersytecie”.

- Więc?

- Nash Gallagher jest wnukiem starego Archiego Baldwina, nie udawaj, że o tym nie wiesz - rzuciła zniecierpliwiona Dee.

Prawdę mówiąc o tym, jakie nazwisko nosi Arenie, nie miała pojęcia aż do chwili, kiedy odwiedziła go ostatnio w szpitalu.

- I co z tego?

- I pozwoliłaś na to, żebym ja, w obecności świadków, nazwała go zwykłym stróżem?! - tym razem, zamiast zniecierpliwienia, w głosie Dee słychać było najprawdziwszą złość.

- Powiedziałabym raczej - Stacey z trudem odwróciła wzrok od zdjęcia, na którym Nash, w garniturze i białej koszuli, wyszedł wyjątkowo przystojnie - że to on pozwo-

lił ci się tak nazwać. Widocznie jest wyjątkowo skromnym człowiekiem, nie sądzisz?

- Archie to przecież miejscowy bogacz - Dee mówiła gorączkowo, z trudem łapiąc oddech. - Kiedy likwidował jedno ze swoich przedsiębiorstw, każdemu z byłych pracowników ofiarował część zakładowego majątku. Rozumiesz? Nie sprzedał, nawet nie wydzierżawił... Po prostu dał.

- To prawda, Stacey - odezwała się Vera, podając Dee filiżankę z kawą. - Moja matka pracowała kiedyś dla Baldwinów. Tak właśnie weszliśmy w posiadanie domu, w którym teraz mieszkamy.

Dee pokiwała triumfalnie głową.

- Co więcej - odezwała się ponownie - w gazecie piszą o tym, jak Archie Baldwin wydziedziczył swoją rodzoną córkę za to, że wyjątkowo podle traktowała syna. Podobno roztrwoniła cały swój majątek w czasach, kiedy Nash był jeszcze dzieckiem, o niego samego nie troszcząc się zbytnio.

- Archie Baldwin... - powtórzyła Stacey, jakby nadal nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała. - Stary Archie, któremu parę razy pomagałam w prowadzeniu ogrodu i którego potem znalazłam nieprzytomnego w jednej z altanek.

- Chcesz powiedzieć, że ten staruszek, którego czasami tu widywałam - wydawało się, że Dee może nie przeżyć kolejnej rewelacji - to Archie Baldwin?! Ten Archie Baldwin?!

- Nie, najwyraźniej było co najmniej dwóch starusz-

ków o identycznym imieniu, którzy prowadzili ogrody w tej okolicy - odezwała się Stacey z drwiną w głosie. - Oczywiście, że ten sam. A właściwie, co to za wykład?

- „Dr Nash Gallagher - zaczęła czytać Dee, rozkładając gazetę - wnuk Archiego Baldwina, wystąpi dzisiaj na uniwersytecie z gościnnym wykładem dla studentów biologii i botaniki. Ostatnie pięć lat dr Gallagher spędził na ekspedycji w Ameryce Południowej, zajmując się badaniem i klasyfikacją nie znanych dotąd gatunków roślin, z których część nazwana została jego imieniem". O, to jest ciekawe, słuchajcie: „Jak nas poinformowały wiarygodne źródła, dr Gallagher został również poproszony o objęcie katedry botaniki na Wydziale Nauk Przyrodniczych. Wydział został ostatnio dofinansowany przez niezwykle hojnego, anonimowego fundatora". Wiedziałaś o tym?

- Nie. - Stacey wyjęła gazetę z rąk siostry. - Zdaje się, że pan Gallagher oszukiwał również mnie. A w każdym razie nie powiedział całej prawdy.

Ciekawe, czy dotyczyło to również ostatniej nocy, do-dała w duchu.

Dee i Vera nie spuszczały z niej wzroku.

- Pomóżcie mi - odezwała się do nich tonem nie zno-szącym sprzeciwu. - Zamierzam natychmiast udać się na uniwersytet i dowiedzieć się prawdy u źródła.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - zapytała Dee ostrożnie.

- A dlaczego by nie? - Stacey najwyraźniej czuła się

oszukana. - Zechcesz mnie podrzucić, czy mam zawołać taksówkę?

- Podrzucę. Przynajmniej upewnię się, że nie popełnisz żadnego poważnego głupstwa.

- Głupstwa? Nash Gallagher pożałuje tego, co zrobił. To wszystko.

- Ależ Stacey... - Dee najwyraźniej diametralnie zmieniła swoje zdanie na temat Nasha. - Jestem pewna, że będzie potrafił ci to jakoś wytłumaczyć.

- Tak? Na przykład jak? - I nie czekając na odpowiedź, chwyciła za drewnianą laskę, którą przed kilkoma dniami podarował jej Nash. Ruszyła powoli do drzwi.

Gdzieś z kąta pokoju nieoczekiwanie wybiegł kot.

- Stacey, kochanie... - Otworzyła oczy. Tuż nad jej głową, w zielonym, szpitalnym kitlu, wpatrzony w nią wyczekująco, stał Nash. - Co się stało?

- Więc Dee nic ci nie mówiła? - Chłoneła jego kojącą bliskość. - Chciałam cię odnaleźć. Nie zauważyłam kota, który wpadł mi prosto pod nogi. Upadłam i... Właściwie nie pamiętam, co było potem.

- Chciałaś mnie odnaleźć? Przecież wiedziałas, że zaraz wracam.

- Tak, ale to, o czym chciałam z tobą pomówić, nie mogło czekać. - Westchnęła ciężko. - Prawdę mówiąc, miałeś sporo szczęścia. Gdybym wtedy dostała cię w swoje ręce, nie wiem, co by z ciebie zostało.

- Nie mów nic więcej - poprosił.

Jego głos emanował ciepłem i spokojną pewnością, że wszystko będzie dobrze. Mimo że się przed tym broniła, znowu poczuła się jak mała dziewczynka, która potrzebuje opieki.

- Jesteś świnia, Nash, wiesz? Wstrętną świnia. - Nie powinna, nie może przecież mu ufać! - Wierzyłam ci, oddałam całą siebie. Jak mogłeś mnie oszukać?! Jak mogłeś tak zawieść moje zaufanie? Nash?!

Otworzył usta, próbując coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu dojść do słowa.

- Widziałam dzisiejszą gazetę, widziałam twoje zdjęcie. Lepiej więc, żebyś od tej pory mówił prawdę. Całą prawdę, rozumiesz? - podkreśliła.

- Masz rację, kochanie, nie powiedziałem ci prawdy. Ale uwierz mi, ostatnią rzeczą, jaką chciałem osiągnąć, to zawieść twoje zaufanie. - Przytulił jej dłoń mocno do serca. - Z początku nie przyznawałem się, kim jestem, bo po prostu nie wydawało mi się to ważne. A później, czy ja wiem? Chciałem mieć pewność, że zależy ci wyłącznie na mnie, nie na milionach Baldwinów.

- Ależ to okropne! - wyrzuciła z siebie z niesmakiem.

- Masz rację, to okropne. Jednak mój ojciec poślubił moją matkę wyłącznie dla pieniędzy i...

- I przypuszczałeś, że gotowa jestem zrobić to samo?  
- W jej głosie słychać było gorycz. Po chwili, jakby złożywszy w całość części skomplikowanej układanki, dodała: - To pewnie z powodu Lawrence'a? Myślałeś, że go-

towa jestem poślubić go tylko dlatego, że ma portfel wypchany pieniędzmi, czy tak?

- Musisz mnie zrozumieć, kochanie. Nigdy, przenigdy nie zaznałem od nikogo prostej, ciepłej, bezinteresownej miłości.

- Jak to, a Archie?

Zawahał się chwilę, nim odpowiedział.

- Archie kochał mnie tak, jak potrafił. Ale i on wykorzystywał mnie do swoich celów. Potrzebny mu byłem, kiedy chciał zemścić się na mojej matce. Zresztą i teraz, ta sprawa z ogrodem... Chciał, żebym został, ale i tej sprawy nie rozegrał czysto.

- Więc zostajesz? - zapytała, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy.

- Dziadek załatwił mi katedrę botaniki na uczelni. Nauczyciele nie zarabiają grubych milionów. Musisz wiedzieć, że tobie i dziewczynkom nie mógłbym wtedy zapewnić...

- Idź do diabła, Nash! Czy ja cię pytam o pieniądze? Ja pytam, czy zostaniesz? - Nagle poczuła się taka... bezsilna. Zmęczona tą nieustanną emocjonalną huśtawką, fałszami i prawdami, których nie potrafiła od siebie odróżnić. Zmęczona walką. Zamknęła powieki. - Odejdź, Nash. Chcę, żebyś wyszedł, słyszysz? I wróc dopiero, kiedy dorośniesz.

Wyszedł. I nie widziała go więcej.

Resztę tygodnia przeleżała w szpitalu, powoli dochodząc do siebie.



Kiedy już poczuła się na tyle dobrze, że mogła niemal swobodnie poruszać się o własnych siłach, poprosiła o wypisanie.

Dee zabrała wtedy ją i dziewczynki do swojego domku letniskowego nad jeziorem. Jej pomoc i świeże powietrze sprawiły, że Stacey z dnia na dzień czuła się coraz lepiej.

Co więcej, kochana siostrzyczka starała się, by jej serce nie krwawiło zbyt mocno i ilekroć któraś z dziewczynek zaczynała wspominać coś na temat Nasha, czujnie zmieniała temat.

- Więc jutro powrót? - odezwała się, podsuwając Stacey krzesło. - Co zamierzasz?

Co zamierza? A jakie to teraz mogło mieć znaczenie? Po tym, jak przegoniła ze swego życia mężczyznę, o jakim zawsze marzyła? Jakie znaczenie mogło mieć teraz cokolwiek? Bez sensu...

Niestety, w życiu nic dwa razy się nie zdarza, ono po prostu toczy się dalej.

- Właśnie, co do moich planów - zaczęła bez entuzjazmu. - W banku wymagają ode mnie sporządzenia biznesplanu. Wiesz, co to takiego?

- Musisz przekonać ich, że jesteś w stanie zebrać odpowiednią ilość pieniędzy na swoją inwestycję.

- Mam dom. Mogę pożyczyć pieniądze pod zastaw hipoteki.

- I równie łatwo możesz je stracić, kiedy interes z kwiatkami okaże się kompletną klapą.

- Wiem, Dee. Ale nie powinno się lekceważyć włas-

nych marzeń - odrzekła, przypominając sobie słowa Nasha i noc, kiedy je pierwszy raz usłyszała. - Masz może przy sobie telefon komórkowy?

- Proszę. - Dee wyjęła aparat z kieszeni.

Stacey, nie patrząc na siostrę, wykręciła numer Nasha. Po paru sygnałach zgłosiła się poczta głosowa.

- Cześć, Nash. To ja, Stacey. Nie sądzisz, że trzy pełne tygodnie to akurat tyle, ile może potrzebować trzydziesto-trzyletni mężczyzna, by dorosnąć? Wracam jutro do domu. Mam nadzieję, że i ty tam będziesz. Pa. - Nie patrząc na Dee, oddała jej słuchawkę.

- To, zdaje się, była część jakiegoś całkiem innego planu - odezwała się z uśmiechem Dee. - Teraz wracajmy może do interesów.

Połączyć się z pocztą głosową Nasha to było jedno, a wracać do domu, w nadziei, że on tam będzie, to zupełnie co innego.

Dee zakręciła na podjeździe i zaparkowała tuż pod domem. Stacey rozejrzała się dyskretnie wokół. Nic. Nigdzie ani śladu Nasha. Dee otworzyła drzwi auta, podając jednocześnie siostrze rękę, by pomóc jej wysiąść.

- Czy mi się wydaje, czy dom wygląda jakoś inaczej?  
- Stacey spojrzała na nią badawczo. W progu stanęła Vera.

Cały dom, łącznie z ramami okien i starymi okiennicami wyglądał na świeżo odmalowany. Serce Stacey zamarło w oczekiwaniu na to, co odpowie Dee.

Czyżby to była sprawka Nasha? - przebiegło jej przez

głowę, chociaż dobrze wiedziała, że to niemożliwe. Jeden, nawet najbardziej zdolny i pracowity człowiek nie byłby przecież w stanie poradzić sobie z taką ilością pracy.

- Jacyś ludzie zjawili się tutaj w zeszłym tygodniu. Powiedzieli, że to w ramach rekompensaty za odszkodowanie, czy coś takiego... - odezwała się nagle Vera. - Ale nie martw się, cały czas miałam ich na oku.

- Całość wygląda chyba całkiem nieźle, co? - Dee najwyraźniej wiedziała na ten temat coś więcej. - Wchodzimy do środka?

Clover i Rosie natychmiast pobiegły sprawdzić, co dzieje się u kotków.

- Musisz pewnie czuć się wykończona po podróży? - Dee pomogła jej pokonać kilka stopni przed domem. - Co powiesz na to, żebym zabrała dziewczynki do siebie? Zjedzą z nami podwieczorek i jeszcze przed kolacją przywiozę ci je z powrotem, dobrze?

- Jesteś kochana... Prawdę mówiąc, marzę właśnie o chwili spokoju.

- W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać? - Vera również zbierała się do wyjścia.

- Tak, dziękuję wam obu. Możecie być spokojne, dam sobie radę.

Za oknem zawarczał silnik samochodu Dee i już po chwili zapadła błoga cisza.

Stacey weszła na górę. Otworzyła drzwi sypialni. Wszystko było w niej tak, jak wtedy, gdy...

Przed oczami ponownie stanęła jej postać Nasha.

Dlaczego cię tu nie ma, do cholery, nieomal krzyknęła. Poczowała, jak łzy napływają jej do oczu. Pewnie jesteś gdzieś w środku dżungli i naśmiewasz się właśnie z mojej głupoty. Idiotka, kompletna idiotka, podsumowała samą siebie.

Słońce kłuło w oczy ostrymi, popołudniowymi promieniami. Podeszła do okna, by zaciągnąć zasłony. Jedyne, czego teraz potrzebowała, to cisza i spokój.

Wyjrzała na zewnątrz.

Zdaje się, że w ramach „rekompensaty za przyznane odszkodowanie”, firma zajęła się również ogrodem. Dopiero teraz dostrzegła, że ktoś skosił trawę wokół domu. Ale musiał to chyba robić już w kompletnych ciemnościach, bo trawa wystrzyżona była tylko miejscami. Od czasu do czasu pojawiały się wysokie, zielone kępy, które wyglądały jak... Jak napis, odkryła ze zdziwieniem.

„Stacey, kocham cię. Czy wyjdiesz za mnie?”

- Tak, tak! Nash, słyszysz? Tak!!! - krzyknęła ze wszystkich sił. Ale z dołu nie dobiegła żadna odpowiedź. Stacey otarła dłonią łzy, które popłynęły strumieniem po policzku. - Nash, gdzie jesteś?

- Tutaj - od strony drzwi dobiegł ją jego głos. - Tu jestem, kochanie. I nigdzie się nie wybieram.

Podbiegła do niego i z dziecięcą wprost radością zarzuciła mu ramiona na szyję, wtulając się w niego ze wszystkich sił.

- Gdzie byłeś, Nash? Tak bardzo za tobą tęskniłam...  
- Łzy wciąż spływały jej po policzkach, ale nie dbała o to.

- Miałaś rację. Trzy tygodnie to wystarczająco dużo czasu na to, żeby dorosnąć. Prawdę mówiąc, zajęło mi to nawet mniej niż trzy minuty. - Przerwał na chwilę, by delikatnym ruchem ręki otrzeć jej twarz. - Ale chciałem przygotować dom na twój powrót. Na wypadek, gdybyś postanowiła mi odmówić.

- Wariat...

- To prawda, zwariowałem. Zupełnie zwariowałem na twoim punkcie. - Przygarnął ją do siebie jeszcze mocniej i pocałował. Nie spieszył się. Wiedział, że od tej chwili cały świat i każda godzina należeć już będą tylko i wyłącznie do nich. - Ale jest jeszcze coś...

- Jeszcze coś? - zapytała niepewnie.

Sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej niewielkie, aksamitne pudełko. Otworzył je powoli, jakby z wahaniem.

- Ależ Nash! - W środku lśnił przepiękny, ogromny diament. - Ja nie... Nie powinienes...

- Jest czas, kiedy ofiarowuje się stokrotki i czas, kiedy wręcza się diamenty - przerwał jej. - Stacey O'Neill, czy wyjdiesz za mnie?

Wiedział, co usłyszy.

Brzoskwinie dojrzewały powoli w ciepłym słońcu. Ich woń roztaczała się kusząco po całym ogrodzie.

Nash uniósł Clover wysoko do góry, by zerwała pierwszy dojrzały, soczysty owoc. Następna była Primrose.

Kiedy już obie dziewczynki pobiegły przed siebie, każ-

da z brzoskwinią w dłoni, Nash chwycił w ramiona swojego syna. Chłopiec wyciągnął rączki w kierunku drzewa.

Dziecko miało piękne, miodowe oczy Stacey i płowe, lekko falujące włosy Nasha. Rodzice dali mu na imię Archer, po jego pradziadku.

Violet była jeszcze za mała, by jeść brzoskwinie prosto z drzewa. Siedziała na rozłożonym na trawie kocyku i bawiła się świeżo zerwanymi stokrotkami.

Stacey rozejrzała się wokół. Dzieci i kwiaty wydawały się być wszędzie, wypełniały cały ogród. Nigdy jeszcze nie czuła się taka szczęśliwa.

- Nash, a ty i mamusia? Nie będziecie jeść brzoskwiń?  
- zapytała Clover ze zdziwieniem.

- Nie, kochanie. - Nash pogłaskał dziewczynkę po głowie. - Ja i mamusia zajmiemy się tym później.

Ich spojrzenia skrzyżowały się ponad głowami dzieci i tak, jak w dniu ślubu, była w nich obietnica miłości. Miłości aż do śmierci. Delikatnej jak stokrotki i wiecznej jak diamenty...